



PISMO PG

PISMO PRACOWNIKÓW I STUDENTÓW POLITECHNIKI GDAŃSKIEJ

LISTOPAD 1998

ISSN 1429-4494

Nr 8 (47)/98 ROK VI



Fot. A. Lazarski

"Pogoria" w pełnej krasie podczas rejsu na zlot żaglowców Delf Sail w Holandii; wśród uczestników studenci PG, słuchacze Uniwersytetu Bałtyckiego

1 października 1998 r.



Fot. Lech Nadobny

W Katedrze Oliwskiej



Fot. T. Chmielewicz

Pod Pomnikiem Poległych Stoczniovców w Gdańsku



Fot. T. Chmielowiec

Prof. Jerzy Wojciech Doerffer uhonorowany Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski

Spis treści

Siedem chudych lat polskiego szkolnictwa wyższego - i co dalej?	
<i>Aleksander Kołodziejczyk</i>	4
Nie mamy wyboru	
<i>Aleksander Kołodziejczyk</i>	8
"Solidarność" w PG	
<i>Tadeusz Szymański</i>	11
Rys historyczny NSZZ "Solidarność" w Politechnice Gdańskiej	
<i>Ryszard Kloskowski</i>	12
O tempora, o mores!	
<i>Zbigniew Cywiński</i>	13
Budować i filozofować	
<i>Henryk Walukiewicz</i>	14
Jutro jest dzisiaj	
<i>Waldemar Affelt</i>	16
Prezentacje	19
Co warto wiedzieć o Uniwersytecie Bałtyckim	
<i>Krystyna Mędrzycka</i>	20
Rejs na złot żaglowców Delf Sail w Holandii	
<i>Paulina Bohdanowicz</i>	21
Ku pamięci profesorów Politechniki Gdańskiej i studentów, którzy ze mną kończyli studia w grudniu 1938 roku	
<i>Tomasz Pankiewicz</i>	22
Rok 1939 - między dwiema okupacjami	
<i>Andrzej Jarosz</i>	25
Migawki z dawniejszych lat	
<i>Jerzy Sawicki</i>	28
Opowieści kreślarniane (3)	
<i>Kazimierz Iwanowski</i>	29
50. rocznica powołania dyrektora administracyjnego Politechniki Gdańskiej	
<i>Tadeusz Markowski</i>	30
Wspomnienie o Moim Ojcu, Emilianie Sroce	
<i>Bronisław Sroka</i>	32
Czarolina '98	
<i>Stefan Zabieglik</i>	33
Rozstanie zauważalne	
Adam Pawlak już nie napisze...	
<i>Alina Kietrys</i>	34
Ocena finansowa oferenta	
<i>Ryszard Burchard</i>	35
Zieleń w Gdańsku	
<i>Marcin S. Wilga</i>	36
Rozwój jako współczesny wyraz zasadniczego wymiaru powołania człowieka z świetle encykliki Jana Pawła II "Sollicitudo rei socialis"	
<i>Krzysztof Mikiciuk</i>	39
Listy do Redakcji	
<i>Henryk Gliszewski</i>	41
Obrazki z zawodowego życia absolwenta (cd.)	
<i>Krzysztof Targowski</i>	42
Jesienne nastroje	
<i>Marcin S. Wilga</i>	44
Zapowiedzi i wydarzenia	
<i>Janina Poćwiardowska</i>	46

"Pismo PG" wydaje Politechnika Gdańska za zgodą Rektora i na zasadzie pracy społecznej Zespołu Redakcyjnego.

Autorzy publikacji nie otrzymują honorariów.

Wszelkie prawa zastrzeżone

Adres redakcji:

Politechnika Gdańska

Dział Organizacyjno-Prawny

Zespół ds. Informacji i Promocji

ul. G. Narutowicza 11/12, 80-952 Gdańsk

tel. (48 58) 347 17 09, fax 341 58 21

Zespół Redakcyjny:

Waldemar Affelt (sekretarz),

Zbigniew Cywiński, Jerzy Kulas,

Jadwiga Lipińska, Adam Synowiecki,

Joanna Szlączyńska

Opracowanie techniczne i typograficzne:

Skład komputerowy w programie Ventura Publisher

Janina Poćwiardowska

Zespół ds. Informacji i Promocji, e-mail inprom@pg.gda.pl

Stała współpraca:

Zespół Technik Multimedialnych

Korekta:

Joanna Szlączyńska

Druk:

Zakład Poligrafii Politechniki Gdańskiej

Numer zamknięto 21 października 1998 r.

Zespół Redakcyjny nie odpowiada za treść ogłoszeń i nie zwraca materiałów nie zamówionych. Zastrzegamy sobie prawo zmiany, skracania i adiustacji tekstów. Wyrażone opinie są sprawą autorów i nie odzwierciedlają stanowiska Zespołu Redakcyjnego lub Kierownictwa Uczelni.

Pojedyncze egzemplarze PISMA można otrzymać w księgarni w Gmachu Głównym

Siedem chudych lat polskiego szkolnictwa wyższego - i co dalej?

Przemówienie inauguracyjne prof. Aleksandra Kołodziejczyka, rektora PG
1 października 1998 r.

Wykształcenie jest inwestycją narodów i wolnych ludzi we własną przyszłość. To oświata i szkolnictwo wyższe zadecydują o pozycji Polski pośród innych państw. Te niezwykle trafne i mądre słowa, godne męża stanu, wypowiedział premier rządu RP, prof. Jerzy Buzek, w zeszłorocznym exposé. Dodał również: Zwiększymy wydatki na szkolnictwo wyższe. Będziemy też wspierać rozwój nauki. W roku bieżącym minister finansów, wicepremier prof. Leszek Balcerowicz, w *Średnioterminowej Strategii Finansowej* potwierdził znaczenie dla państwa edukacji i nauki, zaliczając je, jako jedyne, do prorozwojowych dziedzin finansowanych z budżetu. Dlaczego zatem szkolnictwo wyższe i nauka były i są w Polsce traktowane po macoszu? A że tak nadal jest, świadczy spadek nakładów z budżetu na szkolnictwo wyższe. Od 1990 roku nakłady realne zmniejszyły się o połowę, a w przeliczeniu na 1 studenta studiów dziennych spadły trzykrotnie. To już więcej niż 7 chudych lat przeżyły w ostatnim okresie polska nauka oraz szkolnictwo wyższe i jeżeli nie nadejdzie ratunek w postaci 7 tłustych lat - można spodziewać się najgorszego. Z przykrością muszę stwierdzić, że największe redukcje nakładów na szkolnictwo wyższe i naukę w latach dziewięćdziesiątych kojarzą się z nazwiskami profesorów Leszka Balcerowicza i Grzegorza Kołodki. W budżecie na 1998 r. udział nakładów na szkolnictwo wyższe w produkcie krajowym brutto został obniżony znów w porównaniu do roku poprzedniego. Co prawda projekt budżetu został sporządzony przez ustępujący rząd, ale nowe władze zdołały wprowadzić do niego szereg poprawek - na ratowanie szkolnictwa wyższego kolejny raz zabrakło środków. Środków, których wielkość w porównaniu z innymi wydatkami, np. z dopłatami do ubezpieczeń społecznych, deficytowych przedsiębiorstw, rozdrobnionego rolnictwa, czy kosztów restrukturyzacji górnictwa, jest znikoma. W ten sposób, mimo zapewnień kolejnych rządów o preferencjach dla szkolnictwa wyższego oraz nauki i o ich znaczeniu dla rozwoju kraju, systematycznie spada udział nakładów na nie w PKB. Oszczędzając na szkolnictwie, ratowano upadającą gospodarkę, starano się zachować spokój społeczny. Środowisko akademickie rozumiało sytuację i w poczuciu odpowiedzialności, ogromnym wysiłkiem wychodziło naprzeciw aspiracjom młodych Polaków, zwiększając liczbę miejsc na studiach. Chociaż od 1992 r. dochód narodowy zaczął systematycznie wzrastać, środki na szkolnictwo wyższe i naukę były niestety, nadal redukowane. A konieczne było nie tylko przywrócenie poprzedniego poziomu finansowania, ale i odpowiednie zwiększenie nakładów, stosownie do znacznego przyrostu liczby studentów. Te oczekiwania były i są zgodne z interesem narodowym, co najpełniej wyraża rezolucja Sejmu z 1995 roku, zobowiązująca rząd RP do przeznaczenia na szkolnictwo wyższe i naukę odpowiednio 2% i 1% PKB, tak jak to jest w krajach, którym zależy na rozwoju. Rezolucja Sejmu, mimo że zobowiązywała rząd do spełnienia postawionych wymagań w ciągu dwóch lat, nie została zrealizowana do dziś, chociaż coraz powszechniejsze staje się przekonanie, że zapewnienie młodzieży dobrego wykształcenia jest równie ważne, jak obrona suwerenności pań-



stwa. W wyżej wymienionej *Strategii*... Wicepremier i Minister Finansów nie przewiduje wzrostu finansowania prorozwojowych dziedzin.

Szkoły wyższe, mimo poważnych ograniczeń finansowych, rozwijały się nadal, jednak wobec wyczerpania rezerw prostych ich rozwój dokonywał się już tylko kosztem zasobów własnych, w tym dekapitalizacji majątku i nadzwyczajnego wysiłku pracowników. Równocześnie szkoły wyższe samodzielnie przeprowadziły gruntowną reformę, oczekując, jak na razie bezskutecznie, na stosowne wsparcie finansowe. W latach 1996 i 1997 została zauważona zapaść finansowa szkolnictwa wyższego i ówczesny rząd zwiększył nakłady na rzecz środowiska akademickiego. Te dodatkowe środki, zgodnie z intencją rządu, zostały przeznaczone w całości na podwyższenie żenująco niskich uposażeń kadry, zabrakło natomiast i nadal brakuje środków na sfinansowanie rosnących kosztów utrzymania, bieżących remontów, a przede wszystkim inwestycji. Nie odnawiana i nie powiększana baza dydaktyczna, głównie wyposażenie laboratoriów, sprowadzają uczelnie do roli skansenów. Zwiększona liczba studentów nie mieści się już w dotychczasowych murach. Dlatego trzy lata temu rektorzy uczelni autonomicznych podjęli dramatyczną decyzję o zmniejszeniu liczby nowo przyjmowanych studentów. Nie widzieli bowiem innej możliwości wstrzymania procesu pogarszania się warunków studiów i obniżania ich poziomu. Liczba studentów nadal jednak wzrastała, ponieważ wyższe roczniki stawały się coraz liczniejsze. Nadzieją był nowy rząd, który nie tylko wysoko ocenił rolę i znaczenie szkolnictwa wyższego oraz nauki, ale zadeklarował zwiększenie pomocy państwa. Premier, w liście wystosowanym do rektora KUL z okazji ubiegłorocznej inauguracji i 80-lecia tego zacnego Uniwersytetu, napisał: *Mam świadomość, że nauka polska znalazła się w nadzwyczaj trudnej sytuacji. (...) Pragnę zapewnić, że rząd, który obecnie formuje,*

ma niezłomny zamiar podźwignięcia polskiej nauki z finansowej zapaści i znacznego podnoszenia nakładów na szkolnictwo i naukę. Nadzieje zawiodły, gdyż, jak już stwierdziłem, udział nakładów w PKB na szkolnictwo wyższe w 1998 roku został ponownie obniżony, a dotacja na inwestycje spadła realnie prawie o 30%. Kryzys w szkolnictwie polskim pogłębił się. Nie jest on może jeszcze widoczny dla postronnego obserwatora, ale jego symptomy są coraz wyraźniejsze. Gwałtownie spada liczba nowo przyznawanych tytułów profesorskich: w 1989 r. nadano 910 nowych tytułów naukowych, podczas gdy w 1995 r. zaledwie 367, co oznacza 60-procentowy regres. W ubiegłym roku Centralna Komisja zaopiniowała pozytywnie jedynie 390 wniosków. Jedną z głównych przyczyn tego stanu rzeczy, obok braków finansowych, jest przeciążenie kadry obowiązkami wynikającymi z nadgodzin i wieloletowości. Kolejnym groźnym symptomem kryzysu jest ucieczka najbardziej aktywnych pracowników do przedsiębiorstw; głównie z grupy asystentów i młodych adiunktów. Właściwie zjawisko to powinno być godne poparcia i stanowić powód do zadowolenia. Uczelnie jednak obecnie nie mają środków na odtworzenie kadry, a ponadto pośród uzdolnionych absolwentów brakuje chętnych na podejmowanie kariery akademickiej, głównie z uwagi na wysokość oferowanych wynagrodzeń. Wytworzona została głęboka luka pokoleniowa, a wiele wydziałów zachowuje uprawnienia akademickie jedynie dzięki zatrudnianiu profesorów emerytowanych. Do odtworzenia kadry, oprócz środków finansowych, potrzeba również dużo czasu. Im później otrzymamy konieczne środki, tym trudniej będzie odrobić straty. Rodzą się pomysły sugerujące przemianowanie doktorów bez habilitacji na pełnoprawnych profesorów. Do niedawna byłem przekonany, że już nigdy antyakademicki pomysł, rodem z marca 1968 roku, nie zostanie wyciągnięty z lamusa. Okazuje się, że stare potwory ciągle straszą i lęgną się w głowach, niezależnie od poglądów politycznych.

Od ubiegłego roku żyliśmy nadzieją, że przyszłoroczny budżet odwróci niepokojące trendy. Docierające jednak do nas informacje napawają głębokim niepokojem. Planuje się dalsze obniżenie części PKB przeznaczonej na szkolnictwo wyższe z 0,83 do 0,79% PKB. Jeśli to prawda, przyszłość polskiego szkolnictwa wyższego jest poważnie zagrożona. Nie uda nam się zahamować groźnego procesu pogarszania się warunków i poziomu studiów, jakości kadry i pozycji nauki w świecie. Mówi o tym wyraźnie, wystosowany 14 lipca br., list otwarty Prezydium Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich. W liście tym autorzy stwierdzają, że polityka finansowa państwa zagraża nie tylko uczelniom, ale przyszłości Polski i jej miejscu w świecie. Przestrzegają równocześnie ..., że jeśli przyszłoroczny budżet nie uwzględni potrzeb publicznych szkół wyższych, mogą one być zmuszone do drastycznego ograniczenia lub zawieszenia przyjęć na studia w 1999 r. To zagrożenie obniżeniem liczby studentów, wynikające z sytuacji finansowej uczelni, a nie ze złej woli rektorów i senatów, przychodzi w przeddzień oczekiwanego na uczelniach wyżu demograficznego. Na jego przyjęcie potrzebne są środki i czas. Środków brakuje od dawna, czasu jest coraz mniej. Środowisko akademickie nie dysponuje taką siłą nacisku, jak inne grupy zawodowe zdolne do sparaliżowania transportu, czy wstrzymania dostaw węgla w czasie największych mrozów. Z tego powodu powinno być pod szczególną opieką władz. Zwracam się w związku z tym z gorącym apelem do rządu RP, do parlamentarzystów o niedopuszczenie do upadku tej tak ważnej dla rozwoju państwa dziedziny. Z podobnymi apelami środowisko akademickie występuje od lat i zwykle znajduje posłuch i po-

parcie, głównie jednak u przedstawicieli opozycji parlamentarnej, niezależnie od opcji politycznej. Poparcie takie, niestety, jest mało skuteczne. Ratowanie szkolnictwa wyższego jest potrzebne nie dla samego szkolnictwa, nie dla zapewnienia stanowisk kadrze, lecz zgodnie ze słowami pana premiera J. Buzka ...dla prawidłowego rozwoju państwa polskiego. Zapewnienie szkolnictwu wyższemu właściwego poziomu jest konieczne zarówno teraz, przed wejściem do struktur europejskich, jak i potem, z uwagi na wysoką konkurencyjność na wymagającym rynku pracy. Utrzymanie wysokiej liczby studentów jest ponadto ze wszech miar korzystne dla każdego państwa. Nie tylko sprzyja podnoszeniu poziomu intelektualnego społeczeństwa, stymuluje wszechstronny rozwój, ale również istotnie przyczynia się do obniżenia stopy bezrobocia. Utworzenie nowych miejsc na studiach jest znacznie tańsze niż przygotowanie nowych stanowisk pracy, zaś zasiłek dla bezrobotnego przewyższa średni koszt kształcenia, a ponadto ludzie wykształceni znacznie łatwiej znajdują pracę oraz częściej podejmują ryzyko zakładania własnego przedsiębiorstwa. Od kilku lat władze przedstawiają jako swój wielki sukces obniżający się poziom bezrobocia. Niewątpliwym sukcesem został osiągnięty bez wyraźnego wzrostu liczby nowych stanowisk pracy. Na czym więc polega ten cud gospodarczy? Głębsza analiza wskazuje wyraźnie, że do obniżenia stopy bezrobocia w Polsce przyczyniło się głównie szkolnictwo wyższe. To właśnie uczelnie w latach dziewięćdziesiątych wchłonęły ogromną armię absolwentów szkół średnich, opóźniając ich wejście w życie zawodowe. W 1990 r. było w Polsce niewiele ponad 380 tysięcy studentów, podczas gdy w 1997 roku ich liczba znacznie przekroczyła jeden milion. Duży udział w tworzeniu nowych miejsc na studiach mają szybko rozwijające się uczelnie prywatne, ale największy bezwzględny przyrost nastąpił w szkołach publicznych. Gdyby więc nie szkolnictwo wyższe, szeregi bezrobotnych zasililiby ponad 600 000 młodych ludzi. Ludzi niedojrzałych, najbardziej podatnych na deprawację wynikającą z braku pracy. Czy chociażby z tego powodu nie należy dodatkowo wspomóc finansowo szkół wyższych? Należy przy tym pamiętać, że bieda, bezrobocie i wysoka przestępczość często są związane z brakiem wykształcenia. Również tak istotne dla Polski problemy, jak przerost zatrudnienia w rolnictwie czy górnictwie nie mogą być rozwiązane bez przekwalifikowania nadmiarowych pracowników i wykształcenia ich dzieci. Będzie to o wiele skuteczniejsze niż wręczanie odpraw - swoistych łapówek za rezygnację z pracy w zawodzie.

Porównując sytuację finansową uczelni ze stanem sprzed przemian polityczno-ekonomicznych, należy - oprócz spadku dotacji budżetowej z 1,05 % PKB w 1990 r. do 0,83% w 1998 r. - uwzględnić zanik pomocy ze strony biznesu. Jeszcze pod koniec lat osiemdziesiątych wiele uczelni, w tym Politechnika Gdańska, pozyskiwało do kilkudziesięciu procent swojego dochodu ze źródeł pozabudżetowych. Obecnie zadłużone kopalnie, huty, stocznie i inne duże przedsiębiorstwa nie są w stanie uczestniczyć w dofinansowaniu szkolnictwa wyższego. Natomiast wielu polskich menedżerów deklaruje i widzi potrzebę takiej pomocy, stawiają jednak warunek zmiany obowiązującego systemu podatkowego. Jest to więc następny problem, który może rozwiązać jedynie ustawodawca, a inicjatywa ustawodawcza leży w rękach rządu. Są na szczęście menedżerowie, którzy spieszą z pomocą, bo wiedzą, że im uczelnia lepiej wyposażona, tym lepiej przygotowuje dla nich przyszłych pracowników. Chciałbym skorzystać z okazji i wymienić szefów firm, którzy w minionym roku akademickim wspomogli naszą Uczelnię środkami w wysokości co najmniej 10 000 zł. Są to: Zbig-



Od lewej dziekani wydziałów Politechniki Gdańskiej, profesorowie: Józef Woźniak - Elektronika, Telekomunikacja i Informatyka, Andrzej Balawender - Mechaniczny, Wiesław Anders - Architektura, Jacek Namieśnik - Chemiczny, Przemysław Pazdro - Elektrotechnika i Automatyka

niew Narczewski - prezes Zarządu Dr Oetker, Środki Spożywcze, Medardo Reggiani - dyrektor Sistemi Elettronici z Włoch, Jerzy Jakubus - dyrektor Starogardzkich Zakładów Przemysłu Spirytusowego POLMOS, Grzegorz Jarzyński - dyrektor ELIPGAZ-u, Lech Walczak - prezes Mostostalu Gdańsk, Henryk Janczewski - dyrektor Przedsiębiorstwa Eksploatacji Rurociągów Naftowych "Przyjaźń", Włodzimierz Dyrka - prezes Rafinerii Gdańskiej, Kazimierz Gryboś - prezes Zakładu Urządzeń Chłodniczych i Klimatyzacyjnych KLIMOR, Jerzy Siemieniczuk - prezes SeCeS-Pol, Andrzej Adler - prezes DGT, Alois Dechant - szef firmy DECHANT z RFN, Knut Solberg - dyrektor Det Norske Veritas z Norwegii, Waldemar Dunajewski - dyrektor Zespołu Elektrociepłowni Gdańsk SA, prof. Zbigniew Szczerba - przewodniczący zespołu koordynatora "KONSORCJUM", Zbigniew Bicki - prezes Polskich Sieci Elektroenergetycznych SA Warszawa, Jerzy Skwara - prezes Gdańskiej Kampanii Energetycznej ENERGA, Stanisław Kubacki - prezes Zakładu Energetycznego Słupsk SA, oraz Roman Kuczkowski - prezes Zakładu Energetycznego Toruń SA. Dzięki tej pomocy utworzyliśmy nowe pracownie, lepiej wyposażyliśmy laboratoria studenckie, wyremontowaliśmy sale wykładowe. Dziękujemy przez umieszczanie tabliczek informujących o ofiarodawcy. Jest to świetny sposób promocji - tabliczki codziennie rzucają się w oczy potencjalnych klientów lub pracowników. Jeszcze raz serdecznie dziękuję za okazane zrozumienie i pomoc. Mam nadzieję, że do tego sposobu pomocy uczelni, a promocji własnego zakładu, włączą się i inne przedsiębiorstwa. Wśród dobroczyńców brakuje, jak na razie, wielu przedstawicieli największych firm wybrzeżowych, jak i władz lokalnych. Chciałbym natomiast podziękować panu Władysławowi Mańkutowi, poprzedniemu Wojewodzie Elbląskiemu, i pani Marii Piór, obecnej Wojewodzinie tego województwa, za wsparcie finansowe

Politechniki Gdańskiej w wysokości 100 000 zł. Jest to niezwykle istotna pomoc.

Ostatnio lansowane są poglądy o możliwości poprawy finansowania szkolnictwa wyższego poprzez wprowadzenie powszechnej współodpłatności za studia. Jest to płonna nadzieja, ponieważ już obecnie ponad 70% polskich studentów całkowicie lub w znacznej części ponosi koszty studiów. Upowszechnienie współodpłatności za studia może jedynie zmienić obciążenie poszczególnych studentów, rozłożyć ich wydatki bardziej równomiernie. Ten zabieg, jeżeli nie zmniejszy, to na pewno nie zwiększy dochodów szkolnictwa wyższego, a boleśnie dotknie uzdolnioną młodzież z najbiedniejszych rodzin.

Kolejnym utrudnieniem w utrzymywaniu dobrej kondycji finansowej uczelni jest brak pomocy ze strony władz lokalnych; zjawisko szczególnie niepokojące w regionie gdańskim. W kwietniu bieżącego roku ukazał się raport Instytutu Badań nad Gospodarką Rynkową, z którego wynika, że Trójmiasto pod względem liczby studentów w stosunku do liczby ludności akademickich (u nas 52 studentów na 1000 mieszkańców; dla porównania: 175 - w Zielonej Górze, 149 - w Lublinie). Runął kolejny mit. Wyjątkowo niski jest też odsetek nauczycieli akademickich z tytułem profesorskim. Bez pomocy władz lokalnych nie uda się nam poprawić tej pozycji. Niestety, jak dotychczas, obserwuje się nie tylko brak zainteresowania szkołami wyższymi, ale wręcz działanie na ich szkodę. Uczelnie gdańskie, jako nieliczne w Kraju, są przez władze miejskie obciążane podatkiem od nieruchomości, a Zarząd m. Gdańsk czerpie materialne korzyści z wynajmu pomieszczeń w nieruchomości należącej do Politechniki Gdańskiej i nie chce jej zwrócić, mimo korzystnego dla PG wyroku sądowego. Taka postawa władz lokalnych dopełnia obraz osamotnienia wyż-



Od lewej dziekani wydziałów Politechniki Gdańskiej, profesorowie: Piotr Dominiak - Zarządzanie i Ekonomia, Zbigniew Cywiński - Budownictwo Lądowe, Henryk Sodolski - Fizyka Techniczna i Matematyka Stosowana, Romuald Szymkiewicz - Inżynieria Środowiska, Krzysztof Rosochowicz - Oceanotechnika i Okrętownictwo

szych uczelni w walce o przetrwanie, o utrzymanie wysokiego standardu, o stworzenie możliwości kształcenia jak największej liczby młodzieży. Na wypadek, gdyby poprawą stanu nauki w Trójmieście chcieli się zająć politycy najwyższego szczebla, mamy szereg propozycji, w tym budowę synchrotronu. Postawiłoby to naukę gdańską na wysokim szczeblu nie tylko w Kraju, ale i na świecie.

Na tle wyżej przedstawionych faktów chciałbym zapoznać szanownych zgromadzonych z problemami i osiągnięciami Politechniki Gdańskiej, która podobnie jak większość uczelni w Kraju od lat boryka się z poważnymi kłopotami finansowymi. Po raz czwarty z rzędu zakończymy rok poważnym deficytem, pomimo wprowadzenia drastycznych oszczędności. Pogłębiający się kryzys finansowy zmusił nas do podjęcia kroków rzucających niestety na poziom nauczania. Pośród tych przedsięwzięć do najbardziej przykrych należy redukcja godzin w programach studiów, wobec czego zachowanie dotychczasowego ich poziomu będzie możliwe jedynie pod warunkiem podjęcia przez studentów dodatkowego wysiłku w postaci samokształcenia. Przypuszczam, że nie wszyscy sprostają tym wymaganiom, tym bardziej, że nie stać nas na stworzenie właściwych warunków do samokształcenia. Mniej czasu również będą mogli poświęcić opiekunowie swoim dyplomantom. Ograniczenia dotkną także studiów doktoranckich, których szybki rozwój był naszą chlubą. W poprzednim roku w przemówieniu inauguracyjnym przewidywałem podwojenie liczby doktorantów w ciągu dwóch lat. Merytorycznie było to możliwe. Tylko w minionym roku akademickim liczba doktorantów wzrosła o 60%. Obecnie studia te stanowią dla wydziałów tak znaczne obciążenie finansowe, że redukcja liczby ich uczestników staje się przykrą koniecznością. Wpłyne to niewątpliwie nie tylko na nowe promocje doktorskie, których w Polsce nie

mamy za dużo, ale i na promocje profesorskie. Są one z sobą ściśle powiązane.

Do rzeczy smutnych, które spotkały nas w minionym roku, należy zaliczyć odejście wielu naszych pracowników na wieczny odpoczynek. Pożegnaliśmy wykładowcę Danutę Sowińską, adiunkta Michała Wilczopolskiego i pracownika administracji Bożenę Wolską. Odeszli od nas również pracownicy emerytowani, między innymi prof. Witold Urbanowicz, legenda naszej Uczelni, dr h.c. Politechniki Gdańskiej, prof. Józef Sałaciński, były dziekan W. Łączności, prof. Piotr Besala, prof. Jan Dobrowolski, były dziekan W.Ch, docenci: Władysław Klimkiewicz, Tadeusz Raś i Zbigniew Wiktor, starsi wykładowcy: dr Henryk Masiakowski, Henryk Plety, Józef Mikulski, Gabriela Latocha, Wojciech Heppner i Antoni Zdebski..... Trudno pogodzić się z myślą, że osoby, z którymi współpracowaliśmy przez kilkadziesiąt lat, których pomocy doświadczaliśmy nie raz, do niedawna aktywni - odeszli na zawsze. Proszę o powstanie i uczczenie chwilą ciszy ich pamięci.

Na szczęście nie każdy aspekt życia Uczelni wygląda tak tragicznie. Mamy wiele osiągnięć, które stanowią powód do dumy. Dwa lata temu, po raz pierwszy w historii Politechniki Gdańskiej liczba dyplomantów przekroczyła 1000 osób. W minionym roku akademickim możemy się pochwalić liczbą 1500 absolwentów, w tym - ponad 1000 ze stopniem mgr. inż. A nowy rok akademicki rozpocznie w sumie 16 000 studentów. Do niewątpliwych sukcesów należy przyznanie naszym pracownikom 4 nowych tytułów profesorskich. Uzyskali je: Marek Kubale z WETI, Józef Kur z WCh, Jan Staśiek z WM i Bogdan Zadroga z WIŚ. Serdecznie gratuluję nowym profesorom oraz ich wydziałom. Życzę dalszych sukcesów i satysfakcji z pracy w naszej Alma Mater. Dodatkowo pozyskaliśmy 3 pracowników z tytułem profesora. Ponadto Komisja Centralna zatwier-

dziła 9 stopni dr. hab., wśród nich jest 8 naszych pracowników. W minionym roku wypromowaliśmy 45 doktorów, w tym 22 naszych pracowników. W przypadku promocji doktorskich jest to wzrost o 39 % w porównaniu z rokiem poprzednim. Jednak te niewątpliwe sukcesy w kształceniu kadry naukowej, i to nie tylko na potrzeby naszej uczelni, są poważnie zagrożone ze względów finansowych.

Oprócz dydaktyki i rozwoju młodej kadry istotną cechą aktywności każdej uczelni akademickiej są badania naukowe. W tym miejscu trzeba wyraźnie powiedzieć, że obecne dotacje na naukę nie tylko nie są w stanie zapewnić jej rozwoju, ale nawet utrzymać dotychczasowego poziomu. Świadczy o tym spadająca pozycja osiągnięć polskiej nauki w świecie. Do zdobycia środków na badania niezbędna jest aktywność i ogromne zaangażowanie każdego pracownika. Dlatego słowa uznania chciałbym skierować do tych, którzy na tym polu mają największe sukcesy. W minionym roku zlecenia - umowy w wysokości ponad 300 000 zł uzyskali: z KBN - prof. Zbigniew Walczyk z WM, dr Bogdan Wiszniewski z WETI, dr hab. Tomasz Kucharski z WM, prof. Jacek Namieśnik z WCh i prof. Jacek Żyborski w WEA, w projektach celowych - prof. Romuald Salamon z WETI, mgr Jakub Szczepański z WA, w strategicznym programie rządowym - dr hab. Kazimierz Kosmowski z WEA, w umowach zleconych przez gospodarkę - dr Kazimierz Jamroz z WBL, prof. Przemysław Pazdro z WEA, a z programów międzynarodowych - prof. Andrzej Tubielewicz z WZE. Wymienieni pracownicy uzyskali na badania w sumie ponad 5 mln zł.

Szereg naszych pracowników otrzymał prestiżowe nagrody i wyróżnienia. Do najważniejszych należą: mianowanie prof. Eugeniusza Dembickiego Kawalerem Francuskiej Legii Honorowej, nagroda Simensa przyznana prof. Jackowi Mareckiemu, uhonorowanie prof. Edmunda Wittbrodta nagrodą im. Heweliusza, oraz doktorat h.c. Akademii Rolniczej w Szczecinie dla prof. Zdzisława Sikorskiego. Serdecznie wszystkim gratuluję.

Pomimo nekających problemów finansowych mamy do odnotowania osiągnięcia inwestycyjne. Udało się nam zakończyć rozpoczęty na wiosnę remont Gmachu Inżynierii Chemicznej. Budynek ten, nie remontowany od 60 lat, był bliski ruiny. Koszty remontu w wysokości 1 mln zł zostały sfinansowane głównie z dochodów własnych Uczelni; wsparcie z MEN wyniosło 30 %. Przeprowadziliśmy również, kosztem 3,5 mln zł, kapitalny remont Domu Studenckiego nr 10. Jest to już trzeci dom studencki całkowicie przebudowany w ostatnich latach. Obecnie te akademiki prezentują naprawdę wysoki standard. Znaczną część środków na te remonty wypracowały same domy akademickie świadcząc usługi hotelowe w sezonie letnim. Oczywiście i w tym wypadku finansowa pomoc MEN była istotna. Nie udało nam się natomiast, z przyczyn niezależnych od nas, dokończyć przebudowy kotłowni na sale dydaktyczne. Prace, z powodu upadłości wykonawcy, zostały wstrzymane na kilka miesięcy, do czasu wyboru nowego przez syndyka. Tempo prac obecnego wykonawcy - INPRO daje nadzieje na zakończenie przebudowy do końca listopada. Mam więc nadzieję, że niedługo zaproszę państwa na uroczyste otwarcie powstającego w tym budynku auditorium na ponad 500 miejsc i trzech dodatkowych sal dydaktycznych.

Miło mi podzielić się z informacją, że dzięki finansowemu wsparciu Fundacji dla Nauki Polskiej, osobistemu zaangażowaniu jej prezesa prof. Macieja Grabskiego, a także pani dyr. Janiny Ligman, magazyn Biblioteki Głównej został wyposażony w ruchome regały, przez co jego pojemność znacznie wzrosła. Ma to ogromne znaczenie dla prawidłowego funkcjonowa-

nia biblioteki zbudowanej na początku wieku i zaprojektowanej dla 1000 studentów i stu kilkudziesięciu pracowników. Biblioteka Główna, dzięki dotacji z KBN, przystępuje ponadto do wprowadzenia nowego systemu bibliotecznego - VTLS VIR-TUA. Będzie to pierwsza w Polsce biblioteka, a trzecia w Europie, wyposażona w ten najnowocześniejszy system. Zostanie on udostępniony innym bibliotekom akademickim i naukowym w Trójmieście. Te przedsięwzięcia pozwolą na funkcjonowanie naszej Biblioteki jeszcze przez jakiś czas w dotychczasowych warunkach, jednak budowa nowego pomieszczenia dla niej staje się sprawą coraz bardziej nagłą. Mamy też wiele innych, jeszcze pilniejszych inwestycji do realizacji. Pośród nich na pierwsze miejsce wysuwa się budowa nowego gmachu dla najszybciej rozwijającej się jednostki - Wydziału Zarządzania i Ekonomii. Pomieszczenia, które ten wydział obecnie zajmuje, były przeznaczone dla 500 studentów. Obecnie liczba studentów WZE przekroczyła 2 100 i szybko rośnie, mimo wprowadzonych ograniczeń. Uzyskaliśmy z MEN wstępną zgodę na współfinansowanie tego przedsięwzięcia, plan techniczny jest bardzo zaawansowany. Wśród pilnych spraw znajduje się przebudowa poddasza i dachu Gmachu Głównego o powierzchni 1 ha. Jeżeli w najbliższych latach remont nie zostanie wykonany, to dach może runąć. Gmach Główny jest budynkiem zabytkowym. Jego utrzymanie, a przede wszystkim nieustające remonty wymagają ogromnych nakładów. Nie są one uwzględniane w żadnych dotacjach, a konserwator zabytków twierdzi, że na ratowanie nieruchomości należących do jednostek utrzymywanych z budżetu nie ma środków. Czy władze miasta nie powinny uczestniczyć w kosztach remontu jednego z najpiękniejszych budynków w mieście? Tak w sposób najbardziej skrótowy można przedstawić nasze najpilniejsze potrzeby. O innych, takich jak np. ocieplenie budynków wybudowanych w okresie realnego socjalizmu, trudno nawet marzyć.

Do pozytywnych akcentów minionego roku akademickiego należy zaliczyć wzrastającą aktywność studentów. Powstało ostatnio kilka nowych studenckich kół naukowych. Studenci zorganizowali sesje naukowe. Również obiecująco zapowiadają się zainicjowane w tym roku, a planowane jako wydarzenia coroczne, Dni Otwarte PG dla kandydatów na studia. Kolejne już Neptunia wzbudziły duże zainteresowanie i uznanie dla organizatorów, głównie studentów naszej Uczelni. Na szczególne wyróżnienie zasługują sukcesy sportowe studentów Politechniki Gdańskiej. Złoty medal, już po raz piąty, zdobyła męska drużyna piłki ręcznej na Mistrzostwach Polski Politechnik, zespół żeńsko-męski wywalczył złoty medal na Mistrzostwach Polski Politechnik w tenisie ziemnym, a wioślarze sięgnęli po złoty medal na Mistrzostwach Polski Szkół Wyższych. Mówiąc o sukcesach sportowych, możemy pochwalić się również osiągnięciami na arenie światowej, tym razem pracowników. Panowie Józef Pochroń i Waław Janicki zdobyli brązowy medal na Mistrzostwach Świata w brydżu sportowym. Serdecznie wszystkim gratuluję.

Tak to już na szczęście w życiu bywa, że gorycz porażek, smutek kłopotów osładzają sukcesy. W rozpoczynającym się roku akademickim życzę wszystkim Państwu, przede wszystkim studentom, pracownikom, współpracownikom, dobroczyńcom i przyjaciółom wiele radości i sukcesów, aby w tym roku było ich znacznie więcej niż w poprzednim.

Szczęść Boże. Rok akademicki 1998/99 uważam za otwarty.

*prof. Aleksander Kołodziejczyk
Rektor Politechniki Gdańskiej
(Fot. T. Chmielowiec)*

NIE MAMY WYBORU

Wystąpienie JM Rektora PG w Operze Bałtyckiej - 1.10.1998 r.

Nie zdoła ogień ani miecz powstrzymać myśli w biegu
Adam Asnyk

Dzisiejsze, szóste z kolei spotkanie inaugurujące nowy rok akademicki ma na celu integrację społeczności akademickiej z przedstawicielami lokalnej administracji, biznesu, elit politycznych, duchowieństwa, z tymi wszystkimi, którym leży na sercu dobro naszego regionu. Zostały one zainicjowane przez poprzedniego przewodniczącego Rady Rektorów Pomorza Nadwiślańskiego, prof. Edmunda Wittbrodta - obecnie Senator RP oraz zastępcą przewodniczącego Rady Głównej Szkolnictwa Wyższego, i ówczesnego wojewodę Macieja Płażyńskiego - obecnie marszałek Sejmu RP. Każdorazowo patronem koncertu, w tym również finansowym, jest Wojewoda Gdański. Tym razem, po raz pierwszy w tej roli występuje pan Tomasz Sowiński.

Środowisko naukowo-dydaktyczne Wybrzeża jest najsilniejszą grupą społeczną naszego regionu, z czego mało kto zdaje sobie sprawę. Liczy bowiem około 54 000 studentów i ponad 9 000 pracowników, a wszyscy mają prawa wyborcze. Środowisko to jest jednak niedoceniane, często wręcz zaniechane. Potwierdzeniem tej tezy jest znany Państwu raport Instytutu Badań nad Gospodarką Rynkową, z którego wynika, że trójmiejski ośrodek akademicki jest stosunkowo słaby i zaniechany, nie odpowiada ani potencjałowi, ani ambicjom Regionu. Jest to zjawisko bardzo niekorzystne, ponieważ bez edukacji i nauki na odpowiednim poziomie trudno osiągnąć postęp w jakiegokolwiek dziedzinie. Edukacja i nauka powinny nie tylko towarzyszyć rozwojowi gospodarki, ale muszą ją w tym rozwoju wyprzedzać. Te kraje, te regiony, które zrozumiały prawa i zasady rozwoju cywilizacji, znacznie wyprzedziły pozostałą część świata, a dystans w poziomie między nimi, również w poziomie życia, powiększa się szybko. A jak wygląda sytuacja w Polsce? Żyjemy w czasie i miejscu, gdzie ścierają się z sobą aż trzy etapy rozwoju cywilizacyjnego. Cywilizacja rolnicza panowała niepodzielnie w Europie przez wiele stuleci. Później XIX-wieczna rewolucja techniczna na pierwsze miejsce wypromowała przemysł. Zmieniało się szybko oblicze naszej Ziemi, powstały, między innymi, miasta-kolosy; inne grupy ludzi, inne zawody, inne towary zyskiwały na znaczeniu. Następował bardzo szybki postęp technologiczny, postęp, który w końcu przyczynił się do zredukowania roli przemysłu. Obecnie w krajach najbardziej rozwiniętych prym wiodą informacja i wiedza. W Polsce te trzy cywilizacje: agrarna, industrialna i informatyczna walczą nawet nie o dominację, ale po prostu o byt. Jesteśmy świadkami tej walki, a niejednokrotnie bywamy wciągani bezpośrednio w jej wir. Widzimy, z jaką desperacją walczą o przetrwanie górnicy, wręcz zarzucając władzy udział w spisku mającym na celu zniszczenie polskiego górnictwa. A to przecież nie jest winą władzy, że węgiel, jako źródło energii, stracił na znaczeniu, szczególnie węgiel drogi i zawierający sporo zanieczyszczeń. Na cenę naszego węgla rzutuje głównie niska wydajność wydobycia, 10 razy niższa niż w krajach wiodących, wydajność niższa od tej sprzed II wojny światowej, w tych samych kopalniach. O swoje przetrwanie walczą też rolnicy; będą bez szans, dopóki nie obniżą kosztów produkcji, a to jest niemożliwe bez



10-krotnej redukcji zatrudnionych w tym sektorze. Czy tak znaczna redukcja jest realna? Tak, pod warunkiem przekwalifikowania większości ludzi i umożliwienia zdobycia wykształcenia ich dzieciom. Gros tego zadania podjąć może wyłącznie szkolnictwo wyższe. Rola, jaką muszą spełnić uczelnie wyższe, jest więc nie do przecenienia. To one zadecydują czy korzystne osiągnięcia z przełomu wieków XX i XXI zostaną wykorzystane w praktyce, czy też nadal będziemy uwikłani w sprzeczności sprzed 100 lat, w problemy już dawno rozwiązane. Od poziomu wykształcenia Polaków będzie zależała pozycja naszego kraju w świecie i rola, jaką będzie odgrywać Polska w globalnym podziale pracy.

Nieraz w dyskusji o roli informacji i wiedzy słyszy się głosy wątpliwe w ich znaczenie i wartość. Owszem, nikt nie zaprzecza, że wiedza ułatwia zdobycie dobrze płatnej posady, ale żeby sama przynosiła zyski, w to już nie każdy chce wierzyć. Posłużę się więc przykładem łatwo zrozumiałym w skomercjalizowanym świecie. Wiadomo, że cena tego samego przedmiotu lub podobnego o bardzo zbliżonych parametrach bywa różna w różnych punktach sprzedaży. Informacja na ten temat może przynieść określone oszczędności przy dokonywaniu zakupu. Sprzedaż takich informacji daje wymierne korzyści, stwarza możliwości dobrego dochodu. Na wykorzystywaniu wiedzy i dostępu do informacji prosperuje, i to nieźle, wiele firm konsultingowych. Jeszcze większą wartość stanowi wiedza technologiczna dotycząca produkcji poszukiwanych przedmiotów, urządzeń o unikatowych własnościach, hodowli czy uprawy dających nadzwyczajne wyniki i plony, gatunków odpornych na choroby, wiedza o otrzymywaniu specyficznych leków, o hodowli tkanek zdolnych do regenerowania uszkodzonego mózgu i innych narządów, czy hodowli bioorganów. Specjaliści prognozują, że właśnie cywilizacja biotechnologiczna, w której obecnie dokonuje się największy postęp, na którą łoży się niewyobrażalne środki, zastąpi cywilizację informatyczną, a stać się to może niedługo, nawet my mamy szansę przekonać się o tym osobiście. Jedno jest pewne - bez zapewnienia wysokiego poziomu edukacji i nauce wypadniemy z gry, przestaniemy się liczyć w wyścigu, zostaniemy zepchnięci na peryferie, nie potrafimy nawet zrozumieć dokonujących się przemian. Ktoś może powiedzieć: po co nam to wszystko, przecież bez najnowszych osiągnięć można żyć. Tak, to prawda, ale musimy zdawać sobie sprawę z tego, że rozwoju nauki, postępu technologicznego i cywilizacyjnego nie da się zatrzymać, nie można tego dokonać żadnym zakazem, dekretem, okólnikiem czy ustawą. Ten pęd do wiedzy został wpisany w naturę człowieka w chwili, kiedy Stwórca polecił pierwszym ludziom czynić sobie Ziemię poddaną. Tak więc nie mamy wyboru. Już ponad 100 lat temu pisał o tym Adam Asnyk: *Nie zdoła ogień ani miecz powstrzymać myśli w biegu, a w innym miejscu - musimy z żywymi naprzód iść, po życie sięgać nowe, a nie w uwiędły laurów liść z uporem stroić głowę.* Adam Asnyk był nie tylko poetą, ale również myślicielem i społecznikiem. W rozwoju i upowszechnianiu edukacji widział najskuteczniejszy sposób wydobycia Polaków z niewoli politycznej i ekonomicznej. Mimo słabego zdrowia był mocny duchem, a jego wysiłki, włożone w rozwój edukacji, przeszły oczekiwania. Czekamy na nowego, współczesnego Asnyka.

prof. Aleksander Kołodziejczyk
Rektor Politechniki Gdańskiej

Nauka jest w stanie zapaści Apel Komitetu Ratowania Nauki Polskiej do społeczeństwa

Nauka jest kluczowym elementem cywilizacji współczesnej, a system oświaty stanowi o tempie rozwoju kraju. Ich poziom określi pozycję Polski w UE i zadecyduje, czy kraj nasz będzie biednym zapleczem nisko kwalifikowanej siły roboczej, czy też liczącym się partnerem w szybko rosnącym dostatku. Rozwój nauki i oświaty jest polską racją stanu. Kto z naszych polityków tego nie rozumie i nie zwiększa w budżecie funduszy na obie te sfery - szkodzi Polsce! Na naukę przeznaczamy coraz mniejszy ułamek procentu naszego produktu krajowego, zbliżając się do poziomu krajów Trzeciego Świata. Toteż nauka znalazła się w stanie zapaści i już za kilka lat nie będzie miał kto przyswajać krajowi najnowszych zdobyczy nauki światowej ani wykładać w uczelniach wyższych, a w szkołach będziemy mieli coraz marniejszych nauczycieli.

Rolnicy, jeśli chcecie, by wieś polska zaczęła się szybko rozwijać, domagajcie się zwiększania nakładów na naukę i oświatę. Przypominajcie rządzącym, że w Polsce jagiellońskiej wśród studentów uniwersytetu było 10 proc. synów kmiecy, zaś dziś wśród studentów jest tylko 4 proc. młodzieży wiejskiej!

Robotnicy, górnicy, pracownicy firm i urzędów, jeśli chcecie, by wasze dzieci miały realne perspektywy lepszego życia w kraju zbliżającym się do standardów europejskich, domagajcie się rozwoju szkół, uczelni i nauki! Wy nie będziecie mieli możliwości kształcenia dzieci za granicą!

Przedsiębiorcy polscy, przypominajcie władzom państwowym przy wszystkich okazjach, iż od poziomu pracowników i zaplecza naukowo-technicznego zależy przyszłość naszej gospodarki!

Młodzieży, jeśli chcesz uczyć się w godziwych warunkach, mieć możliwości zdobycia wykształcenia i ciekawego życia, a uniknięcia bezrobocia, domagaj się jak najdonośniej zwiększenia nakładów na edukację i naukę! Inaczej tylko niewielu z was będzie miało tę szansę!

Rodzice, jeśli chcecie, by wasze dzieci miały możliwości kształcenia i dostatniego życia, domagajcie się zmiany polityki kolejnych rządów III Rzeczypospolitej!

Przypominajcie o tym naszym posłom i senatorom! Niech żaden radny i żaden poseł nie może liczyć na ponowny wybór, jeśli nie zrobił czegoś w tej sprawie, a żadna partia, która nie zobowiąże się jasno do znaczącego zwiększania co roku funduszy na ten cel, nie może liczyć na wasze głosy! Bądźmy solidarni w tej sprawie!

Warszawa, 8 października 1998 r.
DOC. DR HAB. KRZYSZTOF GAWLIKOWKI,
PROF. DR HAB. ANTONI KAMIŃSKI,
PROF. DR HAB. WITOLD KARCZEWSKI,
PROF. DR HAB. TADEUSZ KOWALIK,
PROF. DR HAB. JOANNA KURCZEWSKA,
PROF. DR HAB. ANDRZEJ PACZKOWSKI,
PROF. DR HAB. HENRYK SAMSONOWICZ,
DOC. DR HAB. JANUSZ SCHMINDA,
DOC. DR HAB. MARIAN SREBRNY,
PROF. DR HAB. JADWIGA STANISZKIS,
PROF. DR HAB. TOMASZ STRZEMBOSZ
DR PAWEŁ ŚPIEWAK
PROF. DR HAB. EDMUND WNUK-LIPIŃSKI,
PROF. DR HAB. ANDRZEJ KAJETAN WRÓBLEWSKI,
PROF. DR HAB. ANDRZEJ WYCZAŃSKI
(Lista ta jest wciąż uzupełniana)

Uchwała Senatu Politechniki Gdańskiej nr 62/98/XVIII z 14 października 1998 r. w sprawie apelu Komitetu Ratowania Nauki Polskiej do społeczeństwa

Senat Politechniki Gdańskiej na nadzwyczajnym posiedzeniu w dniu 14 października 1998 roku podjął uchwałę popierającą w pełni i jednomyślnie apel Komitetu Ratowania Nauki Polskiej do społeczeństwa.

Apel ten koresponduje ze stanowiskiem Senatu Politechniki Gdańskiej z dnia 6 lipca 1998 r. nr 61/98/XVIII i wyraża głębokie przekonanie, że dramatyczny głos w sprawie ratowania polskiej nauki i edukacji, adresowany bezpośrednio do społeczeństwa, wpłynie na decyzje władz III RP i zapobiegnie tragedii narodowej.

PRZEWODNICZĄCY SENATU PG
Rektor Politechniki Gdańskiej
prof. Aleksander KOŁODZIEJCZYK

Uchwała Senatu Politechniki Gdańskiej nr 61/98/XVIII z 6 lipca 1998 r. w sprawie przygotowywanego projektu budżetu państwa na 1999 rok

Środowisko akademickie jest bardzo zaniepokojone propozycjami założeń do budżetu państwa na rok 1999, dotyczącymi wysokości nakładów na szkolnictwo wyższe i naukę. Z informacji, które do nas docierają, wynika, że planowany jest dalszy spadek finansowania, liczonego udziałem procentowym PKB, dziedzin tak ważnych dla rozwoju każdego kraju. W ciągu ostatnich lat dotacja na szkolnictwo wyższe zmniejszyła się w Polsce z 1,05% PKB w 1990 r. do 0,83% w 1998 r., a na naukę odpowiednio z 0,76 % do 0,47%. Są to najniższe wskaźniki w Europie - kraje europejskie przeznaczają średnio 2% PKB na szkolnictwo wyższe. Równocześnie liczba studentów studiów dziennych w uczelniach publicznych wzrosła w ciągu tego okresu o ponad 60%, co w sumie spowodowało trzykrotne obniżenie realnej dotacji na jednego studenta. Tak drastyczne niedofinansowanie wywołało w polskim szkolnictwie wyższym kryzys, objawiający się obniżeniem poziomu i warunków studiowania, o czym mówi ubiegłoroczny raport NIK, a także gwałtownym spadkiem liczby nowo przyjmowanych tytułów naukowych, odchodzeniem z uczelni kadry naukowo-dydaktycznej, dekapitalizacją majątku trwałego uczelni. Dalsze utrzymywanie takiej sytuacji spowoduje utratę szans naszych absolwentów na rynku pracy w zjednoczonej Europie i obsadzenie kierowniczych stanowisk w Polsce kadrą zagraniczną. Bez pomocy państwa ogromne dążenie młodzieży polskiej do uzyskania wyższego wykształcenia zostanie zmarnowane.

Głęboki kryzys dotknął także naukę polską. Widoczny jest spadek jej prestiżu, pozycji i osiągnięć na arenie międzynarodowej. Przeznaczanie 0,47% PKB na naukę nie zapewnia nawet utrzymania jej dotychczasowego poziomu, prowadzi nieuchronnie do regresu - kraje, którym zależy na rozwoju, przeznaczają 2 - 3% PKB na naukę. Bez postępu w nauce nie można nawet marzyć o postępie w innych dziedzinach, ponieważ zabraknie wysoko kwalifikowanej kadry, zdolnej do wykorzystywania osiągnięć światowych.

Popieramy program reform proponowany przez Rząd RP. Nie może być on jednak realizowany zamiast lub kosztem rozwoju nauki, oświaty i edukacji na wyższym poziomie. Potrzeby nauki i szkolnictwa wyższego są nieporównywalnie niższe w stosunku do dopłat do nierentownych przedsiębiorstw i kosztów planowanej restrukturyzacji górnictwa oraz innych dziedzin gospodarki, a także reform ubezpieczeń społecznych, służby zdrowia, zmian administracyjnych Kraju, modernizacji armii. Co więc stoi na przeszkodzie zwiększeniu dotacji na naukę i szkolnictwo wyższe w Polsce? Wiedza we współczesnym świecie jest najcenniejszym towarem. Kiedy ten fakt dotrze do powszechnej świadomości, a przede wszystkim do elit politycznych?

Zwracamy się z gorącym apelem do rządu, Posłów i Senatorów RP oraz przywódców partii politycznych - jeszcze nie jest za późno na uratowanie polskiego szkolnictwa wyższego i nauki. Potrzebna jest jednak wola polityczna zarówno ze strony koalicji, jak i opozycji. Rosnące straty wywołane niedoinwestowaniem w tych dziedzinach odbijają się niekorzystnie na rozwoju Kraju i rzutować będą na życiowe szanse naszych dzieci, a także następnych pokoleń. Nadrobienie straconego czasu i odzyskanie nie wykorzystanych możliwości będzie coraz trudniejsze. Uważamy, że jest to sprawa nie mniej ważna niż reforma administracyjna Kraju.

PRZEWODNICZĄCY SENATU PG
Rektor Politechniki Gdańskiej
prof. Aleksander KOŁODZIEJCZYK

SOLIDARNOŚĆ w PG



Fot. T. Chmielowiec

Minęło już ponad pół roku od momentu, kiedy Walne Zebranie Delegatów NSZZ "Solidarność" Politechniki Gdańskiej wybrało nowe władze na czteroletnią kadencję.

Komisja Zakładowa wyłoniła 10-osobowe Prezydium, któremu mam przyjemność przewodniczyć, a które wprowadzi naszą organizację w trzecie Tysiąclecie. Brzmi to niezwykle poważnie i skłania do refleksji.

Każda zmiana "warty", to czas budowania nowych programów i opracowywania planów działania. Lecz działalność związkowa to przede wszystkim codzienne czuwanie nad sprawami pracowniczymi i interwencje w przypadku wszelkich sporów i konfliktów oraz aktywny udział w rozwiązywaniu ogólnozakładowych problemów. Stąd istnienie Związku czują przede wszystkim te osoby, które potrzebują pomocy prawnej lub osobistego wsparcia przedstawiciela Związku. Mamy jednak świadomość, że wszystko można robić lepiej i stąd nasze plany dotyczące ożywienia życia związkowego w Uczelni. Podstawowym zadaniem, jakie postawiły sobie nowo wybrane władze, jest ściślejsza współpraca z kołami, co przyczyni się do wzmocnienia więzi oraz roli Związku i ułatwi przepływ informacji o problemach występujących w poszczególnych jednostkach organizacyjnych. Pozwoli to na bieżące ich rozwiązywanie. Innym ważnym zadaniem jest usprawnienie informacji - chcemy, aby biuletyn z aktualnymi wiadomościami o działaniach Związku na wszystkich szczeblach docierał do naszych członków na bieżąco. Chcemy również, wykorzystując do tego celu struktury związkowe, podjąć starania na rzecz ściślejszego powiązania naszej Uczelni z gospodarką regionu.

A co w najbliższych czasie? Czekają nas ogromna praca, związana z wprowadzeniem reform systemowych, dotyczących zmian w funkcjonowaniu tak istotnych dla nas wszystkich dziedzin życia.

A co w najbliższych dniach? We wrześniu br. został wykonany nowy sztandar naszej Komisji Zakładowej, który zostanie poświęcony 11 listopada, podczas mszy św. odprawionej w Kościele Mariackim w Gdańsku, w 80. Rocznicę Odzyskania Niepodległości. W następny wiek wkroczyliśmy więc godnie i z zadumą. Skłania to bowiem do refleksji nad historią, również naszej uczelnianej "Solidarność", co czynimy na następnej stronie...

Tadeusz Szymański
Przewodniczący KZ NSZZ "Solidarność" w PG

Rys historyczny NSZZ "Solidarność" w Politechnice Gdańskiej

Dnia 14 sierpnia 1980 r. zastrajkowała Stocznia Gdańska. Rozpoczął się Polski Sierpień. Już 19 sierpnia pracownicy Politechniki Gdańskiej zgromadzeni na wiecu wybrali delegatów, którzy zanieśli pieniądze zebrane dla strajkujących stoczniovców, a nasz przedstawiciel, dr **Wojciech Gruszecki**, został członkiem Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego. Bezpośrednio po podpisaniu dokumentu między Komisją Rządową a MKS Gdańsk, kończącym strajk na Wybrzeżu Gdańskim, w dniu 2 września 1980 r. powołany został Komitet Inicjatorów Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego w Politechnice Gdańskiej, który 6 września przekształcił się w Komitet Założycielski NSZZ, liczący 44 członków - przedstawicieli wydziałów, instytutów, pionów i innych jednostek organizacyjnych Politechniki Gdańskiej. Prezesem wybrany został **Stefan Gomowski**. Już wówczas zdecydowana większość pracowników PG poparła nowy Związek Zawodowy i opuściła szeregi Związku Nauczycielstwa Polskiego. Po wyborach młóżw zaufania w kołach, zebrani w dniu 7 stycznia 1981 r. na Walnym Zebraniu Delegatów dokonali wyboru władz szczebla uczelnianego Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego "Solidarność". Prezesem 42-osobowej Komisji Zakładowej został **Tadeusz Sukowski**. Rozpoczął się okres walki o prawa związkowe i socjalne, przerwany brutalnie 13 grudnia 1981 r. wprowadzeniem w kraju stanu wojennego i delegalizacją NSZZ "Solidarność". Internowani zostali nasi koledzy: Tadeusz Sukowski, Jacek Gajek i student Jerzy Kobyliński.

Mimo to "Solidarność" istniała w Politechnice Gdańskiej cały czas. Wydawano podziemny Biuletyn (autorstwa nieżyjącego już **Staszka Kowalskiego**), udzielano zapomóg statutowych i losowych, załatwiano interwencje w obronie naszych członków. W latach 1982 - 1989 ok. 500 pracowników PG regularnie płaciło składki związkowe, na dowód czego otrzymali specjalne "wojenne" legitymacje związkowe.

Wreszcie 19.09.1988 r. powstał na naszej Uczelni Komitet Organizacyjny Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego "Solidarność" Pracowników Politechniki Gdańskiej (11 osób), który działając zgodnie z intencją 354 pracowników Politechniki Gdańskiej, złożył w Sądzie Wojewódzkim w Gdańsku wniosek o rejestrację Związku. W dniu 3 listopada 1988 r. sąd odrzucił wniosek. Odwołaliśmy się do Sądu Najwyższego.

17 kwietnia 1989 r. w wyniku rozmów "okrągłego stołu" ponownie zalegalizowano NSZZ "Solidarność". W ciągu miesiąca przeprowadzono demokratyczne wybory we wszystkich kołach jednostek organizacyjnych PG, a 20 czerwca 1989 r. Walne Zebranie Delegatów NSZZ "Solidarność" w Politechnice Gdańskiej wybrało swoje władze na okres: czerwiec 1989-listopad 1991 r. Przewodniczącym Komisji Zakładowej został **Kazimierz Frydel**, nieformalny lider Związku w okresie stanu wojennego i całego okresu do czasu ponownej legalizacji.

Lata 1989-1991, to czas zwycięskich dla "Solidarności" wyborów parlamentarnych i prezydenckich (L. Wałęsa wybrany na Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej w 1990 r.). Wówczas okazało się, jak tragiczny jest stan polskiej gospodarki pozostawionej nam z dnia na dzień, po 45 latach komunistycznych rządów. Rozpoczęła się budowa nowego, demokratycznego państwa i mozolna odbudowa gospodarki kraju.

A na Uczelni: dyskusje nad projektem Ustawy o Szkolnictwie Wyższym oraz Ustawy o Tytułach i Stopniach Naukowych, tworzenie Funduszu SOS, akcja pomocy polskim dzieciom w ZSRR, a także sprawy płacowe, socjalne oraz współpraca ze studentami i innymi Uczelniami. Nade wszystko jednak promocja Związku i przyjmowanie nowych członków. We wrześniu 1989 r. do "Solidarności" w PG należały 1742 osoby (49% zatrudnionych w PG). W roku 1981 do "Solidarności" należało 65-70% ogółu pracujących w PG.

26 listopada 1991 r. na III Walnym Zebraniu Delegatów NSZZ "Solidarność" w PG wybrano nowe władze Związku na kadencję 1991-1994. Przewodniczącym Komisji Zakładowej został **Tadeusz Kolenda**. Tytuł Honorowego Przewodniczącego NSZZ "Solidarność" w PG został przyznany **Kazimierzowi Frydłowi**, wieloletniemu działaczowi naszej organizacji. "Solidarność" na PG była wówczas i do dziś pozostała siódmą co do wielkości organizacją związkową w Regionie Gdańskim. Rozpoczęła wydawanie własnego "Serwisu Informacyjnego", zatrudniła prawnika udzielającego porad prawnych członkom Związku, walczyła z gwałtownym spadkiem realnych dochodów pracowników sfery budżetowej, sięgając nawet po broń strajkową; 14 grudnia 1992 r. strajk ostrzegawczy NSZZ "Solidarność", 5-6 maja 1993 strajk czynny w Politechnice Gdańskiej.

W tych latach członków Związku zaczęły różnicować sympatie partyjne. Powstało kilkadziesiąt partii postsolidarnościowych. Zaczęła spadać liczba członków NSZZ "Solidarność" w PG. Na koniec 1994 r. "Solidarność" w PG liczyła 1028 członków, w tym 450 nauczycieli akademickich i 578 nie będących nauczycielami.

Na kadencję 1995-1997, Walne Zebranie Delegatów NSZZ "Solidarność" w PG na przewodniczącego Komisji Zakładowej wybrało ponownie Tadeusza Kolendę. W kadencji tej i rząd RP i Prezydent Kraju wywodzili się z opcji postkomunistycznej. Powodowało to spięcia i iskrzenia na linii "Solidarność" - Rząd. Ale w PG Związek robił "swoje". Walczył o "godny" rozdział minimalnych podwyżek. Współtworzył nowe regulaminy, m.in. regulamin rozdziału funduszu socjalnego, wybierał społecznych inspektorów pracy itd. Już w czerwcu 1996 r. wyraził głębokie zaniepokojenie sytuacją, w jakiej znalazł się polski przemysł stoczniowy, w tym Stocznia Gdańska.

W dniach 29-30 listopada 1996 r., w auli Politechniki Gdańskiej, odbyło się IV Walne Zebranie Delegatów NSZZ "Solidarność" Regionu Gdańskiego. W międzyczasie powstała Akcja Wyborcza Solidarność, poprzez którą członkowie naszego Związku mogli prowadzić działalność polityczną. W lipcu i sierpniu '97 Związek zaangażował się mocno w pomoc ofiarom wielkiej powodzi w południowo-zachodniej Polsce. Zwycięstwo AWS w wyborach parlamentarnych we wrześniu 1997 r. rokowało nadejście "lepszego okresu" dla realizacji programu "Solidarności".

19 marca 1998 r. na Zakładowym Zebraniu Delegatów NSZZ "Solidarność" w Politechnice Gdańskiej wybraliśmy nowe władze związkowe na kadencję 1998-2002. Przewodniczącym Komisji Zakładowej został **Tadeusz Szymański**. NSZZ "Solidarność" w PG liczy obecnie 941 członków, w tym 378 nauczycieli akademickich i 563 osoby nie będące nauczycielami. Ponadto 106 byłych pracowników PG, to członkowie bardzo aktywnego Koła Emerytów i Rencistów.

*Ryszard Klokowski
Wydział Budownictwa Lądowego*

O TEMPORA, O MORES!

Fragmety przemówienia inauguracyjnego r. ak. 1998/1999 na Wydziale Budownictwa Lądowego PG

Na początku naszego dzisiejszego spotkania zabrzmiała stara pieśń studentów "GAUDEAMUS IGITUR". Dzisiaj łacina nie jest w użyciu i nawet zniknęła w dużym stopniu z liturgii Kościoła Rzymskiego. Wy, młodzi, pewnie nie znacie jej w ogóle, a my starsi, choć kiedyś się jej uczyliśmy, też dziś nie mamy dobrej znajomości tego podstawowego dla naszej kultury europejskiej języka. Dlatego może warto przypomnieć słowa kilku zwrotek tej pieśni; oto one:

Radujmy się więc, dopókiśmy młodzi,
po przyjemnej młodości,
po uciążliwej starości
posiędzie nas ziemia.

Życie nasze krótko trwa
i szybko się kończy,
chyżo nadchodzi śmierć
i porывa nas okrutna
nikogo nie oszczędzi,

Niechaj żyje Akademia,
niech żyją profesorowie,
niech żyje każdy członek Fakultetu,
niech żyją wszyscy członkowie,
niechaj rozkwitają.

Niechaj żyje i państwo
i ten, kto nim rządzi,
niech żyje nasze miasto,
mecenasów łaskawość,
która nas tu chroni.

Niechaj żyją wszystkie panny
przystępne i piękne,
niechaj żyją i mężatki
młode i miłe,
dobre i pracowite

Jak widać z tych słów, zawierają się w nich uczucia związane z przemijaniem, ale też trochę "wisielczego" humoru, wynikającego z atrybutów młodości. Kilka lat studiów szybko Wam minie i wcale niedługo, za dziesięć lat, będziecie mogli już spojrzeć na Wasze studia z perspektywy czasu. Słyszysz się dziś opinie, że dla kogoś, dla którego łacina jest żywym językiem (rzeczywiście, są tacy), czas zdaje się zaginać, przeszłość staje się terażniejszością, a terażniejszość - przeszłością; pojawia się pojęcie ducha lub znaku miejsca. Tutaj dygresja: jeśli mówimy o łacinie, warto pamiętać, że np. 70 % słów języka angielskiego ma swoje źródło w łacinie.

Cóż to więc jest ten czas? Mówi się niekiedy trywialnie: "Czas, to pieniądź". Patrząc jednak głębiej, widzimy, że rządzi on w jakiś sposób naszym życiem - jest więc argumentem pewnych funkcji. Często mówi się, że los człowieka zależy od tego, czy znalazł się on, lub - nie znalazł, w odpowiednim czasie i w odpowiednim miejscu.

Tutaj, w naszych rozważaniach, wkraczamy trochę w domenę dzisiejszego wykładu inauguracyjnego, ale p. dr. WALUKIEWICZ chyba nam to wybaczy. Spróbujmy zdefiniować czas. Jest to "porządek doświadczonej przez nas rzeczywistości". Jak czytamy u filozofów: "artykułując czas, dzieląc go tak a nie inaczej, porządkujemy więc świat w określony sposób: dzięki tej artykulacji świat doświadczamy jako zmienny, jako przemijający". Pojawia się zatem czynnik zmienności. Mówi się "la donna

é mobile" - "kobieta zmienną jest". Jednakowoż, obok zjawisk (rzeczy czy osób) zmiennych i przemijających istnieją też (czego na co dzień nie dostrzegamy) pojęcia niezmiennie i nieprzemijające; jednym z nich jest matematyka. I tutaj lądujemy już bliżej spraw studiów technicznych. Dlaczego matematyka, ta wieczna i niezmienna nauka, jest często nie lubiana? Czy dlatego, że jest logiczna, że 2x2 zawsze jest 4? Otóż to - dzisiejszy człowiek nie lubi, gdy się go do czegoś zmusza, uważa, że nie wolno zadawać gwałtu jego wolności. Tymczasem matematyka wymaga od niego wewnętrznego rygoru. Takie rygorystyczne podejście do świata jest jednak niezbędne w technice. Zaprojektowanie i zbudowanie domu, mostu czy drogi, nie da się wykipić podejściem z pozycji "luzu", ale obrazuje sobą logiczny, zdeterminowany i zmaterializowany łańcuch ideowy. Studiując na uczelni technicznej potrzeba zatem, z pewnością, dużo wewnętrznej dyscypliny i poczucia odpowiedzialności, co winno się uzewnętrznić w sposób ogólny, poważnym stosunkiem do swej pracy, a w zawodzie inżyniera budownictwa - przemysłowym, dobrym projektem i sumienną jego realizacją. Tak więc, aby tak było, musicie dbać o to, żeby kształtować w sobie te cechy charakteru, które budowie takiej sylwetki inżyniera sprzyjają.

Na tym ten wątek zakończę - więcej w tej materii usłyszycie zapewne z ust autora dzisiejszego wykładu inauguracyjnego: Aby zbudować, trzeba jednak wcześniej trochę pofilozofować. Dajmy więc drogę temu hasłu, które wkrótce będzie Waszą ogólną rzeczywistością. Dopadną Was jednak także szczegóły - kolokwia, projekty, laboratoria, zaliczenia i egzaminy; sprwadzi to Was na twardy grunt rzeczywistości. Aby przez to wszystko przebrnąć, musicie mieć dużo wytrwałości i wiary w ostateczny sukces. Wasi nauczyciele będą się starać Wam w tym wszystkim pomagać. Miejmy nadzieję, że wspólnym wysiłkiem studia zakończą się w pełni po Waszej myśli. Zanim to jednak nastąpi, pozwalam sobie dziś, na początek, wypowiedzieć "sakramentalną" formułę "Rok akademicki 1998/1999 na Wydziale Budownictwa Lądowego Politechniki Gdańskiej ogłaszam za otwarty".

P.S. W dniu 1 października, na centralnej inauguracji roku akademickiego 1998/1999 w Politechnice Gdańskiej, wysłuchaliśmy okolicznościowego przemówienia JM Rektora Politechniki Gdańskiej, prof. dr. hab. inż. Aleksandra Kołodziejczyka. Sądzę, że wyrażało ono myśli olbrzymiej wielkości naszego środowiska akademickiego; osobiście - w pełni się z duchem tego przemówienia solidaryzuję. O wadze, jaką przywiązuje się aktualnie do spraw nauki i nauczania, świadczy dzisiejsza rzeczywistość szkół wyższych. Właściwym odbiciem stosunku do tych spraw mogą być nasze media. Przykładowo - Dziennik Bałtycki pisząc, nazajutrz po inauguracji w Politechnice Gdańskiej, poświęcił tej sprawie pięć zdawkowych zdań i jedno zdjęcie mniejsze od wizytówki. Na dodatek, wielką troskę Magnificencji o przyszłość naszego szkolnictwa wyższego skwitowano krótkim "Według Kołodziejczyka, ... szkoły wyższe nie są dochodowe", więc nie dziw, że wspomniane pismo wolało 2 października 1996 r., na swej pierwszej stronie, raczej przybliżyć swym czytelnikom jeszcze jedną metodę "robienia" pieniędzy pod wiodącym "ambitnym" tytułem "Dochodowy Bobas".

Zbigniew Cywiński
Wydział Budownictwa Lądowego

Budować i filozofować

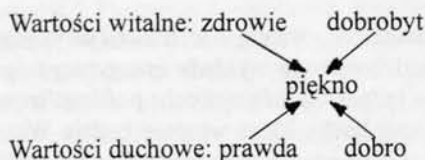
Wykład inauguracyjny r.ak. 1998/1999 na Wydziale Budownictwa Lądowego PG

Filozofia - namysł nad sprawami podstawowymi

"*Nutrimentum spiritus*" (*pokarm dla ducha*) to motto Katedry Mechaniki Budowli, w której pracuję. Taka sentencja zobowiązuje do podjęcia w wykładzie inauguracyjnym problemów najogólniejszych.

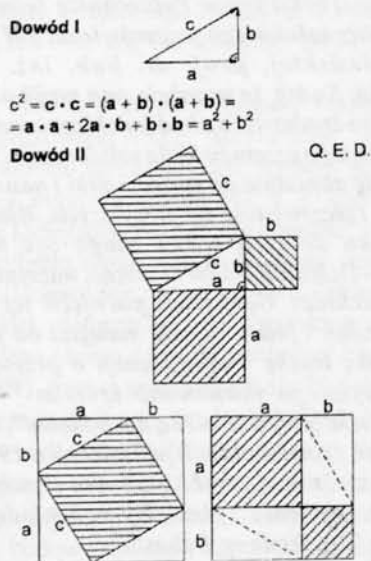
Tradycja europejska przekazała nam (ze starożytnej Grecji, już od wieku VII p.n.e.) pewne podstawowe pytania, a próby odpowiedzi na nie nazwano filozofią. Przykładem klasycznego pytania filozoficznego może być: *dlaczego jest w ogóle BYT, a nie raczej NIC?*

Autor ograniczy się w swoich uwagach do dwóch skromniejszych kręgów zagadnień, które można określić jako filozofie ludzkich dążeń i filozofie metod poznawania świata. W dziedzinie dążeń człowieka można wyróżnić wartości, które wzmacniają biologiczne trwanie jednostek lub zbiorowości (wartości materialne nazywane też witalnymi) i wartości specyficznie ludzkie, które są nadzwyczaj ceniłone, ale które mogą narażać trwanie biologiczne na ryzyko (wartości duchowe). Podział ten przedstawiamy w postaci diagramu dla kilku wybranych wartości.



Należy podkreślić istnienie konfliktu między wartościami witalnymi i duchowymi. Na przykład podjęcie studiów wyższych, rozumianych jako rzetelne i w miarę bezinteresowne poznawanie fragmentów rzeczywistości, wymaga powstrzymania - być może na pewien czas - dążenia do bogactwa i komfortu.

Z drugiej strony, nie dbając o dobrobyt osłabiamy zbiorowość i nie będziemy mogli, dzięki niemu, pomagać innym. Widoczne jest, że wobec tego konfliktu wartości, pożądane jest poszukiwanie stanu pewnej harmonii. Dlatego w diagramie wyróżniono złożoną kategorię piękna, które może harmonizować rozbieżne dążenia. Piękno może być zmysłowe, np. widok



Rys. 1. Dwa dowody twierdzenia Pitagorasa

z wieży ratusza gdańskiego na Głównie Miasto działa na nas harmonią kształtów i barw. Piękno może być również symboliczne, np. piękno struktur matematycznych.

Prezentując dwa dowody twierdzenia Pitagorasa autor części spotykał się z określeniem *piękny* w odniesieniu do drugiego dowodu. Z tym elementarnym twierdzeniem spotkamy się jeszcze w nieoczekiwanym kontekście pod koniec wykładu.

Kryterium piękna jest coraz częściej stosowane w technice (budownictwie) i czasem może być ważniejsze niż kryterium ekonomiczne, np. w budowie eksponowanych mostów (por. fotografie mostów na III okładce).

Mówiąc o metodach poznawania świata, szczególną uwagę na studiach technicznych przywiązujemy do poznania racjonalnego. Racjonalność rozumiemy tu jako pierwotną zdolność człowieka do tworzenia zrozumienia przyrody i techniki. Dobrze uzasadniona wydaje się następująca teza filozoficzna: *to, co nie jest racjonalne, prędzej czy później musi ulec zniszczeniu, rozerwane wewnętrznymi sprzecznościami*. Teza ta powinna być szczególnie bliska przyszłym inżynierom budownictwa, ponieważ głównym zadaniem naszej profesji jest zapewnienie bezpieczeństwa fizycznego budowli i bezpieczeństwa psychicznego użytkowników, jeżeli związane jest z budowlami.

Podjęcie racjonalne najpełniej realizuje się w tworzeniu matematycznych modeli badanych zjawisk. Modele takie kreuje się w celach poznawczych, dydaktycznych lub użytkowych.

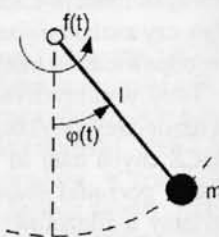
Ogólnym celem dyscypliny nazwanej *mechaniką budowli* jest tworzenie i analizowanie modeli teoretycznych budowli rzeczywistych. Przy tworzeniu modeli korzystamy głównie z intuicji i z szeroko rozumianego doświadczenia. Przy analizie modeli korzystamy z matematyki i informatyki. Pozostałe dwie części wykładu będą dotyczyły perspektyw modelowania w mechanice konstrukcji i w budownictwie.

Modelowanie w teorii konstrukcji - nieliniowość i rozwiązania chaotyczne

Istotą modelowania jest przyjęcie, że określona struktura matematyczna reprezentuje pewien aspekt rzeczywistych konstrukcji. Podstawową strukturą są funkcje, na ogół nieliniowe. Nieliniowość najprościej określamy w języku fizycznym, wyróżniając w dowolnym układzie przyczyny i skutki.

Nieliniowość oznacza, że przy sumowaniu przyczyn, ich skutki w układach nie sumują się. W układach liniowych jest spełniona tzw. zasada superpozycji, czyli sumowanie się skutków przy sumowaniu przyczyn. Trzeba podkreślić, że większość norm konstrukcji budowlanych oparta jest na modelach liniowych. *Im lepiej poznajemy jednak własności konstrukcji, tym bardziej nieliniowo ujawniają one charakter*. Jako przykład rozważmy modelowanie ruchu wahadła.

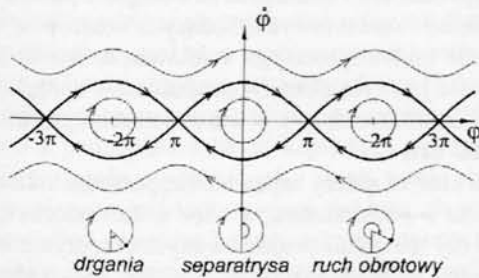
Model ten ważny jest nie tylko w teorii konstrukcji, ale występuje ogólnie w naukach przyrodniczych. Tradycja przekazała nam obraz Galileusza, obserwującego w kościele żyrandol, którego okres drgań nie zależy od amplitudy wychylecia. Można jednak powiedzieć, że zrozumienie ruchu wahadła nastąpiło dopiero w ostatnich latach. Dodając wszystkie siły działające na wahadło w chwili t , otrzymujemy model matematyczny wahadła o masie m , w postaci tzw. równania



Rys. 2. Model wahadła

nia różniczkowego ruchu, czyli równania dla kąta wychylenia $\varphi(t)$: *siła bezwładności + siła tłumienia + siła pola grawitacyjnego = siła zewnętrzna (wymuszenie) harmoniczna*. Przy dużych kątach $\varphi(t)$ równanie to jest nieliniowe.

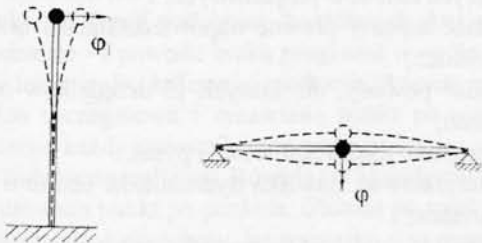
Przypadek szczególny równania, bez tłumienia i siły wymuszającej, opisuje ruch swobodny wahadła. Rozwiązania tego uproszczonego równania mogą być trzech typów: drgania harmoniczne, ruch obrotowy i stany równowagi.



Rys. 3. Rozwiązania równania ruchu swobodnego wahadła

Zależy to od warunków początkowych: położenia wahadła $\varphi(0)$ i prędkości kątowej $\dot{\varphi}(0)$. Jeżeli jednak występuje tłumienie i wymuszenie, to dla pewnych wartości parametrów układu istnieją rozwiązania bardzo nieregularne, tzw. rozwiązania chaotyczne.

Przez ostatnie pół wieku fizycy i inżynierowie popełniali błąd, sądząc, że ustalone w czasie drgania muszą być harmoniczne. Najbardziej istotną cechą rozwiązań chaotycznych jest ich niezwykła wrażliwość na zmianę warunków początkowych. Nieliniowe modele drgań konstrukcji inżynierskich takich jak, wieże, stropy, mosty, są podobne do modelu wahadła, z tym, że zamiast siły grawitacji mamy siły sprężystości materiału (w istocie są to siły elektromagnetyczne).



Rys. 4. Modele konstrukcji drgających

Ogólny wniosek, że proste układy nieliniowe nie muszą się zachowywać w sposób prosty, ma duże znaczenie ogólnopoznawcze.

Sieci neuronowe w modelowaniu w budownictwie

W ostatnich latach jesteśmy świadkami przyspieszonego rozwoju sztucznej inteligencji i jej zastosowań w technice. Rozwinęły się efektywnie metody uczenia sieci neuronopodobnych, czyli sieci neuronowych symulowanych na komputerach. Bardzo uproszczone modelowanie komórek neuronowych (neuronów) systemu nerwowego żywych istot dało obiecujące wyniki w sztucznych systemach przetwarzających informacje równoległe.

W podstawowym przypadku, tzw. sieci perceptronowej prostej, reakcja neuronu wyrażona jest pewną funkcją nieliniową od iloczynu skalarnego dwóch wektorów:

$$y = f(x_1 w_1 + \dots + x_n w_n),$$

gdzie f jest funkcją o wartościach w zbiorze $[-1, 1]$, n jest liczbą wejść do neuronu, x_i reprezentują sygnały wejściowe o wartościach 0 lub 1, w_i (tzw. wagi) są liczbami rzeczywistymi opisu-

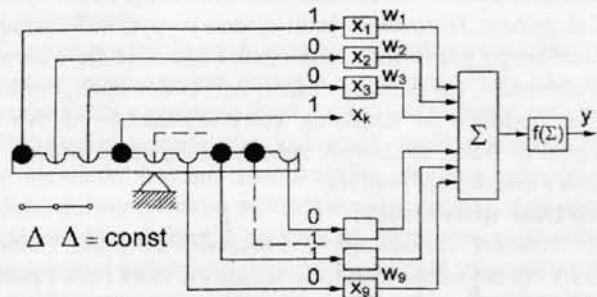
jącymi intensywność oddziaływań między wejściami i neuronem.

Przy uczeniu sieci pod nadzorem, wprowadza się ciąg uczący złożony z N par $(x_i(j), d(j))$ zawierających wektor $x_i(j)$ w j -tym kroku uczenia i informację o pożądanej reakcji $d(j)$ neuronu w tym kroku. Sieć uczy się prawidłowych wag w_i , minimalizując błąd, który można interpretować jako kwadrat odległości od stanu pożądanego w przestrzeni N -wymiarowej (zgodnie z uogólnionym twierdzeniem Pitagorasa):

$$\min e = (d(1) - y(1))^2 + \dots + (d(N) - y(N))^2$$
, gdzie $y(j) = f(x_1(j)w_1 + \dots + x_n(j)w_n)$, $j = 1, 2, \dots, N$. Uczenie sieci jest efektywne, jeżeli wagi początkowe w_i są losowe i sygnały wejściowe uczące są wybierane w kolejności losowej.

Bardzo ważną cechą sieci neuronowej jest jej zdolność uogólniania, tj. zdolność do generowania właściwych reakcji dla danych należących do zbioru sygnałów wejściowych, na których sieć nie była uczona. W budownictwie sieci neuronowe mogą być stosowane np. w zagadnieniach prognozowania kosztów i efektywności projektów. W mechanice budowli sieci te mogą rozwiązywać dowolne zagadnienia teorii konstrukcji.

Ponieważ nasi studenci rozpoczynają zajęcia w Katedrze od obszernego studium równań równowagi, to jako przykład rozpatrzmy układ rozpoznawania równowagi ciała sztywnego (dźwigni).



Rys. 5. Sztuczny neuron rozpoznający równowagę

Stany pożądane to równowaga ($d = 0$) i brak równowagi ($d = 1$ lub $d = -1$). Dźwignia dwuramienna, symetryczna, poddana jest działaniu skończonej liczby równych mas, umieszczonych w stałych odległościach. W każdej próbie masy rozmieszczone są dowolnie (liczba mas n , tu $n = 9$). Dla funkcji neuronu f w postaci tangensa hiperbolicznego i dla zbioru uczącego o liczności $N = 40$ otrzymano wektor wag $w_i = (-4, -3, -2, -1, 0, 1, 2, 3, 4)$, który prawidłowo rozpoznaje równowagę.

Uwagi końcowe

Rozpoczynając dziś studia, studenci otrzymają w czasie nauki niepowtarzalną szansę włączenia się do rozwoju nowych metod modelowania w budownictwie: sztucznej inteligencji i modeli nieliniowych.

Słowa wykładu mają zawsze ograniczony wpływ - do rzetelnych studiów można zachęcić tylko tych, którzy sami odczuwają potrzebę poszukiwania prawdy. Na pytanie: *co to jest prawda?* potrafimy odpowiedzieć, jeżeli technikę będziemy uważali za naukę ścisłą zamienioną w działanie w służbie wartości.

Poeta Edward Stachura w refleksji nad przemijaniem napisał: *"... nie masz tu nic trwałego poza tęsknotą za trwałością"*. *Warto więc pamiętać, że w zawodzie inżyniera budownictwa mamy przywilej tworzenia rzeczy najbardziej trwałych, z tych, które możliwe są w technice.*

Henryk Wałukiewicz
Wydział Budownictwa Lądowego

JUTRO JEST DZISIAJ

Tegoroczny wrzesień obfitował w wydarzenia ze sfery edukacji technicznej. W Krakowie pod auspicjami *UNESCO International Centre for Engineering Education* odbył się światowy kongres kształcenia inżynierów, a w Zakopanem druga międzynarodowa konferencja EQAS '98 poświęcona zapewnieniu jakości tego kształcenia, zorganizowana przez Akademię Górniczo-Hutniczą. W stolicy zaś i we Wrocławiu przygotowano festiwale nauki. Na podstawie doniesień prasowych i potocznej obserwacji życia codziennego można by sądzić, że w świecie akademickim dominują dziś kierunki służące bezpośrednio rynkowi, biznesowi, finansjerze i polityce. Tymczasem "czyste" nauki przyrodnicze i techniczne wcale nie mają się źle. I chociaż Polskę charakteryzuje wskaźnik skolaryzacji ponad czterokrotnie mniejszy od amerykańskiego, a trzykrotnie od Unii Europejskiej, mimo to przedstawiciele wykształconych narodów chętnie prezentują tu światowe trendy w nauce, zdziwieni bardzo często naszymi osiągnięciami. Konfrontacja tutejszej rzeczywistości z wizjami tworzonymi przez ich lokalne lub globalne media wypada zwykle na naszą korzyść. I tak np. młodego przybysza z Półwyspu Iberyjskiego zadziwiło, że w Polsce jest na tyle bezpiecznie, iż można spacerować po ulicach, a Szkotów - niespodziewana bliskość prawdziwych gór w Zakopanem. Uczestnik z Indii uparcie wypytywał o składniki serwowanego pożywienia, panicznie obawiając się wołowych komponentów, zaś goście z czarnej Afryki dociekali, czy Europa jest podobna do Krakowa, który ich zachwylił. No cóż, autopsja to wciąż atrakcyjny sposób zdobywania wiedzy. Ale można i inaczej, np. poprzez

virtual university,

czyli *National Technological University* ze stanu Colorado w USA. Ta prywatna instytucja działa od 1984 roku i posiada pełną akredytację w zakresie kształcenia na odległość osób, którym zajmowane stanowisko nie pozwala na oderwanie się od miejsca pracy. Od 1990 roku obsługę administracyjną realizuje się wyłącznie za pośrednictwem Internetu, natomiast usługi edukacyjne są transmitowane drogą cyfrowej telewizji satelitarnej. Oferta obejmuje kursy magisterskie na kierunku *Electrical Engineering, Computer Science, Engineering Management* oraz międzynarodowy stopień *MBA*, a od przyszłego roku planowane jest otwarcie kursu *Information Technology Management*. Ten wirtualny uniwersytet zatrudnia 35 pełnoetatowych pracowników, odpowiedzialnych głównie za całodobową emisję kursów do ponad tysiąca odbiorców w różnych miejscach globu. Utrzymują oni bieżącą współpracę z 48 centrami uniwersyteckimi, a ściśle - z ich najprzedniejszą kadrami. Internet ułatwia wzajemne kontakty studentów i profesorów, choć z natury rzeczy nie są to kontakty typu

f 2 f,

czyli twarzą w twarz (*face to face*). Oprócz fascynacji nauczaniem na odległość, obficie zasilanym środkami Unii Europejskiej, pojawiały się także głosy sceptycyzmu wskazujące słabości tego systemu. Istotnym ograniczeniem jest brak rzeczywistych zajęć laboratoryjnych oraz niemożność poznania klimatu życia w społeczności akademickiej. Umyka także doświadczenie relacji mistrz-uczeń, czyli bezpośredniego kontaktu studenta z nauczycielem akademickim. Przypomniałem sobie ubiegłoroczną konferencję w Budapeszcie, gdzie pewna Amerykanka zachwyliła się zaludnieniem tamtejszych akademików, dostrzegając jego prospołeczne zalety. Opowiadała ona o zaniku umiejętności utrzymywania więzi międzyludzkiej

wśród studentów amerykańskich, gdzie standardem od lat jest pokój jednoosobowy z *pecetem*. Powszechne komunikowanie się za pośrednictwem technicznych mediów eliminuje kontakt fizyczny i realność jego skutków. Wzrasta pokolenie, które uczy się współistnienia z książką, ekranu lub na specjalnych kursach. Uatrakcyjnienie ofert nauczania na odległość polega dziś więc na tzw. dniach kontaktowych, będących kosztowną namiastką prawdziwie uniwersyteckiego studiowania. Rynek nauczania na odległość jest żyłą złotą dla producentów oprogramowania, ale nawet najdoskonalszy *soft ware* nie spełni postulat

hands on,

zgodnie z którym należy zapewnić bezpośredni kontakt fizyczny studenta z przedmiotem, a więc w laboratorium, podczas pokazów czy specjalnie projektowanych eksperymentów. Jedynie piętnaście minut dano prof. K. Yoshida (Tokyo Metropolitan College of Aeronautical Engineering, Japonia), na zaprezentowanie tej metody stosowanej przy realizacji przedmiotu "Historia nauki i techniki". Owacyjnie przyjęto pokaz prostych eksperymentów, aranżowanych przy użyciu surowców wtórnych ze śmietnika, które z pewnością "bawią i uczą". Wypada wspomnieć o bezwzględnym traktowaniu odpadków w Japonii, z mocy prawa segregowanych już u "producenta", następnie konfekcjonowanych i przemysłowo utylizowanych. Przykład uatrakcyjnienia zajęć dydaktycznych poprzez wiązanie ich z bieżącymi wydarzeniami podał prof. Kevin Rochford (University of Cape Town RPA). Otóż tematów prac studenckich dostarczyła tragedia z 1996 roku, kiedy to dwóch chłopców poniosło śmierć w wyniku zassania przez wadliwy system pompowy basenu pływackiego w Cape Town. Element horroru nie przeszkodził w formułowaniu na bazie tego wydarzenia następujących tematów projektowych:

- zbadać aspekty prawne odpowiedzialności urzędników miejskich;
- zbadać powody, dla których 15 urzędników odmówiło zeznań;
- opracować listę wątpliwości i pytań;
- zinterpretować zjawiska hydrauliczne leżące u podstaw zdarzenia;
- zbudować model do rekonstrukcji wypadku;
- opracować instrukcję eksploatacji basenów kąpielowych.



Fot. 1. Prof. K. Rochford, w asyście prof. D. K. Harrisona, wykorzystując surowce wtórne, prezentuje zjawisko elektrostatycznego wpływu ładunku na ciało przewodzące

Można by przypuścić, że te ciekawostki ze świata niewiele mają wspólnego z polską rzeczywistością. Jednakże wielokrotnie powtarzane słowo *globalization* wyrażało klarownie uniwersalność omawianej problematyki i powszechność występowania niektórych zjawisk. Kilka referatów i wiele głosów w dyskusji poświęcono projektowi *global engineering curriculum*, którego realizacja według przekonania pomysłodawców miałaby przynieść oszczędności, dostarczając gotowe programy studiów do stosowania w całym świecie. Taki "globalny program kształcenia inżynierów" wydawać się może atrakcyjny, ale dla każdego, kto choćby doraźnie otarł się o prace rodzimej komisji programowej, idea ta brzmi utopijnie, a nawet cokolwiek totalitarnie. Także wizja globalnego pracodawcy na rynku światowym, związanego z ponadpaństwowym kapitałem, nie przekonuje, gdyż zarówno aspekt produkcji, jak i zbytu, wiąże się z lokalnymi uwarunkowaniami kulturowymi, od których nie sposób abstrahować. Pod pojęciem kultury lokalnej należy rozumieć zarówno zbiór cech danej społeczności, jak też i zasób wiedzy i umiejętności jej liderów. Dlatego też wydaje się bardziej przystająca do edukacyjnej rzeczywistości koncepcja

glocal.

czyli *global&local*, ujmująca zarówno ogólne cechy procesu globalizacji, jak i indywidualne wartości kulturowe tradycji lokalnych. Ową różnorodność kulturową wyjaśnił prof. Swadhin K. Ghosh (GKN International College of Engineering, Lohmar, Niemcy), poddając żartobliwej analizie syndrom "programu spotkania" (ang. *agenda*) na przykładzie kilku kultur. I tak *agenda* w wydaniu brytyjskim, to zawsze wzorowo napisany program, choć samo spotkanie mogłoby obyć się bez niego, gdyż już uprzednio wszystko przedyskutowano, uzgodniono i temat wyczerpano; spotkanie przebiega więc w miłej atmosferze pogawędek towarzyskich. Nie mniej znakomita *agenda* tkwi w ręku uczestnika włoskich posiedzeń, jednakże burzliwa dyskusja nie pozwala na ogół posunąć się poza pierwszy punkt. W Grecji podobnie - burzliwa dyskusja trwa do końca, jednakże - z powodu braku programu w ogóle - kończy się ustaleniem terminu kolejnego spotkania. *Agenda* niemiecka jest bardzo szczegółowa i omawiana punkt po punkcie, w wyniku czego każdy uczestnik otrzymuje na koniec spotkania następne zadanie do realizacji. Również w Skandynawii *agenda* jest dyskutowana punkt po punkcie, chociaż po spotkaniu niewiele pozostaje już do roboty, bo wszystko wykonano uprzednio. Jak wygląda polska *agenda*? Profesor zbył moje zapytanie, pewnie w zgodzie z zasadami *political correctness*.

Wielu uczestników konferencji wyrażało przekonanie, że rynek pracy powinien bezpośrednio wytyczać kierunki i programy kształcenia inżynierów. Zdaje się, że pogląd ten cechuje przedstawiciele tych instytucji edukacyjnych, które mają charakter wyższej szkoły zawodowej nie prowadzącej badań, ale i też nie podejmującej się zadania kształtowania, czy - jak się dziś często mówi - formowania absolwenta. Przedstawiciele przemysłu pytani o jego pożądane cechy wymieniają języki obce, obsługę komputera oraz komunikatywność, i to niezależnie od długości i szerokości geograficznej. Doksztalcenie zawodowe gotowi są realizować we własnym zakresie według doraźnych potrzeb. Gdyby szkolnictwo chciało uwzględnić te zmienne i krótkofalowe potrzeby, groziłoby to permanentnym nienadążaniem za potrzebami gospodarki, czego już doświadczają niektóre kraje. Z drugiej strony, gdyby postulowany przez przemysł model absolwenta uznać za obowiązujący, to kształcenie uniwersyteckie stałoby się po prostu zbędne. Niektórzy nazywają absolwenta "produktem", stosując jako miarę jego jakości stopień zadowolenia pracodawcy. Może to budzić pew-

ne wątpliwości, szczególnie gdy instytucja nauczania jest finansowana z budżetu państwa. Mogłoby się wydawać, że beneficjentem tego wydatku będzie społeczeństwo, tymczasem zaś bezpośrednio korzystającym z wiedzy, umiejętności i talentów absolwenta jest na ogół prywatny pracodawca. Wciąż brak recepty na idealny program nauczania, więc póki co, wszyscy coś udoskonalają, a programy nauczania, czyli tzw. *curricula*, ulegają nieustającym przeobrażeniom. Powodem tego jest między innymi zmienna jakość corocznego "surowca", poddawane dalej procedurom obróbki edukacyjnej. Proces ten może dawać nieprzewidywalne skutki, np. frustrację kadry akademickiej. Według prof. C. H. Chen (Tamkang University, Tamsiu, Tajwan) młodzież na Tajwanie frustruje swoich nauczycieli następującymi cechami:

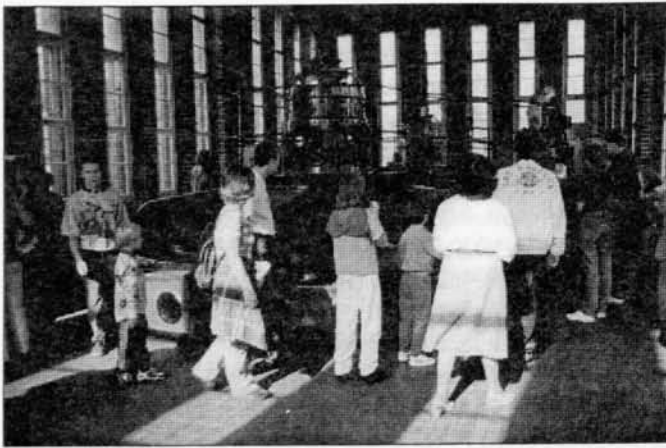
- nie uczy się w stopniu zadawalającym wykładowców;
- opuszcza zajęcia dydaktyczne, które jej nie interesują;
- nie rozumie swoich społecznych i obywatelskich obowiązków;
- wykazuje brak zainteresowania celem nauczania i perspektywami życiowymi;
- nie zwraca uwagi na takie zasady skutecznego nauczania, jak aktywność własna i praca zespołowa;
- mimo rewolucji informacyjnej jest mniej inteligentna od swoich poprzedników;
- zliberalizowana, czuje się wolna od tradycyjnych zasad moralnych.

Kongresowa publiczność złożona z przedstawicieli około 40 krajów ze zrozumieniem przyjęła te spostrzeżenia. Jaka więc przyszłość czeka edukację inżynierską? Szczególnie, jeśli uwzględnić pogląd wyrażany w kuluarach, według którego zaledwie niewielki procent absolwentów znajduje zatrudnienie zgodne z uniwersyteckim wykształceniem, reszta zaś musi zdobywać nowe kwalifikacje. Na dodatek owa garstka wybrańców to dyplomanci najbardziej prestiżowych szkół, zgarniający hurtem najatrakcyjniejsze oferty na rynku pracy. Przypomina mi się lapidarna ocena współczesnej edukacji, usłyszana przed dwoma laty w Heidelbergu, według której jej podstawowym celem jest "trzymać dzieciaki z dala od ulic" (*to keep kids out of the streets*).

Co powinni więc czynić ci, którzy tworzą rzesze nauczycieli akademickich? Jak udoskonalać programy kształcenia? Uczyć wszystkiego po trochu? Co wykładać, a co pomijać? A może raczej zabawiać studentów sztuczkami (fot. 1), zastąpić systematyczny wykład serią opowiadań z życia wziętych, albo wprost przeciwnie - posadzić każdego przed monitorem i niech



Fot. 2. Holownik "Nadbór" przed Budynkiem Rektoratu Politechniki Wrocławskiej



Fot. 3. We wnętrzu elektrowni

hula po wirtualnej rzeczywistości? Międzynarodowa wymiana poglądów w Krakowie i Zakopanem pozwoliła na pewne uogólnienia; otóż:

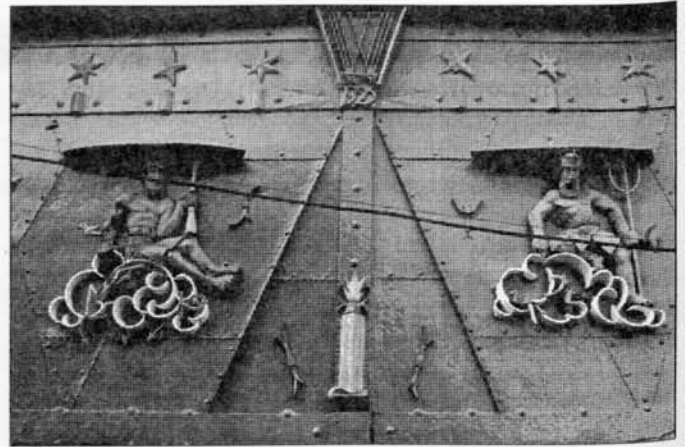
- kończą się czasy, kiedy jeden zawód wystarczał na całe życie;
- zawody inżynierskie stają się niewidzialne we współczesnym społeczeństwie, tracąc atrakcyjność i powodzenie wśród studiujących;
- istnieje wciąż zapotrzebowanie na kwalifikowaną kadrę techniczną, wyposażoną jednak w tzw. *transferable skills*, umiejętności przydatne na każdym miejscu pracy;
- wśród *transferable skills* wymienia się takie, jak np. komunikatywność językowa i kulturowa, łatwość adaptacji do zmiennych warunków, nawyk doskonalenia, inwencja i kreatywność, umiejętność rozwiązywania problemów, umiejętność uczenia się itp.

Właśnie ową umiejętność ustawicznego uczenia się uznano za wyzwanie światowych systemów edukacyjnych u progu XXI wieku, a niektórzy edukatorzy wprost nawoływali, aby przede wszystkim **uczyć jak nauczać uczenia się**, inne zagadnienia uznając za drugorzędne. Przypomniała mi się wypowiedź profesora - VIP-a, który usiłując wyjaśnić powody dzisiejszego ubóstwa nauki polskiej, z zadumą stwierdził "nie potrafiłiśmy wychować naszych polityków", mając na myśli zapewne tych legitymujących się dyplomami uniwersyteckimi. Być może w przyszłości, podobnie jak niegdyś w dobie industrializacji, społeczeństwo i władze dojrzą znaczenie uczelni, w których **dzisiaj kształcą się ludzie jutra**. Chociaż niestety zdarza się, że w sposób przedwczorajszy...

Niewątpliwie natomiast, nowoczesnym pomysłem okazał się *Festiwal Nauki Środowiska Wrocławskiego*, znakomicie



Fot. 5. Most Grunwaldzki widziany z tramwaju wodnego



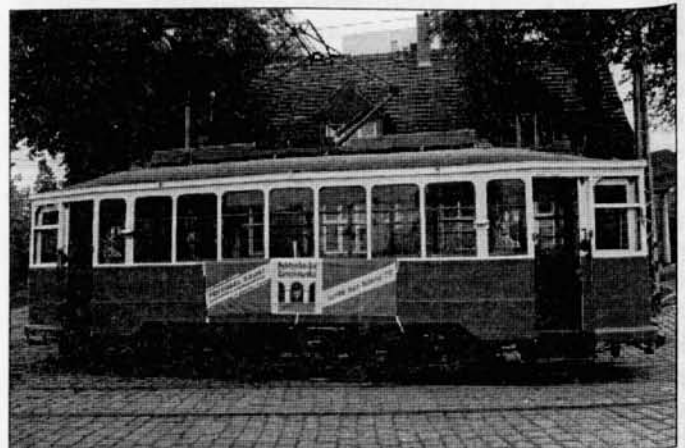
Fot. 4. Detal architektoniczny fasady elektrowni

popularyzując to, czym zajmuje się środowisko akademickie. Zaoferowano ponad 150 otwartych wykładów i pokazów, zapewniając publiczności dostęp do naukowych laboratoriów i pracowni. Podczas specjalnie zaaranżowanych spacerów ich uczestnicy poznawali tajemnice i na co dzień niedostrzegane uroki Wrocławia. Szczególnych atrakcji dostarczyła Fundacja Otwartego Muzeum Techniki, udostępniając do zwiedzania parowy holownik "Nadbór" (fot. 2), ostatni z serii tzw. małych holendrów, który w przyszłym roku doczeka półwiecza, oraz umożliwiając przeprawę pasażerskim statkiem Na Groblę, gdzie udostępniono zwiedzającym maszynownię wieży ciśnieni z agregatem pompowo-parowym z elementami z 1871 r. Inną atrakcją był tramwaj wodny, na którym można było wiele dowiedzieć się o mijanych obiektach (fot. 5) i zwiedzić na koniec podróży siłownię elektrowni wodnej z 1925 r. (fot. 3 i 4.) Zaś najmłodszy bez końca chcieli podróżować zabytkowym tramwajem (fot. 6), zwłaszcza że uprzejmy pan motorniczy pozwalał nawet prowadzić pojazd, nie bacząc na zazdrosne spojrzenia tatusiów. Taka promocja techniki nie tylko może zachęcić do studiowania prawideł inżynierii, ale też z pewnością przypomina społeczeństwu rolę, jaką dawni i współcześni inżynierowie pełnili i pełnią dla jego pożytku.

PS. Dotarła do mnie wiadomość o powstaniu grupy inicjatywnej organizacji muzeum techniki w Gdańsku. Dziedzictwu inżynierii będzie poświęcona międzynarodowa konferencja *Preservation of the Engineering Heritage - Gdańsk Outlook 2000* organizowana we wrześniu 1999 r. Może wkrótce pojawi się pomysł na festiwal nauki w Trójmieście?

Waldemar Affelt

Wydział Budownictwa Lądowego
(Wszystkie fotografie autora)



Fot. 6. Zabytkowy tramwaj oczekujący na pasażerów

PREZENTACJE

Przychylając się do prośby JM Rektora, prof. Aleksandra Kołodziejczyka, Zespół Redakcyjny PISMA PG rozpoczyna prezentację sylwetek nowo mianowanych profesorów oraz doktorów habilitowanych.



Jan Antoni Staśiek

JAN ANTONI STAŚIEK urodził się 31 stycznia 1948 r. w Kwidzynie, gdzie też uczęszczał do Szkoły Podstawowej Nr 1. Szkołę średnią, tj. Technikum Mechaniczne w Grudziądzu, ukończył w 1966 r. z wyróżnieniem. W latach 1966-1972 studiował na Wydziale Budowy Maszyn Politechniki Gdańskiej. W okresie studiów za dobre wyniki w nauce pobierał stypendium naukowe oraz był wielokrotnym laureatem konkursu Czerwonej Róży. Od 1972 roku do chwili obecnej pracuje w Ka-

tedrze Techniki Ciepłej PG, kolejno jako asystent, adiunkt, docent i profesor. Obronił dwie prace doktorskie i dwie habilitacyjne. Pierwszą pracę doktorską pt.: "Wyznaczanie współczynników emisji ciał stałych włączonych w promieniujący układ otwarty" wykonał w 1975 roku pod kierunkiem prof. dr. hab. inż. Cz. Buraczewskiego. W 1985 roku, po pozytywnie przedstawionym kolokwium, broni pracy habilitacyjnej pt. "Zastosowanie uogólnionych współczynników konfiguracji i zasady transformacji powierzchniowej do radiacyjnej wymiany ciepła w układach z ośrodkiem optycznie czynnym". W roku 1986 (czerwiec-grudzień) pracuje jako konsultant naukowy w RWTH Aachen oraz przebywa przez jeden miesiąc (w listopadzie 1989 roku) na stypendium DAAD w Technische Universität w Monachium. Od 1989 roku do końca 1995 roku przebywa w Londynie, początkowo jako *senior research fellow*, a od 1992 jako *professorial research fellow*. W roku 1992 przedstawia tezy kolejnej pracy doktorskiej pt. *Liquid Crystal Thermography and Image Processing in Heat and Fluid Flow Experiments*, za którą otrzymuje tytuł naukowy *Degree of Doctor of Philosophy (PhD)* City University of London. W 1995 roku broni w Londynie tezy kolejnej pracy habilitacyjnej pt. *Analytical, Numerical and Experimental Methods for Combined Radiation and Convection Heat Transfer, Thermal Technology and Some Related Problems*; otrzymuje za nią bardzo prestiżowy tytuł *Degree of Doctor of Science (DSc)* - odpowiednik polskiej habilitacji, jednak trudniejszej do osiągnięcia niż polska, ze względu na warunek jej przyznawania (trzech tajnych recenzentów, minimum jeden brytyjski tytuł naukowy oraz minimum 60-70 publikacji). W 1996 roku w City University of London była tylko jedna nominacja *DSc* - tj. Jana A. Staśieka.

Jan A. Staśiek jest autorem i współautorem ponad 180 publikacji, trzech skryptów oraz trzech specjalistycznych książek wydanych przez wydawnictwa zagraniczne.

Jest członkiem wielu stowarzyszeń naukowych, jak: *American Institute of Aeronautics and Astronautics AIAA*, *the New York Academy of Sciences NYAS*, *International Flow Visualization Society IFVS*; współorganizatorem międzynarodowych konferencji i seminariów, jak np.: *International Symposium on Flow Visualization*, Prague 1989, Yokohama 1992, Seattle 1995, Sorrento 1998; *International Seminar on: Optical Methods and Data Processing in Heat and Fluid Flow*, Londyn

1992, 1994, 1996 i 1998; *Pacific Symposium on Flow Visualization and Image Processing*, Honolulu-Hawaii 1997, 1999.

Działalność naukowo-badawcza - tematyka badawcza, to: radiacyjna i złożona wymiana ciepła; analiza obiegów parowo-gazowych z generatorem MHD; optymalizacja wymienników ciepła z wykorzystaniem techniki ciekłokrystalicznej i komputerowej analizy kolorowych obrazów; modelowanie numeryczne i fizyczne procesów spalania zachodzących w komorach kotłów parowych i piecach metalurgicznych; wykorzystanie kolorimetrii komputerowej do badania płomieni oraz ich emisji; dwufazowa wymiana ciepła, a w szczególności zagadnienia wymiany ciepła podczas przepływu mgłowego, zwłaszcza strug uderzających.

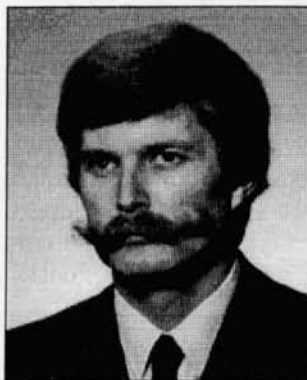
Działalność dydaktyczna to: wykłady i ćwiczenia z termodynamiki technicznej, wymiany ciepła i techniki cieplnej; wykłady w języku angielskim na Wydziale Chemii PG: *Fundamentals of Thermodynamics and Heat Transfer*, *Renewable Energy Resources*, *Energy and Environment*; wykłady w *Royal Institute of Technology (KTH)*, Sztokholm, Szwecja: *Heat Transfer in Combustion Chambers*, *Clean Combustion Technologies*.

Wypromował dwóch doktorów: Giovanni Tanda - City University of London, 1994 (obecnie profesor University of Genova, Włochy) oraz Ernest Staron - IMP PAN, Gdańsk, 1997 (pracownik Instytutu Badań Jądrowych w Świerku k. Otwocka).

Jest opiekunem dwóch otwartych przewodów doktorskich: mgr. inż. Jacka Barańskiego oraz mgr. inż. Macieja Wierzbowskiego. Prowadzi trzy granty KBN oraz ma współudział jako wykonawca w czwartym.

Wygłosił kilkanaście wykładów zamawianych w Japonii, USA, Włoszech, Niemczech i Szwecji. Obecnie współpracuje z *Royal Institute of Technology (KTH)* w Sztokholmie, mając na uwadze organizację kursów i studiów dla studentów PG, uruchomienie specjalistycznego laboratorium w KTC PG do modelowania numerycznego i fizycznego procesów cieplnych zachodzących w urządzeniach energetycznych i metalurgicznych oraz badania naukowe nad nową technologią spalania paliw gazowych obniżającą emisję NO_x i poprawiającą sprawność urządzeń energetycznych o kilka procent.

Jan A. Staśiek otrzymał tytuł naukowy profesora 13 marca 1998 roku.



Janusz T. Cieśliński

następne lata zajmował się procesem wrzenia, co zaowocowało rozprawą habilitacyjną pt.: "Studium wrzenia pęcherzykowego

JANUSZ T. CIEŚLIŃSKI, urodzony w 1954 roku, jest absolwentem Wydziału Budowy Maszyn Politechniki Gdańskiej, specjalność *Systemy, maszyny i urządzenia energetyczne*. Od momentu ukończenia studiów w 1978 roku jest zatrudniony w Katedrze Techniki Ciepłej PG. Pracę doktorską pt.: "Badania przejmowania ciepła od kuli i jej odcinków do cieczy o dużej liczbie Prandtla w warunkach laminarnej konwekcji swobodnej" obronił w 1986 roku. Przez

na metalicznych powierzchniach porowatych” przedłożoną w 1997 roku.

Jest specjalistą w dziedzinie termodynamiki i wymiany ciepła. Jego zainteresowania badawcze dotyczą, prócz wrzenia, także konwekcji jednofazowej, szczególnie w odniesieniu do powierzchni intensyfikujących przejmowanie ciepła we współczesnych wymiennikach ciepła, konwekcji termokapilarnej oraz wizualizacji przepływów metodami laserowymi.

Był stypendystą des Ministers für Wissenschaft und Forschung des Landes Nordrhein Westfalen - H. Hertz Stiftung w Universität-GH-Essen w latach 1989-1990, dwukrotnie stypendystą DAAD w Fachhochschule Stralsund, pracownikiem naukowym Kernforschungsanlage Jülich GmbH, a także odbył staże naukowe m.in. w Università Degli Studi di Roma “La Sapienza”, City University of London, Ruhr Universität w Bochum.

Jest autorem lub współautorem 75 opublikowanych prac naukowych oraz 50 prac niepublikowanych. Jest także współautorem 7 skryptów oraz, wspólnie z prof. dr. hab. inż. Jarosławem Mikielwiczem, autorem monografii pt.: “Niekonwencjonalne urządzenia i systemy konwersji energii”, przygotowanej do druku przez Ossolineum, w serii “Maszyny Przepływowe”, Tom 23.

Współorganizował następujące sympozja i konferencje: V Polsko-Niemieckie Sympozjum “Nauka dla Praktyki” (Gdańsk 1994), Konferencje Naukowo-Techniczne “Mechanika '95” (Gdańsk 1995) i “Mechanika '97” (Elbląg 1997), Int. Symposium on “Education - Research - Technology” (Gdańsk 1997), V. Internationale Tagung “Forschung, Didaktik und Praxis in modernen Maschinenbau” (Stralsund 1998).

Obecnie jest zaangażowany w przygotowania do kolejnej Konferencji “Mechanika '99” (Gdańsk 1999), First Conference on “Recent Development in Multiphase Flow” (Stawiska 1999) oraz Second Int. Conf. “Heat Transfer and Transport Phenomena in Multiphase Systems” (Kielce 1999).

Jest członkiem Sekcji Termodynamiki KTiS PAN oraz Sekcji Mechaniki Płynów Komitetu Mechaniki PAN, w ramach której pełni już drugą kadencję funkcję sekretarza Podsekcji Przepływów Wielofazowych. Jest konsultantem naukowym czasopisma “Technika Chłodnicza i Klimatyzacyjna”. Od 1994 r. pełni funkcję pełnomocnika rektora Politechniki Gdańskiej ds. współpracy z Fachhochschule Stralsund.

Habilitacja Janusza T. Cieślińskiego została zatwierdzona przez Centralną Komisję ds. Tytułu i Stopni Naukowych 27 października 1997 roku.

Co warto wiedzieć o Uniwersytecie Bałtyckim

Program Uniwersytetu Bałtyckiego (The Baltic University Programme BUP) powstał w Uppsali w Szwecji w 1990 r. Obecnie uczestniczy w nim 150 uczelni z 14 państw regionu Morza Bałtyckiego. Jego inicjatorem i entuzjastycznym kierownikiem jest prof. Lars Ryden z Uniwersytetu w Uppsali, a jego prawą ręką jest pani Maria Winkler, z pochodzenia Polka, dzięki temu trochę faworyzująca polskich uczestników programu.

W programie obecnie uczestniczy 12 tys. studentów i ponad 800 naukowców z 14 państw. Polskie uczelnie (jest ich 29) zajmują pierwsze miejsce pod względem liczby studentów wśród państw uczestniczących w programie. W Polsce uczestniczyły w kursach już ponad 2 tysiące studentów.

Na terenie Polski rolę koordynatora pełni Uniwersytet Gdański, w którym zorganizowano Krajowe Centrum BUP.

Politechnika Gdańska współpracuje z Uniwersytetem Bałtyckim od 1995 roku, a od 1996 roku koordynuje tę współpracę i organizuje kursy Centrum Ochrony Środowiska PG.

Programy poszczególnych kursów są podzielone na tematy, do których zostały “wyprodukowane” materiały dydaktyczne w formie skryptów oraz filmów video. W dotychczasowych emisjach kursów program był realizowany w formie cotygodniowych transmisji telewizyjnych z Uppsali, odbieranych w poszczególnych uczelniach. Prócz transmisji materiału edukacyjnego odbywały się także połączenia telewizyjne na żywo (“mosty”), podczas których studenci zadawali pytania ekspertom zgromadzonym w studio jednego z uniwersytetów uczestniczących w programie. Obecnie zrezygnowano z bezpośrednich transmisji na rzecz wykorzystywania kaset video. Poniżej podajemy tematykę tych kursów:

Baltic Sea Environment:

1. Physical Geography of the Baltic Region.
2. Life in the Baltic Sea.
3. Eutrophication of the Baltic Sea.
4. Man and the Baltic Sea .

5. Industrial Pollutants and Toxicants.
6. Life poisoned - toxicology.
7. Environmental Law and Economy.
8. Man and the Baltic Sea.
9. Water and Wastewater Management in the Baltic Region.
10. The Prospect of Sustainable Society. Sustainable Baltic Region
1. Introduction and historical background. The theory of Sustainability.
2. Energy and energy politics. From fossil fuels to biomass, and increased efficiencies.
3. Material flows and the geochemical cycles. Dematerialization and recycling.
4. Our food and fiber - sustainable agriculture and forestry. How we feed ourselves in the long term.
5. Sustainable industry and production. Cleaner technologies, waste minimization etc.
6. Sustainable mobility - car society, transport and distribution.
7. Sustainable habitation urbanisation and housing and regional infrastructure.
8. The economics of sustainability.
9. Ethics and law rules for choosing the future.
10. How to build the future the politics of sustainable development.

Uczelnie uczestniczące w programie otrzymują z Uppsali materiały dydaktyczne (skrypty, kasety video) i są odpowiedzialne za zrealizowanie programu oraz przeprowadzenie egzaminu. Studenci, którzy zdali egzamin, otrzymują dyplom ukończenia kursu, wystawiany przez Uniwersytet w Uppsali a sygnowany przez rektora macierzystej uczelni. W ubiegłym roku akademickim 25 studentów PG uzyskało dyplomy ukończenia kursów Uniwersytetu Bałtyckiego.

Program Uniwersytetu Bałtyckiego nie ogranicza się wyłącznie do organizowania kursów, ale dąży do zintegrowania

ludzi naszego regionu. W tym celu organizowane są spotkania nauczycieli prowadzących kursy, podczas których wymieniamy doświadczenia i dyskutujemy na temat koniecznych zmian i dalszego rozszerzenia oferty programu. Uniwersytet Bałtycki stara się także zintegrować młodzież, organizując międzynarodowe konferencje i obozy w różnych krajach. Kilka z nich odbyło się w Polsce, m.in. w roku 1997 obóz w Helu i konferencja w Krakowie, w 1998 obozy w Stegnie i w Helu. Wielkim sukcesem kierownictwa Uniwersytetu Bałtyckiego, a szczególnie pani Marii Winkler, było zorganizowanie rejsu "Pogoria" w czerwcu bieżącego roku. O wrażeniach uczestników tego rejsu, wśród których było 7 studentów Politechniki, opowiada Paulina Bohdanowicz, studentka Wydziału Chemicznego PG (*następny artykuł*)

Program Uniwersytetu Bałtyckiego wciąż się rozwija, a najnowszą ofertą jest kurs "Sustainable Water Management", który będzie oferowany w semestrze letnim dla 6 polskich uczelni, w tym także dla Politechniki Gdańskiej. Zakres tematyczny tego kursu obejmuje poniższe zagadnienia:

1. Water resources, watershed characteristics and human activities.
2. Sustainability and water management.
3. Surface water.
4. Ground water.

5. Agriculture water.
6. Urban water use and management.
7. Industrial water use and management.
8. Recipient, coast and sea water management.
9. River basin management.
10. Normation and legislation in water management.

O szczegółach dotyczących nowego kursu można dowiedzieć się ze strony domowej Centrum Ochrony Środowiska PG: www.pg.gda.pl/cerso/cenvig.html

Wszystkie wymienione kursy są realizowane w wersji angielskiej, ale wkrótce (prawdopodobnie już w semestrze letnim 98/99) będą dostępne na dyskietce polskie wersje kursów Baltic Sea Environment i Sustainable Baltic Region.

Koncepcja integracji społeczeństw żyjących wokół Morza Bałtyckiego znajduje swe odzwierciedlenie w następnym kursie, który jest dopiero na etapie przygotowania materiałów. Będzie to kurs "Sustainable Society", a ekspertami opracowującymi część tematów są także nasi koledzy z Wydziału Architektury Politechniki Gdańskiej.

Informacje na temat Programu Uniwersytetu Bałtyckiego można znaleźć w Internecie na stronie domowej <http://www.balticuniv.uadm.uu.se>

Krystyna Mędrzycka
Centrum Ochrony Środowiska

Rejs na zlot żaglowców Delf Sail w Holandii

24.06.1998 - 4.07.1998

Dnia 24 czerwca 1998 rozpoczęła się morska przygoda uczestników kursów Uniwersytetu Bałtyckiego. Pomysł takiej wyprawy powstał już dawno temu, ale dopiero teraz udało się go zrealizować dzięki pracy pani *Marii Winkler* i dofinansowaniu przez Królewski Instytut Szwedzki. Rejs obejmował część roboczą, gdyż stanowiliśmy załogę STS "Pogoria", oraz naukową, w ramach której odbywały się wykłady i dyskusje na różne tematy związane z regionem Morza Bałtyckiego, prowadzone przez studentów i wykładowców Uniwersytetu Bałtyckiego. Oto niektóre z tematów: "Miłoz the meeting place of cultures", "Sustainability in Baltic countries", "Marine biology", "What can students do to improve the co-operation in our region?"

Tak więc 24 czerwca prawie 40 całkowitych żółtodziobów i braci już pływającej stawia swoje stopy na pokładzie "Pogorii" cumującej obok ORP "Błyskawica" przy Skwerze Kościuszki w Gdyni. Po ustaleniu ostatecznej listy załogi witają nas kapitan *Jerzy Rakowicz-Raczyński* oraz *Lars Ryden*, dyrektor Uniwersytetu Bałtyckiego.

Jako że dość dużą część załogi stanowią stuprocentowe szczyry lądowe, dostajemy dobrą na zapoznanie się z żaglowcem na tyle, aby nie zatopić JEJ przy pierwszej lepszej okazji. Trudna rola oświecenia naszej gromadki przypada bosmanowi Misiowi, i należy przyznać, iż zabiera się do tej niewdzięcznej pracy z sercem i zapałem. Nazywa wszystkie linki (co za szczęście, że są one różnokolorowe, w przyszłości okaże się bowiem, że dopiero komenda "Trzecią niebieską po prawej ciągnij!" będzie odnosić sukces) i żagle, przegania po rejach i każe wciągać i składać żagle. Panuje zamieszanie, ale w końcu coś tam udaje nam się zrobić.



Jak już wspomniałam, pierwsza doba stanowi dla nas okazję przyzwyczajania się do statku, poznania siebie nawzajem i oswojenia z myślą o rejsie. Z czasem napięcie rośnie i w czwartek po południu emocje sięgają zenitu. Wreszcie cierpliwość zostaje nagrodzona: wypływamy!!!

W momencie opuszczenia portu w Gdyni nasza Wielka Wyprawa zostaje uznana za rozpoczętą.

Pierwszy cel podróży to Bornholm. W czasie wacht i pomiędzy nimi, aby ktoś z nas przez przypadek się za bardzo nie nudził, bosman wynajduje najróżniejsze prace, w stylu polerowania wszystkich mosiężnych części na pokładzie, szorowania samego pokładu etc. Wieczorem drugiego dnia rejsu, a trzeciego na pokładzie "Pogorii", zawijamy do portu Ronne na Bornholmie. Nasze pojawienie się wywołuje małą sensację i manewrom przypatruje się grupka obserwatorów, łącznie z naszymi rodakami. Po kolacji wszyscy - oprócz wachty pełniącej dyżur przy trapie - korzystają z możliwości zwiedzenia duńskiego miasteczka. Podziwiamy architekturę - domki jak dla lalek i do tego z małej cegły - spokój i senność tu panujące.

Następny cel naszej wyprawy to Kopenhaga. W miarę zbliżania się do stolicy Danii bardzo piękna dotąd pogoda płata nam coraz mniej przyjemne figle, zmuszając do porzucenia słodkiego nieróbstwa i wzięcia się do roboty przy brasowaniu a potem klarowaniu żagli. Nocny pokłon Małej Syrence oddajemy w deszczu i przy blasku błyskawic. Cumujemy właściwie w samym centrum Kopenhagi, przy nabrzeżu Amalienborg, tuż obok "Rose Marie" królewskiego jachtu. Następnego dnia zostaje przeznaczony na zwiedzanie miasta. W poniedziałek z żalem żegnamy Małą Syrenkę i wyruszamy w dalszą podróż w kierunku Morza Północnego. Mijamy Helsingor, zamek, w którym Shakespeare umieścił akcję "Hamleta". W cieśninie Skagerrak,



Pamiątkowe zdjęcie na pokładzie "Pogorii" uczestników kursu Uniwersytetu Bałtyckiego

*Fot. Kamila Kreft
i Adam Łazarski
z Wydziału Zarządzania
i Ekonomii*

korzystając z przychylnych wiatrów, słońca i pełnego ozagłowania, postanawiamy porobić zdjęcia "Pogorii" w całej okazałości. Co prawda nie obywa się bez małego wypadku w postaci kąpieli pontonu wraz z zawartością, ale ostatecznie wszystko dobrze się kończy.

Żeglowanie idzie nam coraz lepiej, zygzak nie jest jedynym obowiązującym torem ruchu. Niestety, olinowanie nadal sprawia nam trudności i nierzadko dopiero komenda w stylu: "Tę żółta miłą w dotyku luzuj!" odnosi sukces. Podczas wacht szlifujemy nie tylko pokład i mosiądze, ale także wiedzę z dziedziny nawigacji i sterowania. Początkowo ulubionym miejscem spędzania wachty nawigacyjnej, zwłaszcza podczas chłodniejszej pogody, była kabina nawigacyjna, teraz - szczególnie przy dobrej pogodzie - bukszpryt przeżywa prawdziwe oblężenia. Bywa, że cała wachta chce być "na oku".

Jak do tej pory, Neptun był nam łaskawy, lecz chyba go czymś obrażiliśmy (może zbyt dużą śmiałością lub bez troską i brakiem należytego szacunku dla wody, ale to naprawdę nieświadomie i niechcący), gdyż właśnie pokazuje nam swoją potęgę fundując fale doprowadzające do 20-stopniowych prze-

chyłów. Załoga ma pewne problemy z równym chodzeniem, co chyba najwyraźniej uwidacznia się w kambuzie.

Płyniemy do ostatniego portu na tym etapie rejsu, do Delf w Holandii, aby wziąć udział w operacji Delf Sail '98. Na miejscu mają być największe żaglowce świata, m.in. "Siedow", "Kruzensztern", "Sagros" a także "Dar Młodzieży" i siostrzyczki "Pogorii": "Iskra" oraz "Kaliakra". Do portu mamy wpłynąć jako trzeci żaglowiec w paradzie.

Z jednej strony wydaje się, że nasza przygoda z "Pogorią" zaczęła się dopiero wczoraj, właśnie zaczęliśmy traktować ją jak dom, z drugiej strony czujemy się, jak byśmy byli na pokładzie od wieków. Jedno jest pewne, czas opuszczenia łajby zbliża się nieuchronnie i wcale nas to nie cieszy, chciałoby się zostać jeszcze chociaż troszeczkę dłużej. Miejmy nadzieję, że chociaż kilkoro z nas tu wróci, albo chociaż zainteresuje się żeglarstwem "na poważnie", gdyż daje ono niezapomniane przeżycia i jest "wieczną przygodą".

*Paulina Bohdanowicz
Studentka Wydziału Chemicznego*

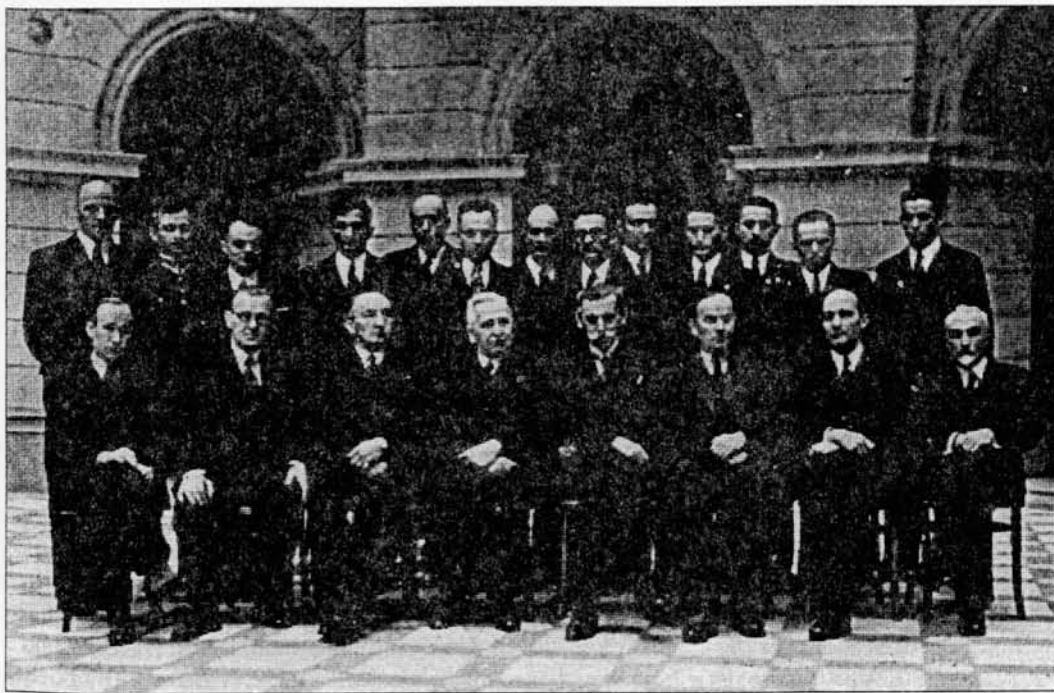
Ku pamięci profesorów Politechniki Gdańskiej i studentów, którzy ze mną kończyli studia w grudniu 1938 roku

Pragnę ocalić od zapomnienia pewne fakty z mego życia, fakty, które przeżywałem 60 lat temu; może kogoś zainteresuje, jak to kiedyś było. Trzeba stwierdzić obiektywnie, że studia na Politechnice Warszawskiej były trudne. Wtedy były tylko dwie Politechniki: Warszawska i Lwowska. Muszę przeprosić Czytelnika, ale w owych czasach Politechnika Gdańska nie liczyła się z różnych względów: "Technische Hochschule", znaczy Wyższa Szkoła Techniczna, nie o poziomie uniwersytetu. Nie będę poruszał tej kwestii. Trzeba też powiedzieć, że lepsi profesorowie byli angażowani przez państwo polskie do Warszawy, choć we Lwowie byli też sławni profesorowie, których zazdrościliśmy Politechnice Lwowskiej.

Zacznę od lewej strony mojej fotografii dyplomowej - siedzi ośmiu profesorów.

Profesor **Zembrzuski** - wykładał Kolejnictwo na Sekcji Komunikacyjnej. Nie miałem z nim nic wspólnego, bo to nie była moja sekcja. Ja już kończyłem studia, gdy Jego zaangażowano. Był najmłodszy z profesorów, miał wtedy 42 lata, a jego student Bosiacki miał wtedy 48 lat i był starszy od profesora. Wiem, że profesor Zembrzuski był wielkiej fachowości i kultury osobistej.

Obok niego, z prawej strony, siedzi prof. **Broniewski**. Profesor wykładał metalurgię. Miałem wtedy już 1/2 dyplomu. Wykłady jego były świetne, zrozumiałe, ale trudne do zaliczenia



Na zdjęciu od lewej siedzą profesorowie: Zembrzusi, Broniewski, Płużański, Taylor, Chrzanowski, Bratkowski, Tolłoczko, Pożaryski; stoją studenci dyplomanci: Dzwonkowski, Chudziński, Broński, Stefanoff, Bosiacki, Łapiński, May, Urbankiewicz, Święcicki, Ludwik Maluga, Tomasz Pankiewicz, Antoni Stala, Frankiewicz

(zdania egzaminu). Było *laboratorium metalograficzne* i *metalurgia*. Tysiący stopów trzeba było nauczyć się na pamięć. Ażeby je zapamiętać mnemonicznie, układałem wiarszyki. Po zdaniu pisemnego egzaminu, szło się na egzamin ustny. Były cztery tablice, profesor siadał wygodnie w fotelu i zadawał pytania czterem studentom. Jeżeli ktoś zapomniał jakiegoś stopu - profesor oblewał. Jak mi się wydaje, profesor nie lubił wojskowych, a dużo ich wtedy studiowało. Każdy z nich przychodził na egzamin z medalami. Wtedy pytał o stop, z którego wykonano medal. Gdy student nie wiedział, wyrzucał go z gabinetu z dwóją.

Profesor ożenił się ze swoją studentką. Spodobala się mu na wykładzie. Dał ogłoszenie i zawiadzał ją do gabinetu. Gdy przyszła, profesor w czarnym garniturze, z kwiatami, zaproponował jej spotkanie kawiarni z przyzwioitką. Studentka wyszła z gabinetu profesora czerwona jak burak. Koledzy pytają, co się stało. Ona w śmiech: "Profesor zaproponował mi randki". Studentka spotykała się z profesorem. Po pewnym czasie zaproponował jej małżeństwo. Zgodziła się. Dzieci nie mieli. Profesor był wielkim patriotą i Poznaniakiem. Sprowadził do Kraju, z Niemiec metalurga Czochralskiego. Ten był zwolennikiem Niemców. Miał dwóch synów na studiach w Niemczech i nie chciał ich sprowadzić do Polski.

Wtedy powstała sprawa stopu "B" do łożysk. Profesor Broniewski był przeciwny produkcji tego stopu, bo ten był oparty na składnikach niekorzystnych dla Polski. Nazwał Czochralskiego zdrajcą. Wtedy sprawy te były omawiane na łamach "Gońca Warszawskiego", gazety narodowej. Sprawa znalazła się w sądzie. Niestety, Czochralski tę sprawę wygrał. Skazano Broniewskiego na zapłacenie za zniesławienie 500 zł grzywny. Była to suma wysoka.

Pamiętam wykład profesora po rozprawie sądowej, kiedy to młodzież powitała go brawami za jego patriotyzm. Powiedział: "Dziękuję panom, rozumiem intencję owacji dla mnie".

Jednakże profesor niesłusznym orzeczeniem sądu bardzo się przejął. Usilnie pracował w czasie wakacji świątecznych Bożego Narodzenia. Pracował w nie opalanym gabinecie. Nabawił się gruźlicy krtani i w ciągu dwóch tygodni zmarł. Chciał być zapomniany przez wszystkich. Kazał się pochować na cmentarzu na Bródnie, w nieheblowanej trumnie, bez żadnych owacji

ze strony Politechniki i studentów. Tak też było, bardzo skrótnie pochowano tego wielkiego Polaka i patriotę.

Trzeci profesor od lewej strony, to profesor **Płużański** - chyba Wawelberczyk, bo tam wykładał i zaproszono go na Politechnikę Warszawską na Katedrę Mechanicznej Technologii Metali i Pomiarów Warsztatowych. Był to elegancki pan z sygnetem na palcu; dwa lata był dziekanem Wydziału Mechanicznego. Wykłady miał świetne, zrozumiałe. Dawał dużo pomocy naukowych w postaci tablic i wykresów.

Czwartym profesorem był profesor Karol **Taylor**, potomek starej szkockiej rodziny, osiadłej od wieków w Polsce. Nosił sygnet herbowy. Robiłem u niego projekt silnika spalinowego, którego wał był w pięciu płaszczyznach wykorbiony. Trudny projekt. Wykonałem go na 17 arkuszach kalki, pisząc do Boscha w Niemczech o pomoc. Prysłano mi materiały. Wykłady profesora co roku były takie same. Nie uzupełniał ich o nowe zdobycze techniki.

Ten profesor wykładał po wojnie na Politechnice Gdańskiej w Katedrze Silników Spalinowych. Poznałem Go towarzysko, u państwa Kozłowskich, gdzie profesor, wraz z małżonką, przemilał panią, był zapraszany. Gdy na imieninach profesora były wydzielone ciastka, z miłym uśmiechem powiedziała: "jedzcie ciastka, by ich zabrakło". Pochowano profesora i jego żonę w Gdańsku na Srebrzysku. Nigdy nie postawił ze swego przedmiotu oceny wyższej niż prof. Wiesław Chrzanowski. To było przykre, bo prof. Chrzanowski uczciwie oceniał pracę i wiedzę studenta. Gdy zrobiłem 17 arkuszy, powiedział: "może pan więcej nie robić". A to było bardzo dużo.

Piątym z kolei profesorem ze zdjęcia jest wspomniany profesor Wiesław **Chrzanowski**. Wykładał turbiny parowe, maszyny parowe i dmuchawy; przez pewien czas był rektorem Politechniki Warszawskiej. Wysoki elegancki pan ze szlacheckimi wąsami. Miał piękny niski głos, doskonały do wykładów, a wykłady świetne. Dawał dużo rysunków, jako pomoc do nich. Podobno profesor Szewalski chciał być jego asystentem, tak mówił. Wykłady prowadził w osobnej salce, na dwóch tablicach. W zimie wchodził na salę w futrze. Woźny zdejmował futro i wieszal na wieszaku. W czasie wykładu, gdy zapisał obie tablice, naciskał guzik dzwonka. Wpadał woźny i ścierał tablice. Po wykładzie ubierał profesora w futro. W sali był ręcznik

i zlew do umycia i wytarcia rąk. Profesor Wiesław Chrzanowski był ojcem ministra, senatora i marszałka sejmu, też Wiesława Chrzanowskiego, którego miałem przyjemność gościć u siebie i dać mu zdjęcie dyplomowe. Opowiedziałem mu wszystko o ojcu, przytoczyłem też kilka powiedzeń profesora z wykładów.

A były to ciekawe powiedzenia, które dotąd pamiętam. Elegancki profesor, lekko naperfumowany dobrą wodą kolońską, wchodził na salę dyplomową. Była część sali dla Polaków i część dla Żydów. Projektowałem turbinę parową Siemens, z kutym drażonym wałem i kołem Curtissa. Wykonałem chyba 25 arkuszy A1 w ołówku. Konsultacja profesora nazywała się "Czarną Mszą", bo wszyscy studenci musieli być ubrani na czarno, w sztywnych kołnierzykach i z mankietami. Profesor miał dobry humor, gdy konsultował stronę polską, a gdy konsultował od strony żydowskiej - tracił humor. Według niego Żydzi nie mieli talentu do konstrukcji i "partaczyli" pracę. Bardzo lubiłem tego profesora i zdaje mi się, że sympatia była też z jego strony do mnie. Miałam duże kłopoty, przez zawiść kolegów, którzy nie chcieli, bym prędko skończył studia, i utrudniali mi to. Przy gratulacjach po zdaniu dyplomu, profesor współczuł mi z powodu słabego wyniku. Ale to nie była moja wina, tylko rezultat podłości kolegów. Skradziono mi najważniejsze 4 arkusze i musiałem je dorabiać na nowo. Tej przykrości zaznałem po śmierci brata, gdy wróciłem do Warszawy po pogrzebie. Po 50 latach zagadnałem kolegę z lat studenckich, korporanta Czesława Buraczewskiego, profesora Katedry Termodynamiki, czy wie o tym, że przed samym dyplomem z mojej szuflady, zamkniętej na zamek, skradziono mi 4 arkusze mojej pracy dyplomowej. Odpowiedział, że słyszał pogłoski, iż Żydzi ukradli te arkusze. Nieprawda. Bzdura! Musieliby wylamać zamek, a ten zamek nie był wylamany. Musiałem dorabiać brakujące arkusze, by oddać pracę dyplomową. Miał satysfakcję złodziej, bo złamał mnie psychicznie i opóźnił zdawanie dyplomu.

Szósty profesor na fotografii, to profesor **Bratkowski**. Wykładał włókiennictwo. Nie miałem z nim nic wspólnego.

Siódmy profesor, to Bolesław **Tolloczko** z Kotłów Parowych. Robiłem u niego pierwszy mój projekt na Politechnice: kocioł parowy sekcyjny. Nie pamiętam parametrów tego kotła.

Obliczanie było bardzo proste: opierano się wtedy na danych praktycznych profesora. Pracę wykonałem na tzw. Szelkshamerze (karton specjalny) w 8 arkuszach, w widokach i przekrojach. Po wykonaniu w tuszu kocioł się malowało. Było to wielkie przeżycie dla mnie.

Ósmy profesor, to przemiły starszerek profesor **Pożaryski**. Małego wzrostu, siedział na stole. Wykładał elektrotechnikę. Wykłady były przyjemne, egzamin także miły i niezapomniany.

Inni profesorowie, których nie ma na fotografii, ale którzy wykładali i miałem u nich ćwiczenia i egzaminy, to: profesor Witold Pogorzelski świetny matematyk, pedagog i wykładowca. Napisał kilka książek, z których studenci się uczyli. Były to doskonałe książki, ciągle aktualne.

Profesor Michał Broszko - wykładał mechanikę. Trudny to był przedmiot do zdania, bo na egzaminach były rebusy. Jeżeli ktoś wpadł na pomysł rozwiązania zadania, to wychodził z sali po 1/2 godziny, a można było siedzieć nawet trzy godziny i nic nie zrobić. Tak było też ze mną. Zdałem egzamin za czwartym razem. Profesor chwalił się tym, że Wigura, słynny mechanik i lotnik, zdawał u niego też kilka razy. Po wojnie profesor Broszko przyjechał do Gdańska na Politechnikę Gdańską, i także wykładał mechanikę. Pytał mnie: "ile pan razy zdawał u mnie mechanikę?". Powiadam: "aż cztery razy". "O, to pan umie

mechanikę". Egzamin zdawało, jako pisemny, około 120 studentów. Zdało około 30. Profesor oblał na ustnym około 10, zdało ostatecznie około 20. Były w gabinecie cztery tablice, przy których stało 4 studentów. Profesor chodził z tyłu studenta, zadawał pytanie, jednym palcem jego pleców jak rewolwerem dotykał. Przykre to było. Jak zdałem, to krzyknął do mnie: "Uciekaj pan! Nie chcę pana widzieć więcej u siebie". Gdy chciał oblać studenta, to proponował mu spacer, mimo podłej pogody, na zewnątrz. Moja sytuacja na studiach nie była dobra.

Chciałem przenieść się na inny wydział z powodu kłopotów z mechaniką. Mechanikę wykładał również profesor Maksymilian Tytus Huber - były asystent znanego profesora na Politechnice Kijowskiej, Timoszenki. Profesor wykładał bardzo dobrze. Zapisywał całą tablicę wzorami. Sala pełna studentów. Czasami przeciągał wykład i uprzedzał, że kto chce zapalić papierosa, niech opuści salę. Tego nie zrobił jeden ze studentów i cmił papierosa pod ławką. Zauważył to profesor i zażądał od niego legitymacji. Wziął ją i mimo przeproszanie studenta dał legitymację dziekanowi. "Pan mnie nie uszanował, mimo że prosiłem o opuszczenie wykładu". Profesor wykładał też na Politechnice Gdańskiej. Jeden z profesorów termodynamiki - Wiśniewski - wprowadził nowe terminy. Profesor Huber zabrał głos i powiedział: "Panie profesorze, ja jestem człowiek stary - niech pan tych nazw nie używa w swoich wykładach".

Profesor Huber był wielkim matematykiem i wydał podobno pracę, w której przekonywał, że ciała cięższe od powietrza nie mogą latać. Gdy pojawiły się samoloty, biegał i wycofywał swoje opracowanie.

Miał adiunkta Kurowskiego, doskonałego teoretyka, znającego doskonale zjawiska fizyczne. Tak mi kiedyś powiedział: "Pan liczy i rachować umie, ale pan nie zna zjawiska fizycznego". Adiunkt Kurowski dopomógł mi swoją krytyką do zdania egzaminu, bo wskazał na błąd, którego prof. Huber nie dostrzegł. Rozwiązałem zadanie nie w myśl prof. Hubera, a adiunkta Kurowskiego. I zdałem egzamin.

Geometrię wykreślną wykładał profesor Garlicki, a potem adiunkt Nowak. Wykłady były słabe. Uczyliśmy się do egzaminu z książki profesora Bartla. Miałam kłopoty z geometrią wykreślną i nie zaliczyłem ćwiczeń, musiałem dorabiać nowe arkusze, a było ich chyba ze 7; w końcu zaliczyłem u asystenta Bukowskiego ćwiczenia, a egzamin u adiunkta Nowaka. Ze względu na niezaliczenie jednych ćwiczeń z geometrii wykreślnej musiałem ponownie zdawać egzamin na Politechnikę Warszawską, mimo że miałam zdanych kilka egzaminów (z matematyki, technologii) i zdane pozostałe ćwiczenia.

Odlewnictwo wykładał profesor Giedzejewski dobrze i zrozumiale. Chemię wykładał profesor Kling również dobrze i zrozumiale. Były ciekawe laboratoria.

Części maszyn i dźwignice wykładał profesor Wacław Suchowiak. Wykłady były doskonałe i jasne. Rysował na kalce epidiaskopu dźwignice i rzucał rysunki na ścianę, a sam siedział na stole. Był bardzo nerwowy i studenta, który mu zakłócił wykład trzy razy, nazwał idiotą. Podobno profesor kupił dywanik, za który przepłacił. Mówiono, że jak ktoś wejdzie na ten dywanik - obleje egzamin, dlatego ja trzymałam się od niego z daleka.

Wykłady z encyklopedii budownictwa i budowy konstrukcji przemysłowych miał profesor Wlekiński, tak fachowe, że potem za okupacji niemieckiej mogłem projektować i znałem się na budownictwie.

Turbiny wodne i pompy wykładał profesor Zwierzchowski, za Stanów Zjednoczonych, gdzie je budował. Profesor wysokiej klasy. Miał asystenta Henryka Pankiewicza, był z niego dumny,

bo ten był synem Eugeniusza Pankiewicza, wielkiego kompozytora i pianisty.

Wykłady z ekonomii politycznej miał profesor Michalski; nauki o kierownictwie - nie pamiętam dokładnie nazwiska profesora (wiem, że był od Wawelberga, stamtąd do nas przychodził), chyba Kunsteter.

Najciekawsze były wykłady profesora Mieczysława Wolfkego. Były różne pokazy, np. drzewko Tesli, o wielkim napięciu prądu, ciekłe powietrze itd. Profesor po udanym eksperymencie chodził dumny jak paw, a studenci szaleli. Obrzucono go kiedyś jajami, bo to był mason, ale wielki profesor światowej sławy, bo skroplił hel, był w Szwajcarii i Holandii i współpracował z profesorem Kessomem, członkiem PAU, badaczem niskich temperatur. Egzamin na Politechnice w zasadzie były płatne, tak że każdy profesor mógł oblewać, by mieć więcej pieniędzy. Nigdy tego nie stwierdziłem na sobie.

Koledzy studenci-dyplomanci na zdjęciu stoją za profesora - od lewej strony: Dzwonkowski - sekcja lotnicza, por. Chudziński - sekcja uzbrojenia, Broński - sekcja uzbrojenia, Stefanoff - sekcja uzbrojenia, Bosiacki - sekcja technologiczna, Łapiński - sekcja technologiczna, May - sekcja konstrukcyjna, Urbankiewicz - sekcja technologiczna, Świącicki - sekcja konstrukcyjna, Ludwik Maluga - sekcja konstrukcyjna, Tomasz Pankiewicz - sekcja konstrukcyjna, Antoni Stala - sekcja lotnicza, Frankiewicz - sekcja konstrukcyjna.

Ja i Maluga byliśmy w jednym wieku i osiągnęliśmy po 85 lat. Nie wiem, czy ktoś z profesorów lub studentów przekroczył nasze lata. Chyba nie: niech odpoczywają w Pokoju Wiecznym.

Mimo doznanych przykrości, które miałem przed dyplomem (te skradzione 4 arkusze z pracy dyplomowej), tęsknię do lat studenckich i swojej młodości. My tylko dwaj, tzn. ja i Maluga mieliśmy po 26 lat i studiowaliśmy 6 lat.

Inni koledzy byli daleko starsi i dłużej studiowali, od 8 do 13 lat. Nie miałem, prócz Malugi, nigdy w życiu z nimi żadnego kontaktu. W czasie studiów tak samo. Jak spotykaliśmy się, mówiliśmy: kolego, albo: panie kolego. Nie wiem, gdzie oni byli i są. Wiem, że oficerowie zginęli w Katyniu (Stefanoff), reszty nie widziałem nigdy. Zabawną historię opowiadał kol. Bosiacki, który studiował 13 lat. Bogaty ziemianin, dostawał duże pieniądze ze swego majątku. W końcu miał już dość swoich studiów i rodzina kazała mu je skończyć. Opowiadał, że szedł na egzamin do profesora Zembrzuskiego, od którego był starszy o 6 lat (Bosiacki miał 48 lat). Idzie na egzamin po schodach marmurowych, ale nie wie, gdzie Zembrzuski ma swój gabinet. Spotyka kolegę i pyta: "Gdzie ta mała, ten Zembrzuski ma swój gabinet?"

"A chodźcie kolego - ja was zaprowadzę". Podchodzą do drzwi. Ten pan puszcza, jako pierwszego, Bosiackiego i wchodzi za nim. Prosi o indeks i egzaminuje. Bosiacki zdał ten egzamin. Podziękował. I więcej na ten temat nie rozmawiali. Wtedy byli tacy kulturalni ludzie.

Cześć im i Chwała!

*Tomasz Pankiewicz
Wydział Oceanotechniki i Okrętownictwa*

Rok 1939 - MIĘDZY DWIEMA OKUPACJAMI

MOJEMU OJCU

Ojciec mój, Mieczysław Jarosz, w okresie międzywojennym był adwokatem w Warszawie, znanym z występowania w wielu słynnych procesach karnych. Był też jednym z sześciu wybitnych adwokatów stołecznych wyróżnionych w latach 1935-1938 "Złotym Wawrzynem" Polskiej Akademii Literatury za krasomówstwo sądowe. W roku 1945, po powrocie z Niemiec, dokąd został wywieziony na roboty przymusowe po powstaniu warszawskim, stwierdziwszy, że nasze mieszkanie warszawskie zostało spalone, osiedlił się w Łodzi, gdzie w dalszym ciągu pracował w adwokaturze. Między innymi w najgorszych czasach stalinowskich występował wielokrotnie jako obrońca w procesach politycznych odbywających się przed sądami wojskowymi. W procesach tych jedynym sukcesem, na jaki mógł liczyć obrońca, było doprowadzenie do orzeczenia kary dożywotniego więzienia zamiast kary śmierci. I istotnie, udało mu się uratować wielu ludzi. Nie mam zamiaru napisania biografii ojca, zresztą biografia taka istnieje, są to pamiętniki ojca pt. "Wędrowki po ścieżkach wspomnień", wydane w 1963 r. Natomiast chciałem przytoczyć tu pewien epizod z życia naszej rodziny, który chyba najlepiej scharakteryzuje sylwetkę tego niezwykłego człowieka.

Nadeszło lato 1939 r. W każdej chwili spodziewano się wybuchu wojny. Po raz pierwszy nie pojechaliśmy na wakacje nad morze. Zamiast tego ojciec wysłał matkę, mojego młodszego brata i mnie do pensjonatu w miejscowości Rybienko nad Bugiem. Gdy wróciliśmy do Warszawy, okna w mieście oklejano na krzyż paskami papieru. Był to wynalazek z niedawnej wojny domowej w Hiszpanii, mający zmniejszyć niebezpie-

czeństwo obrażeń od odłamków szyb. Ojciec zakupił dla całej rodziny maski gazowe. Lekkie, zgrabne, polskiej produkcji, niczym nie przypominały archaicznych masek, jakich używaliśmy na ćwiczeniach przysposobienia wojskowego w gimnazjum. W końcu sierpnia ojciec postanowił wysłać nas do Krasnegostawu do siostry matki, w złudnej nadziei, że z dala od Warszawy narażonej na bombardowania przeżyjemy wojnę, chodząc do tamtejszej szkoły; sam pozostał w Warszawie. Mąż ciotki, Julian Kłobukowski, był w Krasnymstawie naczelnikiem więzienia. Funkcja zapewne pożyteczna, ale chyba mało ciekawa.

Pierwszego września dowiedzieliśmy się z radia, że rozpoczęła się wojna. Wprowadzono zaciemnienie. Założyłem niebieską bibułę na żarówkę mojej latarki, zastanawiając się, czy bateria wystarczy mi do końca wojny. Wuj zakupił mapę, sporządziliśmy chorągiewki, którymi mieliśmy zaznaczać linię frontu. Nic z tego nie wyszło, tak samo jak z naszej nauki w tamtejszej szkole. Stało się jasne, że nie nadążymy za ruchem niemieckich kolumn pancernych. Zresztą radio nadawało głównie komunikaty: "Westerplatte broni się ciągle" lub szyfry obrony przeciwlotniczej, np. "Uwaga, uwaga, nadchodzi. Ku-Ma 28". Całe dnie spędzaliśmy w rowach przeciwlotniczych - również wynalazek z wojny hiszpańskiej.

Wkrótce wuj dostał polecenie ewakuowania kancelarii więziennej, załadował skrzynie z dokumentami na wóz konny, wrzuciliśmy tam nasze rzeczy i wraz z nieprzebrany tłumem uchodźców, zwanych "bieżeńcami", ruszyliśmy w drogę na wschód. Większość uciekinierów wędrowała piechotą z tobo-

kami na plecach, czasem przez tłum przeciskał się samochód, zanim nie utknął z braku benzyny. Brak informacji sprzyjał szerzeniu się plotek, od skrajnie pesymistycznych, do skrajnie optymistycznych, w rodzaju: "podobno Anglicy zajęli Berlin". Wreszcie dotarliśmy do Bugu pod Dubienką, przeprawa odbywała się promem. Otóż w kilka tygodni później, w Warszawie, ojciec - nie mając żadnych wiadomości o nas - zwrócił się do swojego znajomego, znanego jasnowidza Ossowieckiego, z zapytaniem, czy może coś o nas powiedzieć. Ossowiecki poprosił o jakiś list od matki, zmiął go w ręce i po chwili powiedział:

- Mieciciu, widzę ich, przeprawiają się przez jakąś rzekę. Opiekuj się nimi mężczyzna w dziwnym mundurze, nie wiem, co to za mundur.

Byłaby to właśnie nasza przeprawa przez Bug pod opieką wuja w mundurze naczelnika więzienia? I dlaczego Ossowiecki potrafił tak wiernie opisać sytuację, nie mogąc jej jednocześnie umieścić w czasie?

Po kilku dniach dotarliśmy do Kowla na Wołyniu, gdzie mieszkał brat ojca, Bronisław, również adwokat. Stryja już nie było, został zmobilizowany i wkrótce przeszedł na Węgry, gdzie pozostał do końca wojny. W mieszkaniu zastaliśmy siostry ojca z dziećmi, które - podobnie jak my do Krasnegostawu - przybyły do Kowla, aby tam przeczekać bezpieczniejszą wojnę. Dowiedzieliśmy się też, że przed naszym przybyciem zjawił się w Kowlu drugi brat ojca, Stanisław, również zmobilizowany. Niestety, nie powiodło mu się tak jak Bronkowi, został wzięty do niewoli przez wojska sowieckie, wywieziony do obozu w Starobielsku i zamordowany w 1940 r. Dopiero w pół wieku później groby oficerów ze Starobielska odkryto w Miednoje na Ukrainie. W Kowlu wuj Kłobukowski zatrzymał się jeden dzień, następnie, z niejasnych przyczyn, zabrał ze sobą tylko mnie i wraz z cofającym się wojskiem wyruszył dalej na wschód. Jednak szybko zmienił plany, powrócił, i korzystając z wozu i konia, co było wówczas skarbem nieocenionym, zabrał ciotkę, pozostawił nas w Kowlu i pojechał z powrotem do Krasnegostawu.

17 września Armia Czerwona przekroczyła granicę polską i jej oddziały pojawiły się w Kowlu. Z okien domu przyglądaliśmy się kolumnom piechoty sowieckiej. Zrozumiałem, że Polska, która dla mnie, pierwszego pokolenia urodzonego w niepodległej Rzeczypospolitej, była czymś trwałym i normalnym, bo okres zaborów jawił mi się jako niezrozumiała i zamierzalna historia - przestała istnieć. Przebywający w tym czasie w Kowlu przyjaciel ojca z Warszawy, adwokat Drobniewicz, nie wytrzymał nerwowo i odebrał sobie życie wystrzałem z pistoletu. Ulice miasta oklejono wielkimi, niesłychanie wulgarnymi, antypolskimi karykaturami. Pamiętam jedną, przedstawiającą wspaniałego krasnoarmiejca pędzącego bagnetem polskiego orła - gładzącą kurę w koronie. Na rogach ulic stanęły karabiny maszynowe. Sklepy - jeszcze wczoraj dobrze zaopatrzone - ogołociono i zamknięto. Dopiero po kilku dniach w pobliskiej piekarni rozpoczęto wypiek chleba. Wieczorem ustawialiśmy się w kolejce. O świcie przychodził piekarz, potem nad kominem pojawiał się dym, wreszcie rozchodził się zapach świeżego chleba. Wydawano po jednym bochenku. Zamiast gazet rozdawano jakieś biuletyny pisane fatalną polszczyzną. Pamiętam tytuł: "Wielka mowa Mołotowa" oraz

wiadomość, że: "kolejarze widząc, że nie muszą już pracować dla polskich panów, wzięli się ochoczo do roboty, wyczyszczone zwrotnice lśnią jak niklowane". Nie ręczę, czy pierwsza część tego zdania tak właśnie brzmiała, ale absurdalność tych lśniących zwrotnic, sprawiła, że utknęło mi to w pamięci. W istocie nie istniał żaden zorganizowany ruch kolejowy. Pociągi kursowały bardzo rzadko i do ostatniej chwili nie było wiadomo czy, kiedy i gdzie pojadą. Usunięto nas z domu stryja. Ciotka Zofia poszła w tej sprawie interweniować u urzędnika sowieckiego, noszącego tytuł "wojennyj prokurator" i, jako energiczna pani pułkownikowa, zrobiła mu taką awanturę, że - oszołomiony - przydzielił nam mieszkanie zastępcze, w jakiejś ruderze na drugim końcu miasta. Ale i z tego mieszkania nas usunięto, tym razem już nie dając nic w zamian. Wówczas siostry ojca postanowiły przedostać się na stronę niemiecką do Nowego Sącza, gdzie jedna z nich miała mieszkanie. Natomiast

naszą trójkę przygarnął niesłychanie sympatyczny i uczynny Żyd, do niedawna aplikant w kancelarii adwokackiej stryja. Nie wiedzieliśmy, co dalej robić. Wreszcie dwaj znajomi panowie z Warszawy, lekarz i adwokat, poradzili matce, aby spróbować powrócić do Warszawy. Pod ich opieką, z niesłychanym trudem, opłacając kolejarzy, dojechaliśmy do Brześcia nad Bugiem, gdzie przebiegała linia demarkacyjna. Matka wynajęła pokój w domku jakiegoś polskiego kolejarza na ulicy Bema. Dysponowała ciągle jeszcze pieniędzmi, które - o dziwo - nie straciły swojej wartości pomimo katastrofy państwa polskiego. O przedostaniu się na stronę niemiecką nie było mowy.

Tymczasem w Warszawie, już w pierwszych dniach wojny, ojciec, zorientowany się w sytuacji, wyruszył, aby do nas dołączyć. Cytuję fragment pamiętników ojca: "Dnia 9 września postanowiłem pojechać



Mieczysław Jarosz (1886-1972)

do Krasnegostawu. Nie zapomnę tej podróży do końca życia. Z trudem zdobyłem miejsce w pociągu ewakuacyjnym idącym ze Śrema do Kowla. Wyjechałem w sobotę o godzinie szóstej rano, następnego dnia, w niedzielę, o godzinie dwunastej w południe dotarłem szczęśliwie do Otwocka! Ustawiczne naloty, zatarasowanie torów, spowodowały, że staliśmy godzinami w polu (...). Rozgrywały się straszliwe sceny. Dzieci wystraszone hukami bomb, trzaskami karabinów maszynowych, biegły z krzykiem na oślep". Po zniszczeniu pociągu, ojciec wraz ze znajomym sędzią postanowił iść dalej piechotą. Po dwu tygodniach wędrówki dotarł do Krasnegostawu. Jednak nas nie zastał. Można sobie wyobrazić jego rozpacz, gdy dowiedział się, że wuj Kłobukowski pozostawił nas w Kowlu, zajętym teraz przez Armię Czerwoną. Nie mógł się z tym pogodzić.

- Jak tak mogłeś - wołał oburzony - oddać ci pod opiekę żonę i dzieci, a tyś ich wywiózł i zostawił samych!

Nigdy nie mógł tego darować biednemu wujowi. Biednemu - bowiem Armia Czerwona zajęła przejściowo województwo lubelskie i oczywiście NKWD natychmiast aresztowało naczelnika więzienia. Został wywieziony do obozu w Ostaszku, a następnie, z tysiącami innych, zamordowany w Katyniu.

Z Krasnegostawu ojciec powrócił do Warszawy, zajętej przez Niemców. Został nasze mieszkanie przy ul. Żurawiej częściowo zniszczone bombą lotniczą. Przepadł wspaniały księgozbiór, a z popiersia ojca, dłuta Ksawerego Dunikowskiego, ocalała tylko głowa.

Ojciec zamienił mieszkanie na mniejsze w tym samym domu i ponownie postanowił nas odszukać. W połowie listopada, wbrew przestrogom znajomych, którzy taką wyprawę uważali za szaleństwo, wyruszył w niebezpieczną podróż, tym niebezpieczniejszą, że nie znał zupełnie języka rosyjskiego. Dowiedział się, że jakieś osiemdziesiąt kilometrów od Warszawy, pomiędzy Małkinią, po stronie niemieckiej, i Zarembami Kościelnymi, po stronie sowieckiej, od czasu do czasu okupanci pozwalają przekraczać linię demarkacyjną. Przy pomocy przemytnika przedostał się na drugą stronę i przez Białystok-Brześć, po wielu dniach podróży, dotarł koleją do Kowla. Zaszedł do mieszkania stryja i znowu spotkało go rozczarowanie. Został tam obcych ludzi. Na szczęście sąsiedzi znali nasz nowy adres. Powędrował więc na drugi koniec miasta i znowu nikogo nie zastał. Tym razem dowiedział się tylko, że wyjechaliśmy, a le nie wiadomo dokąd. Ślad się urwał. Jakimś sposobem udało mu się odszukać wspomnianego Żyda, aplikanta stryja, dowiedział się, że nasza trójka u niego mieszkała, i że niedawno wyjechaliśmy do Brześcia, a co najważniejsze - uzyskał nasz brzeski adres. Pozostaje dla mnie zagadką, w jaki sposób matce udało się przesłać nasz adres do Kowla. Przecież poczta nie funkcjonowała. Może zrobiła to za pośrednictwem kolejarzy. Musiało jej na tym bardzo zależeć, przypuszczam, że liczyła na to, iż ojciec będzie nas szukał. W każdym razie przesądziło to o powodzeniu wyprawy ojca. Wyruszył więc z powrotem do Brześcia, przez który przejeżdżał przed kilkoma dniami. Znowu oddaję głos ojcu: "Na dworcu kowelskim czekałem dwa dni na pociąg. Trzeba było widzieć te tłumy ludzi z tobołkami, z gromadą dzieci, białych, wynędzniałych, głodnych, tłoczących się w poczekalniach, śpiących na gołej posadzce. Na koniec z trudem udało mi się wcisnąć do wagonu".

Pamiętam doskonale ten moment. Stałem w oknie naszego pokoju w Brześciu, kiedy zauważyłem, że ktoś gwałtownym ruchem otwiera furtkę. Poznałem ojca po ruchach - nigdy jeszcze nie widziałem, zawsze eleganckiego pana mecenasa, w takim ubraniu.

- Tatusiu - zawołałem.

Nie było czasu na rozmowy, spieszył się bardzo, natychmiast spakowaliśmy rzeczy i potwornie zatłoczonym pociągiem pojechaliśmy do Białegostoku, który wówczas znajdował się w strefie sowieckiej. Potem pojechaliśmy kawałek koleją w kierunku Zaremb Kościelnych, następnie ojciec wynajął furmankę i ruszyliśmy w stronę granicy. Była zamknięta. W lesie koczowały tłumy, paliły się małe ogniska. Noc, a może dwie spędziliśmy na wozie. Wreszcie rozległy się krzyki: "puszczają!". Woźnice zacięli konie, piesi ruszyli biegiem. Zobaczyłem, jak żandarm niemiecki szarpie żydowskiego chłopca, który płacząc, wołał: "Ja wracam do mamusi, do mamusi!". Byliśmy po stronie niemieckiej. Po nocy spędzonej pokotem na podłodze jakiejś chaty, pojechaliśmy pociągiem do Warszawy. Tramwaje jeszcze nie kursowały. Z Dworca Wschodniego pojechaliśmy do śródmieścia wozem drabiniastym "na łebka". I tak po trzech, jakże długich miesiącach, znaleźliśmy się ponownie wszyscy razem w naszym własnym, warszawskim mieszkaniu. Jeszcze tego samego dnia ojciec zrobił nam niespodziankę. Zaprosił nas na obiad do restauracji na Nowym Świecie. Kelnerzy we frakach, szef sali podaje kartę. Niebywały przeskok.

Teraz, po przeszło pół wieku, uświadamiam sobie, że przybycie ojca do Brześcia w listopadzie 1939 r. wcale mnie nie zaskoczyło. Chyba się tego spodziewałem. Ojciec był dla mnie kimś, kto wszystko może, wszystkiemu zaradzi, zawsze na

niego można liczyć, zawsze wydobędzie nas z każdej biedy. Dlatego też nie zdawałem sobie sprawy z tego, że wyprawa ojca była aktem niebywałego bohaterstwa i poświęcenia. Uratował nas cudem. Już w kilka tygodni po naszym wyjeździe z Brześcia, NKWD rozpoczęło masową wywózkę Polaków. Na pierwszy ogień poszli tacy jak my, to jest przybysze z innych rejonów, czyli "bieżeńcy". Jeszcze miesiąc, a może krócej, i ojciec już by nas nie zastał. Zresztą sama wyprawa byłaby niemożliwa, granice szczelnie zamknięto. Wiem, że to by go nie zraziło i dalej próbowałby nas odnaleźć. Jednak z pewnością zostałby natychmiast aresztowany i prosto z granicy trafiłby na Kołymę.

Wspominałem, że wtedy w 1939 r. przeskok pomiędzy strefą niemiecką i sowiecką był ogromny. To prawda, tu w Warszawie to była ciągle Polska, Niemcy jeszcze nie pokazali co potrafią, natomiast trudno oddać nastrój, jaki panował na obszarach okupacji radzieckiej. Ta przerażająca cisza, brak wszelkiej informacji. Wydawało się, że toniemy w jakiejś lepkiej mazi. Chyba po raz pierwszy zdałem sobie sprawę z grozy sytuacji jeszcze w Kowlu. Jechałem właśnie dorożką, wioząc jakieś walizki. Było ciemno, padał deszcz, dorożka taplała się w błocie. Nagle zrozumiałem, że stąd trzeba uciekać, ani chwili dłużej! W powietrzu czaiło się coś przerażającego.

Z pamiętek, jakie pozostały mi po ojcu, najbardziej sobie cenię strzeleckiego orzełka, z którym, z Werndlem na ramieniu, w sierpniu 1914 r. wyruszył z Krakowa do Królestwa. Nosił go potem na czapce do 1917 r., jako oficer 6. Pułku Piechoty Legionów. Z tym orzełkiem odwiedził kiedyś majątek Mierzejewskich, Borowinę nad Wisłą koło Dębina, z którą to miejscowością - że użyję jego własnych słów: "pomyślny los związał mnie na dłużej". Poznał tam bowiem swoją przyszlą żonę i naszą matkę, Janinę, córkę Stefanii i Marcina Mierzejewskich. Ślub odbył się 22 lutego 1918 r. w wiejskim kościółku w Gołębiu. Potem, gdy nadeszła wojenna potrzeba bolszewicka, ojciec, znowu z tym orzełkiem, wyruszył na front z 201. Pułkiem Piechoty Wojska Polskiego. Z wojny bolszewickiej powrócił w 1920 r. w stopniu majora, z Krzyżem Walecznych z dwoma okuciami, czyli dwukrotnie nadanym (następny Krzyż Walecznych w rodzinie Jaroszków otrzymał w 1944 r., w czasie powstania warszawskiego, mój młodszy brat Marek). Po 1920 r. orzełek ojca przeleżał w szufladzie w naszym mieszkaniu w Warszawie, aż znowu, w sierpniu - tym razem 1944 r. - dostałem go od ojca i przypiąłem do powstańczej furażerki. Potem nosiłem go na czapce w obozach jenieckich po powstaniu, aby w 1945 r. przypiąć go z kolei do beretu, jako żołnierz Warszawskiej Dywizji Pancerniej, 2. Polskiego Korpusu APW we Włoszech. Muszę przyznać, że nie chodziło mi wtedy o sentyment, na to byłem za młody. Po prostu podobał mi się bardziej niż "kazionny" orzełek korpusny. A że orzełek strzelecki, jak wiadomo, nie miał korony, omal nie rozgniewało to kiedyś jakiegoś oficera, jednak przyjrząwszy się bliżej, zawołał zdumiony: "Ależ to chyba prawdziwy orzełek legionowy". Następnie, po ewakuacji Korpusu z Włoch, nosiłem go w Wielkiej Brytanii do czerwca 1947 r. kiedy, wraz z bratem, powróciliśmy do Polski. Teraz wisi w moim pokoju w Gdańsku, oprawiony w ramkę, a obok dwie fotografie: jedna ojca z 1916 r., z orzełkiem na strzeleckiej maciejówce, i druga moja, zrobiona w 1946 r. w Mediolanie, z tym samym orzełkiem na czarnym berecie korpusnym.

Andrzej Jarosz

Wydział Oceanotechniki i Okrętownictwa





ma zaszczyt przedstawić
„KOLCZYKI IZOLDY”
 OSOBY TOWARZYSKIEGO
 DRAMATU:

**PANOWIE: TRZETRZE-
 WIŃSKI & KRUPCZAŁO
 WSKI.**

**KOMENTATOR: OSIOLEK
 PORFIRION.**

**DEKORACJA: WYGÓDKA
 Z WYCIĘTYM SERCEM.**

Akcja:

(Panowie T. i K. stoją przed
 Sercem)

(pauza, zrozumiałe napięcie)

Trzetrzewiński:

Pan będzie łaskaw.

Krupczalowski:

Nie, pan będzie łaskaw.

Trzetrzewiński:

Pan pozwoli, że się panu

przedstawię. **Trzetrzewiński.**

Krupczalowski:

Pan pozwoli, że się panu

przedstawię. **Krupczalowski.**

(uścisk dłoni)

Trzetrzewiński:

Czy pan też?

Krupczalowski:

O, tak. Szalenie.

Trzetrzewiński:

Wobec tego pan będzie

łaskaw.

(blednie, detonacja)

Krupczalowski:

Nie, pan będzie łaskaw.

Krupczalowski.

(zielenieje, detonacja)

Trzetrzewiński:

**Trzetrzewiński, Przez er-
 zet.**

Krupczalowski:

Hardzo mi przyjemnie.

Krupczalowski. Przez u. U!

(detonacja, tragedia)

Kurtyna

Osiolek Porfirion:

(do siebie, za kurtyną)

Ale dlaczego sztuka nazy-

wa się „Kolczyki Izoldy”?

Widocznie, żeby trudniej

było zgadnąć, czyli, żeby

był nadrealizm, czyli, że

wszystko idzie jak najlepiej

na tym jak najbardziej sur-

realistycznym ze światów.

Proszę o „szatana”, czyli fi-

liżankę czarnej kawy 18 ra-

zy wzmocnionej. Połamcie

repe i nogi.

Koniec

K. I. Gałczyński

P. S. Dyrekcja Teatru Zie-

lona Gęś komunikuje u-

przejmie, że, natychmiast

po ukazaniu się w „Odro-

dzieniu” artykułu pt. „Wier-

sze Gałczyńskiego”, wysłała

do Andrzeja Stawara z Kry-

nicy pismo specjalne, na

które nie ma odpowiedzi.

Prof. Bączyński

Od poniedziałku 1 września 1997 r. kierownictwo Katedry Miernictwa Elektrycznego na Wydziale Elektrotechniki i Automatyki objął dr hab. inż. Ryszard Roskosz, prof. nadzw. PG. Na sobotę 30 sierpnia 1997 r. zorganizowałem zebranie całego personelu Katedry celem przeprowadzenia tak zwanej "inwestytury" - czyli przekazania symboli związanych z tą funkcją. Spotkanie odbyło się w lokalu gastronomicznym, gdzie do wyłącznej dyspozycji mieliśmy osobne pomieszczenie, zarezerwowane na godziny przedpołudniowe.

W części oficjalnej nastąpiło wręczenie insygniów w postaci nowej pieczęci nagłówkowej oraz pieczętka podpisowej. Następnie przedstawiłem krótką impresję z lat mojej działalności w charakterze kierownika - najpierw Zakładu (w strukturze instytutowej), a ostatnio Katedry Miernictwa Elektrycznego. Tym samym jednostka ta odzyskała ten status, jaki przysługiwał jej od roku 1945. Od samego początku, zgodnie z decyzją prof. Stanisława Trzetrzewińskiego jako pierwszego Kierownika, do pieczętka stosuje się tusz w kolorze czerwonym. Tak też są wykonane nowe pieczęcie.

Podczas części nieoficjalnej, którą stanowiło śniadanie na słodko, panował swobodny a pogodny nastrój i opowiadaliśmy sobie różne wydarzenia z lat przeszłych. Tych wspomnień było sporo i zgłoszono pomysł, by te anegdota utrwalić w formie spisanej. Oto nieco uzupełniony zapis różnych anegdot.

W obecnie działającym zespole Katedry legitymuję się najdłuższym stażem, gdyż początek mojego zatrudnienia przypada na dzień 1 lutego 1950 r. Nie jestem jednak najstarszym obecnie żyjącym z grona dawnych pracowników, wcześniej niż ja pracowali tu: Jerzy Jaczewski (od 1 września 1946), Tadeusz Lipski (od 1 października 1946 r.), Czesław Wojniłowicz (od 1 listopada 1946 r., Edward Swirkowski (od 1 października 1948 r.), Jerzy Gumiński (od 1 września 1949 r).

Ich okresy działania w zespole Katedry Miernictwa Elektrycznego trwały niezbyt długo, po kilka lat. Jaczewski, Lipski i Swirkowski tytuł profesora uzyskali w wyniku działalności naukowej w innych dziedzinach. Ta sama uwaga odnosi się do doktoratu Jerzego Gumińskiego. Natomiast Czesław Wojniłowicz poświęcił się wyłącznie działalności inżynierskiej.

W tym stanie rzeczy sądzę, że mój początkowy przyczynek należy poświęcić prof. Trzetrzewińskiemu.

Telepatyczne zdolności Gałczyńskiego

Egzamin z miernictwa elektrotechnicznego zdałem u prof. Trzetrzewińskiego w czerwcu 1947 r. Potem pojechałem na wakacje, do Rodziców w Bydgoszczy. Stale czytywałem tygodnik "Przekrój" i w numerze 122. z datą 10-16 VIII 1947 r. znalazłem "Teatryk Zielona Gęś", prezentujący "Kolczyki Izoldy". Wycinek reprodukuje obok.

W tym okresie gromadziłem wycinki co bardziej udanych "Zielonych Gęsi" i mam ich do dziś spory zbiór. Po powrocie do Gdańska zastanawiałem się, czy tych "Kolczyków Izoldy" nie przypiąć na drzwiach pokoju E-25, gdzie mieścił się gabinet profesora Trzetrzewińskiego. Zrezygnowałem jednak, gdyż załowałem tego wycinka. I dzięki temu mogę dziś zamieścić jego treść.

Konstanty-Ildefons Gałczyński, pisząc ten fragment "Zielonej Gęsi", miał chyba przebłysk telepatii, skoro jednym z bohaterów uczynił osobę o tak rzadkim nazwisku, jak Trzetrzewiński! Cdn.



Prof. S. Trzetrzewiński

Jerzy Sawicki
 Wydział Elektrotechniki i Automatyki

OPOWIEŚCI KREŚLARNIANE (3)

Tematem często poruszonym w kreślarni były, oprócz wspomnień z własnych przeżyć, opinie o profesorach i asystentach oraz opowieści z nimi związane. Oto jedna z nich, wiernie odtworzona, którą nazwałem:

"Paweł i Gawęł w jednym stali domku..."

Politechnika Gdańska była jedną z pierwszych uczelni technicznych uruchomionych w kraju po wojnie. Dzięki temu ściągęło tam wielu przedwojennych profesorów z Politechniki Warszawskiej i Politechniki Lwowskiej. Z grona tych ostatnich trafiło na Wydział Mechaniczny między innymi dwóch wybitnych naukowców, nazwijmy ich profesor X i profesor Y. Tak się złożyło, że zamieszkali w jednym domu, opodal Uczelni. Politechnika, będąca dysponentem tych pomieszczeń, przydzieliła piękne mieszkanie na parterze profesorowi X, który był jowialnym blondynem średniego wzrostu, o słusze posturze.

Profesor Y, szczupły i wysoki szatyn o lekko zadartym nosie i kostycznym wyglądzie, dostał podobne mieszkanie na piętrze, ponad swym kolegą.

Prof. X był żonaty od wielu lat z bardzo energiczną panią, miłośniczką muzyki poważnej, koneserką malarstwa, prowadzącą dom otwarty i bogate życie towarzyskie. W Gdańsku wyróżniała się też tym, że udało się jej dostać z dostaw UNRRA wojskowego jeepa, którym codziennie jeździła. Było to bardzo widoczne, gdyż samochód był poważnie odkryty, a wówczas w Gdańsku nie było wiele prywatnych samochodów prowadzonych przez kobiety. Jej mąż był z natury pogodny i życzliwy ludziom, przebywał chętnie w katedrze, troskliwie opiekując się swoim zespołem. Był lubiany przez studentów.

U profesora X mieszkał też przyjaciel ich domu. Był on młodszym od pana domu kawalerem, jowialnym, nieco łysym, o zawsze uśmiechniętej twarzy. Prowadził też wykłady na naszym Wydziale, a dzięki jego życzliwości i humorowi był obdarzany przez nas sympatią. Na pewno nie był przesadnym pedantem i zdarzało się czasami, a bywało to po jakichś imieninach, że czekaliśmy długo na rozpoczęcie wykładu lub egzaminu. Wówczas posyłał nas do domu "Leosia" (tak go bowiem pieszczotliwie nazywaliśmy) z zapytaniem, czy zajęcia dziś się odbędą.

"Leos" miał jedno dziwne hobby - w ogródku przed domem miał pasiekę, bodajże trzy ule, a pszczoły te czasami cięły niemiłosiernie sąsiadów i przechodniów.

Profesor Y był natomiast pedantem i wielkim purystą językowym, pamiętam jak to raz na wykładzie stworzył nowe słowo "wysówka" w miejsce "szuflady", którą uznał za germanizm. Wykłady jego były przygotowane bardzo starannie, gromadził do nich wszelkie dostępne informacje o postępie technicznym w swojej dziedzinie. Na korektach projektów był bardzo ostry i wymagający, i zapewne dlatego nie cieszył się specjalną sympatią studentów. Chętnie przebywał w swej katedrze i tegoż samego żądał od swoich asystentów. Wymagał też ich bezinte-

resownej pracy przy prowadzonych przez siebie ekspertyzach, nie wykazując wielkiego zainteresowania ani ich rozwojem naukowym, ani sytuacją materialną.

W związek małżeński wstąpił późno. Złośliwi bliźni mówili, że swą późniejszą żonę poznał w czasie podróży służbowej w jakimś hotelu, gdzie była zatrudniona. Dużo później - bo w latach siedemdziesiątych - głośny był przypadek pani Piaseckiej, która swą karierę rozpoczynała jako pomoc domowa u multimilionera Johnsona i została później jego żoną, a następnie spadkobierczynią. Do wielu jej zalet należało też ukończenie historii sztuki. Wracając do profesorowej Y, to można jedynie stwierdzić z całą pewnością, że historii sztuki nie studiowała.

Profesorowi wystarczała zupełnie praca do późnej nocy w katedrze, co jednak nie znajdowało uznania u jego małżonki, obserwującej bogate życie swych sąsiadów. W tej sytuacji nie zadzierzgnęła się nic przyjaźni pomiędzy sąsiadującymi dwiema żonami profesorów. Wręcz przeciwnie - powstała wielka animozja. Obydwaj ich mężowie byli znakomitymi profesorami, zajmującymi wysokie stanowiska w hierarchii Uczelni, ale wkrótce się okazało, że "nic co jest ludzkie nie było też im obce".

Tak jak kropla draży kamień, tak i ciągle molestowanie przez żony "Bogu ducha winnych mężów" spowodowało, że animozja przeniosła się na obydwu profesorów. Na pogłębienie tego stanu rzeczy wpłynęły też żądłące pszczoły "Leosia", które szczególnie upodobały sobie panią korzystającą z balkonu na górnym piętrze, o co też oczywiście miała pretensje do swojego męża.

Asystenci odwiedzający służbowo profesora Y bywali świadkami żalostnych scen, gdy siedział on przy stole, chroniąc głowę rękami przed gwałtownymi atakami swej połowicy. Opowiadał mi zaprzyjaźniony znajomy, pracujący w katedrze profesora Y, jak to raz zastał w domu swego szefa jakoś dziwnie rozpogodzonego, ba - niesłychana rzecz - wręcz uśmiechniętego. Zaciekawiony tą niespotykaną sytuacją nie mógł się domyślić przyczyny. Po paru minutach wszystko się wyjaśniło. Profesor ukląkł na podłozie, wziął do ręki świder stolarski z wielką korbą i zaczął wiercić dziurę w podłozie. Żona przyniosła lejek i duży czajnik pełen wody. Po chwili małżeństwo w pełnej harmonii zaczęło wlewać zawartość czajnika do tej dziury. "W tym miejscu stoi ich tapczan i tak wyliczyłem, że woda przesiąknie przez sufit i zacznie kapać na głowę w nocy podczas ich snu" - powiedział z dumą profesor, a na jego twarzy odmalowała się pełnia szczęścia i triumfu.

Narastające napięcie doprowadziło obydwu sąsiadów do "wzajemnego naruszenia nietykalności osobistej", czyli po prostu do mordobicia. Rektor Turski nie miał poczucia humoru i obydwu profesorów zawiesił na rok w prawach członków Rady Wydziału.

Takie oto bywały w owe czasy rozrywki naszych luminary nauki. Można jedynie dodać, że był to przypadek w społeczności politechnicznej nieodosobniony, bywały tam też wydarzenia podobne, ale - jak mawiał Kipling - to już zupełnie inna historia.

Kazimierz Iwanowski
Wydział Mechaniczny

50. rocznica powołania dyrektora administracyjnego PG

Nasze "PISMO PG", nie tylko z racji niedawnej rocznicy 50-lecia Politechniki Gdańskiej, publikowało wspomnienia o trudnych powojennych początkach jej działalności. Z relacji tych dowiadujemy się o ogromnie bogatej sferze emocjonalnej tamtego okresu, a jednocześnie wielkiej biedzie materialnej. Skape, bądź tylko hasłowe są zwłaszcza relacje o pokonywaniu trudności w tej drugiej sferze. Z oczywistych względów, wsparcie ze strony władz mogło być tylko moralne. Zagospodarowywano zatem to, co zostało oficjalnie przekazane w formie zrujnowanego mienia, jak i to, co udało się pozyskać innymi sposobami. Entuzjazm przybywających w mury naszej uczelni pracowników i studentów obfitował mnóstwem inicjatyw organizacyjnych, nie tylko w pokonywaniu trudów odbudowy, ale i walki o przyszłościową kromkę chleba.

Chociaż niewiele, to jednak wiemy, że zwłaszcza w tym drugim obszarze przedsięwzięć w środowisku studenckim główną rolę spełniała młodzież zorganizowana w odrodzonym "Bratniaku". Prawie nic natomiast nie wiemy, jak sobie radzili z problemami bytowymi pracownicy. Czy wśród nich funkcjonowała jakaś samopomoc?

Głód doskwierał wszystkim jednakowo, i dlatego zapewne istniało wzajemne wspomaganie się pracowników i studentów. Z relacji ustnych wiadomo, że wspólnie gospodarowano w "zdobyczym" majątku ziemskim pod Gdańskiem, skąd zwożono płody do uczelni. Tu jednak funkcjonowały osobne stołówki. Studenci żywili się w budynku "Bratniaka", a pracownicy w willi przy ul. Krętej. Do zupy, serwowanej przez tę drugą, mieli dostęp także nieliczni studenci, którym udało się ochotniczo zostać członkami Straży Akademickiej, jedynej formacji zbrojnej Politechniki Gdańskiej.

Transport prowiantu i opału, jak i zagospodarowania laboratoryjnego, zapewniał etatowo zatrudniony pan Paliwoda - dysponujący parą koni, prawdopodobnie z pomocy UNRRA. Jego potomkowie do dziś bytują na resztkach gospodarstwa sąsiadującego z naszym "polem doświadczalnym". Jeszcze w latach 50. pan Paliwoda raz w tygodniu przemierzał trasę do Gdyni. Zatrzymywał się na ustalonych przystankach zaopatrzeniowych, do których różnymi środkami lokomocji docierali pracownicy i studenci trudniący się zakupami i pozyskiwaniem potrzebnych dóbr.

Dla wykonywania pojawiających się zadań, zwykle jednorazowych bądź krótkoterminowych, wyznaczali pracowników rektorzy i dziekani. Z czasem pojawiać się dopiero zaczęły specjalistyczne stanowiska etatowe, jak np. intendent aprowizacyjny. Im-

prowizacja organizacyjna obejmowała również przedsięwzięcia remontowe, a niekiedy i inwestycyjne. Tworzono spośród pracowników dydaktycznych i pomocniczych, często wspieranych studenckimi ochotnikami, odpowiednio dobrane zespoły do realizacji jednego, bądź grupy przedsięwzięć. Ten okres pewnego chaosu sprzyjał także tworzeniu się organizacji - grup nieformalnych - zaniepokojonych zaostrażającą się sytuacją społeczno-polityczną.

Okoliczności te wykorzystał ówczesny reżim, i chcąc słusznie odciążyć rektorów od bezpośredniego kierowania nieskoordynowanymi działaniami służb pomocniczych, nakazał ich centralistyczne przeorganizowanie, pod ustanowionym urzędem dyrektora. Na ten urząd była powoływana przez Ministra Szkół Wyższych i Nauki osoba proponowana przez rektora i odpowiednio sprawdzana przez służby bezpieczeństwa.

Przed 50 laty - a zatem kolejny jubileusz - w Politechnice Gdańskiej, z dniem 1 listopada, po raz pierwszy na urząd dyrektora powołano dr. Emilian Srokę - postać nietuzinkową. Jak się jednak po dwóch latach okazało, to UB-owskie sprawdzanie było mylne. Bowiem dr Emilian Sroka, poddany w 1950 roku próbie lojalności, nie tylko nie spełnił związanych z nią oczekiwań, ale po-

nadto wysokiego dygnitarza partyjnego potraktował kopniakiem, co oczywiście przypłacił utratą stanowiska - zapisując znaczący moment w swoim patriotycznym życiorysie. Kolejnymi dyrektorami administracyjnymi Politechniki Gdańskiej byli: dr Emilian Sroka, Ludwik Siekierski, Jarosław Polikowski, Wojciech Wójciak, Zbigniew Drewnowski, Ewa Mazur.

Pierwszy dyrektor administracyjny PG dr Emilian Sroka

Dr Emilian Sroka urodził się 11.10.1896 roku w Dąbrowie Śląskiej, w rodzinie górniczej. Rodzinne tradycje zawodowe kontynuował w latach młodzieńczych, aby zdobyć środki na kształcenie, ponieważ ojciec nabawił się inwalidztwa podczas katastrofy kopalnianej. Szkołę podstawową w Dąbrowie Śląskiej ukończył w roku 1909, a w roku 1917 polskie gimnazjum realne im. Juliusza Słowackiego w Orłowej na Śląsku Zaolziańskim. W roku 1925 ukończył Wydział Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego, a także Wyższą Szkołę Handlową w Krakowie. Natomiast w roku 1931 uzyskał doktorat nauk prawnych i ekonomicznych na Uniwersytecie Bratysławskim.

Dr Emilian Sroka pochodził z rodziny rdzennie polskiej, której patriotyzm powodował angażowanie się w działalność na rzecz odzyskania i ugruntowania niepodległości Polski na ziemiach pogranicza śląskiego. Działalność ta skutkowałą prze-



*Pierwszy dyrektor administracyjny PG
dr Emilian Sroka, rok 1971*

śladowaniami szowinistów czeskich, wywodzących się głównie z Demokratycznej Partii Narodowej Czech, w stosunku do mieszkańców tzw. "opcji polskiej". Dr Emilian Sroka angażował się w organizację państwowości polskiej na Śląsku Zaolziańskim - tworząc m.in. oddziały milicji obywatelskiej i będąc jej funkcyjnym działaczem. Dlatego władze odrodzonej Rzeczypospolitej powierzały mu sprawowanie odpowiedzialnych stanowisk urzędowych w Wydziale Kontroli Granicznej Urzędu Miejskiego w Cieszynie (1918-1919) i Starostwie Powiatowym we Fryszacie (1919-20).

Kiedy w listopadzie 1920 roku większość powiatu Fryszackiego przyłączono do Czechosłowacji, musiał w obawie przed szykanami nacjonalistów czeskich opuścić Śląsk Zaolziański, jako znany funkcjonariusz polski i uczestnik wielu bojówek.

Przeniósł się do Poznania, gdzie w latach 1920-21 pracował w Ministerstwie b. Dzielnicy Prus. Po ogłoszeniu amnestii dla byłych działaczy polskich, przez Czechosłowację powrócił w czerwcu 1921 roku na Śląsk Zaolziański. Niestety, amnestia ta okazała się fikcją, szykany wobec Polaków nie ustawały, zwłaszcza w zakresie zatrudnienia. Dlatego został formalnie zatrudniony od 22.04.1922 r. w konsulacie RP w Koszycach, skąd 1.09.1925 r. został przeniesiony do nowo powstałego konsulatu RP w Bratysławie, który w marcu 1939 roku przemianowano na poselstwo, a 1.09.1939 r. ewakuowano na Węgry. W pracy konsularnej Emilian Sroka pełnił funkcje naczelnika kancelarii, a także kierował referatami: prawnym, handlowym, ekonomicznym, socjalnym i prasowym. Od 1932 r. był także korespondentem Polskiej Agencji Telegraficznej.

Podczas pobytu na Węgrzech aktywnie uczestniczył w działalności Towarzystwa Polsko-Węgierskiego oraz w utworzeniu Obywatelskiego Komitetu Opieki nad Polskimi Uchodźcami, w którym był zatrudniony na stanowisku kierownika Działu Poszukiwań i Informacji, po likwidacji konsulatu RP w Budapeszcie w dniu 30.09.1940 r.

Jednocześnie z tym zatrudnieniem, spełniał utajnione zadania umożliwiające m.in. bieżące kontakty Rządu RP w Londynie z Delegaturą Rządu RP na Kraj. Po wkroczeniu hitlerowców na teren Węgier rozpoczęła się likwidacja oficjalnie istniejących polskich instytucji oraz inwigilacja i prześladowania tamtejszego polskiego podziemia, których ofiarą padł i dr Emilian Sroka. Gestapo aresztowało go i maltretowało od 20.03.1944 r. do 13.09.1944 r. Tylko sile charakteru zawdzięczał niepoddanie się torturom i zatajenie współtowarzyszy działalności patriotycznej. Wraz z czterema innymi b. pracownikami konsularnymi został zwolniony z aresztu, dzięki intensywnym interwencjom węgierskiego MSZ. Obywatelski Komitet Opieki nad Polskimi Uchodźcami powierzył mu 27.09.1944 r. pełnienie stanowiska sekretarza "Obozu Budapeszt". Po wyzwoleniu Budapesztu, został sekretarzem Komitetu Repatriacyjnego

Szczególnie zauważalną cechą charakteru dr. Emiliana Sroki była skromność, minimalizowanie własnych potrzeb oraz ofiarna dbałość o zabezpieczenie takowych u bliźnich. Tak też było podczas rozdzielania pomocy materialnej uchodźcom, jak i w czasie ich repatriacji.

Dr Emilian Sroka wrócił do Kraju ostatnim pociągiem ze współrodakami-uchodźcami 21.08.1945 r. Państwowy Urząd

Repatriacyjny, Oddział w Dziedzicach, skierował dr. Emiliana Srokę do Gdańska, gdzie przybył 30.08.1945 r. Stało się tak dlatego, iż rodzinny Śląsk Zaolziański, gdzie jeszcze mieszkała jego matka, przypadł ponownie Czechosłowacji.

W Gdańsku dr. Emilianowi Sroce z czteroosobową rodziną przydzielono na tymczasowe zamieszkanie domek letniskowy, o powierzchni 28 m² na Kolonii Jordana, gdzie zamieszkiwał aż do czasu wyjazdu w 1983 roku do siostry w Skoczowie. Miał oczywiście, i to nie raz, możliwości poprawy swojej sytuacji mieszkaniowej. Dość często zwracali mu na to uwagę jego współpracownicy. Odpowiedzią zawsze było przytoczenie przykładów rodzin bytujących w jeszcze trudniejszych warunkach.

W wyzwolonym Gdańsku dr. Emilian Sroka od 10.10.1945 r. do 31.10.1948 r. pracował w Zjednoczeniu Stoczni Polskich, jako kierownik Wydziału Kontroli i przewodniczący Rady Zakładowej. Z dniem 1.11.1948 r., jako pierwszy w historii Politechniki Gdańskiej objął on nowo utworzone stanowisko dyrektora administracyjnego i jednocześnie do 31.08.1955 r. kierował sekretariatem Wyższej Szkoły Inżynierskiej. Pełnił także funkcje z wyboru w Związku Nauczycielstwa Polskiego i był ławnikiem Sądu Wojewódzkiego.

Działalność zawodowa i społeczna dr. Emiliana Sroki była wysoce ceniona przez władze akademickie, czego dowodem było m.in. wystąpienie ówczesnego rektora prof. Pawła Szulkina z dnia 10.06.1950 r. do Ministra Szkół Wyższych i Nauki z wnioskiem o przeszerogowanie awansowe. Niestety, był to okres rosnącego terrorku stalinowskiego. Wśród jego ofiar znalazł się także dr. Emilian Sroka, ponieważ odmówił funkcjonariuszowi PZPR zwolnienia z pracy w Politechnice Gdańskiej około 50 osób z racji ich tzw. "odchylek prawicowych". Skutkiem tego, zamiast awansu, była decyzja ministra o degradacji do stanowiska radcy z dniem 1.09.1950 r., od kiedy pełnił stanowisko kierownika Oddziału Kontroli, a następnie kierownika Działu Planowania.

Kwalifikacje zawodowe i oddane zaangażowanie się w działania na rzecz dobra Politechniki Gdańskiej sprawiły, że do czasu przejścia na emeryturę z końcem 1970 r. pełnił on także funkcję zastępcy dyrektora administracyjnego.

W okresie emerytalnym nadal pozostał zawodowo aktywny, będąc zatrudnionym w wymiarze 1/2 etatu w Dziale Głównego Inżyniera ds. Aparatury, do dnia 31.08.1978 r. Wówczas nastąpiło rozwiązanie umowy z powodu choroby, a ta była skutkiem wypadku drogowego na przejściu dla pieszych przy Politechnice Gdańskiej. Choć sprawca wypadku był znany, to mimo licznych interwencji kierowanych do milicji i prokuratury nie został pociągnięty do odpowiedzialności, a poszkodowanemu nie udzielono rekompensat i pomocy urzędowej.

Pomocy tej nie szczędzili dr. Emilianowi Sroce współpracownicy i władze uczelni. Stan zdrowia jego i małżonki, oraz warunki mieszkaniowe spowodowały przeprowadzenie się do siostry żony w Skoczowie, gdzie wkrótce zmarł (17.11.1983 r.). Został tam pochowany, jako brat III Zakonu Św. Franciszka, z udziałem kilkunastoosobowej delegacji z Politechniki Gdańskiej.

W nekrologu podpisanym przez rektora, Senat i dyrektora administracyjnego podkreślono, iż zmarły, poza najwyższymi



Dr E. Sroka i autor

kwalifikacjami zawodowymi, odznaczał się nieprzeciętnymi walorami osobistymi, wysoką kulturą, czym pozyskał najwyższy szacunek i zaufanie przełożonych i pracowników. O tym, że tak było, świadczy fakt zorganizowania przez władze uczelni w 1972 roku uroczystości 50-lecia pożycia małżeńskiego państwa Sroków. Dr. Emiliana Srokę wielokrotnie honorowano nagrodami i wyróżnieniami uczelnianymi. Niestety, z brakiem akceptacji spotkał się wniosek z 1976 r. o przyznanie mu

Kawalerskiego Krzyża Zasługi - pamiętano odmowę podjęcia walki z "prawicowymi odchyleniami". Jedyne w czasie "odnowy październikowej" w 1956 r. udało się przeforsować wniosek o przyznanie Srebrnego Krzyża Zasługi, jaki otrzymał już w okresie II Rzeczypospolitej.

*Tadeusz Markowski
Administracja Centralna*



W gabinecie prof. Tomasza Biernackiego, 1971 r.; 50-lecie związku małżeńskiego Ludmiły i Emiliana Sroków

Wspomnienie o Moim Ojcu, Emilianie SROCE

Ojciec mój, Emilian Sroka, syn Andrzeja i Justyny z domu Kurek, urodził się dnia 11 października 1896 roku w Dąbrowie koło Karwiny na Śląsku Zaolziańskim. Był jedynakiem. Ród nasz wywodzi się najprawdopodobniej z okolic Sierszy i Trzebini. W połowie XIX wieku mój pradziadek, Jan Sroka, przybył z tamtych właśnie stron w poszukiwaniu pracy na Zaolzie. Osiadł w Dąbrowie, gdzie znalazł zatrudnienie w którejś z tamtejszych kopalni węgla kamiennego. Pracę w tejże kopalni podjęło następnie kilka dalszych pokoleń rodu Sroków. Mój ojciec pracował tam - jeśli dobrze pamiętam - w latach 1913-1914.

Emilian Sroka pochodził zatem z rodziny górniczej. Jego ojciec, Andrzej Sroka, był cenionym cieślą kopalnianym. Niestety, nie umiem powiedzieć, w której kopalni Zaolzia pracował mój dziadek, a przez dwa lata (po zdaniu matury) także mój ojciec.

Maturę ojciec zdobywał w słynnym gimnazjum klasycznym w Orłowej na Zaolziu. Po przepracowaniu kilku lat w górnictwie, podjął następnie studia prawnicze, zdaje mi się, że na Uniwersytecie Wiedeńskim, bo tam jeździł później z Bratysławy na jakieś egzaminy. Tytuł doktora uzyskał - o ile mi wiadomo - w 1923 roku.

W radosnych dla Polski dniach odzyskania niepodległości, a więc w październiku i listopadzie 1918 roku, ojciec jako student przebywał w Krakowie, gdzie wraz z grupą kolegów rozbrajał żołnierzy niemieckich i austriackich. Gdy wybuchła wojna polsko-bolszewicka 1919-20 roku, zgłosił się na ochot-

nika do wojska. Ponieważ jednak był zaolziańcem, a Zaolzie było zagrożone w tym czasie ze strony Czech, przeto kazano mu bronić ojczystej ziemi. Przez kilka miesięcy, jako żołnierz polskich oddziałów paramilitarnych, brał więc udział w walkach z regularną armią czeską. Niestety, po pewnym czasie armia ta została zastąpiona przez wojska rozjemcze armii zachodnich, z którymi nie wypadało Polakom walczyć. W ten sposób, na mocy decyzji Traktatu Wersalskiego, Zaolzie przypadło w udziale Czechom.

Po wojnie ojciec powrócił na Zaolzie, pomimo że odpadło ono od Polski. Jednocześnie studiując, podejmuje pracę w Urzędzie Gminnym w Karwinie. Tam poznaje swoją przyszłą żonę, Ludmiłę Fober, urzędniczkę tegoż Urzędu Gminnego. Była ona rodowitą Cieszyńską, córką dyrektora szkoły. Ich ślub odbył się dnia 21 września 1921 roku - o ile się nie mylę - w Cieszynie... Emilian i Ludmiła Srokowie mieli dwóch synów; obydwoj urodzeni w Bratysławie. W 1930 roku przyszedł na świat Bolesław, późniejszy długoletni pracownik techniczny Stoczni Remontowej w Gdańsku, w roku 1936 urodził się młodszy syn Bronisław, piszący te słowa obecny kapłan zakonny.

Zaraz po ślubie ojciec mój, wraz z małżonką, został oddelegowany przez Rząd Rzeczypospolitej Polskiej do służby dyplomatycznej. W ten sposób stał się pracownikiem Konsulatu Polskiego w Bratysławie. Pozostał na tym stanowisku aż do wybuchu II wojny światowej. Pełnił różne funkcje: był - o ile mi wiadomo - attaché kulturalnym, a także wydawcą gazety

polskojęzycznej i redaktorem audycji radiowych w języku polskim.

Wybuch wojny zastał naszą rodzinę na urlopie w Polsce. Jeszcze w czasie trwania działań wojennych we wrześniu 1939 roku ojciec otrzymał polecenie od władz Rzeczypospolitej, by przeniósł się do Budapesztu i tam zorganizował pracę polskich kół emigracyjnych.

W Budapeszcie znaleźliśmy się - po doświadczeniu różnych niedogodności i tarapatów wojennych - w październiku 1939 roku. Węgry przyjęły nas bardzo serdecznie i gościnnie. Rodzice bez trudu znaleźli mieszkanie w centrum miasta. Ojciec, zgodnie z zaleceniem władz polskich, rozpoczął pracę organizacyjną wśród uchodźstwa polskiego na Węgrzech.

By zilustrować atmosferę tamtych lat, ową serdeczną życzliwość i współczucie, którymi w dniach wojny obdarzali nas Węgry, niech mi wolno będzie podzielić się pewnym przeżyciem, którego doznałem całkiem niedawno temu.

*

Było to latem 1996 roku, a więc w ponad 50 lat po wojnie. Miałem wtedy okazję spędzić kilka dni w Budapeszcie. Chcąc odprawić mszę świętą, poszedłem do tak zwanego "kościółka skalnego" ojców paulinów nad Dunajem. To miejsce znane jest doskonale wszystkim Polakom, którzy lata emigracji spędzili na Węgrzech. Jest to ten właśnie klasztor, z którego ksiądz Władysław Opolczyk sprowadził w 1382 roku pierwszych paulinów do Częstochowy. Z miejscem tym łączą mnie liczne wspomnienia z czasów wojny.

Kościół ten, utworzony z dość głębokiej grotty skalnej, węgierscy ojcowie paulini udostępniłi w owych trudnych latach uchodźcom wojennym z Polski. Było to jedno z tych kilku miejsc na terenie Budapesztu, gdzie w latach wojny Polacy mogli się gromadzić każdej niedzieli na swojej mszy świętej, odprawianej przez polskiego duszpasterza. Do dziś pozostały w grocie polskie pamiątki z owych wojennych lat. Pozostał przede wszystkim charakterystyczny obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, który mimo upływu dziesiątków lat natychmiast rozpoznałem, bo przecież i ja tu wtedy przychodziłem z rodzicami na te nasze "polskie" msze święte.

Wszedłszy do zakrystii skalnego kościoła zastałem tam bardzo już podeszłego w latach ojca paulina. Poprosiłem go w jego ojczystym języku, który znałem jeszcze z lat emigracji, o możliwość odprawienia mszy świętej. Gdy się dowiedział, że jestem Polakiem, wzruszył się serdecznie i zaczął wspominać:

- Pamiętam tamto pierwsze wojenne, smutne Boże Narodzenie. Tego nie można zapomnieć! W pamięci utkwiła mi zwłaszcza wasza polska pasterka, w której uczestniczyli także Węgry. Pomimo że ksiądz (był to, zdaje się, Ojciec Witosławski, franciszkanin, charyzmatyczny duszpasterz polonijny, w 1944 roku zamordowany przez Niemców) mówił kazanie po polsku, my też go prawie rozumieliśmy, bo mówił tak płomiennie. Płakali wszyscy - zarówno Węgry, jak i Polacy. Największe jednak wzruszenie wzbudziły dwie wasze pieśni, śpiewane pod sam koniec mszy świętej. Pod ich wpływem szlochał cały kościół... Jedną z tych pieśni miałem później możliwość usłyszeć jeszcze wielokrotnie. Polacy śpiewali ją do końca wojny na zakończenie każdej swojej mszy świętej. I zawsze byli wzruszeni. Bardzo bym chciał jeszcze choćby raz ją usłyszeć".

Nietrudno było mi odgadnąć, co to była za pieśń, którą uchodźcy polscy śpiewali do końca wojny na każdej swojej mszy świętej. Spełniłem zatem życzenie starego paulina i zanuciłem mu: "Boże, coś Polskę przez tak liczne wieki..."

Rozpoznał ją od razu. Rozrzewnił się - i sam próbował nucić wraz ze mną. Po chwili poprosił jednak, bym spróbował wpaść

także na tę drugą pieśń, która według jego relacji wywołała wśród Polaków zgromadzonych na swej pierwszej, emigracyjnej pasterce tak głębokie wzruszenie, że nie byli w stanie dośpiewać jej do końca. Odgadłem bez trudu i zanuciłem mu ją. Nie mogło to przecież być nic innego, jak tylko ostatnia zwrotka najbardziej znanej polskiej kolędy, którą do dziś śpiewa się obowiązkowo na każdej pasterce. Zwrotka ta zaczyna się od słów: "Podnieś rączkę, Boże Dziecię, błogosław Ojczyznę miłą..."

Rozpromieniony Węgier potwierdził, że to właśnie ta charakterystyczna, uroczysta melodia, którą tylekroć słyszał na polskich mszach świętych w okresie Bożego Narodzenia, ale jednocześnie wyraził zdziwienie, że tak szybko na to wpadłem. A ja wpadłem na to na podstawie relacji mego ojca, który wraz z całą rodziną (a więc i ze mną 4-letnim wówczas brzdącem) obecny był w grocie podczas tamtej niezapomnianej pasterki. Zapamiętał ją, jak widać, dokładnie i ze szczegółami, skoro już u schyłku swego życia, na jednej z ostatnich spędzonych w gronie rodzinnym wigilii przyznał, że nie może bez wzruszenia śpiewać kolędy "Bóg się rodzi", a zwłaszcza jej ostatniej zwrotki, bo mu się przypomina pewna pasterka, na której właśnie śpiewano tę kolędę. Śpiewano... ale nie dośpiewano do końca, bo "coś chwytalo ludzi za gardło".

Czy można mieć za złe polskim wychodźcom wojennym, że wtedy, 25 grudnia 1939 roku mieli kłopoty z dośpiewaniem do końca pewnej kolędy, która im tak żywo przypominała to wszystko, co na skutek zawieruchy wojennej musieli porzucić: "...Ojczyznę miłą, dom i majątność całą ... i polskie wioski z miastami ..." Cdn.

Ksiądz Bronisław Sroka SJ

Czarlina '98

Leżę sobie nad jeziorem
O nazwie Jelenie,
Wszystko biegnie swoim torem
Na przyrody scenie.

W górze płyną zwiewne chmury,
W dole szemrze woda.
Obok ciała prażą skóry,
Małe krzyczą: "Loda!"

Jakiś młodzian nastolatkę
Obietnicą łowi:
"Może chciałabyś na tańce
Pójść do Wąglkowic?"

Jakieś ciało na leżaku
Drugiemu się chwali:
"Moja córka na kajaku,
Syn z deską na fali..."

Jenne mówi sąsiadowi
Coś tam o swej pracy:
"Wiesz, nasz rektor, to nie powiem,
Chłop jest jak się patrzy..."

Za mną las kaszubski szumi
Dobrze znany temat...
Tylko czemu, moja Pani,
Ciebie tutaj nie ma?

*Stefan Zabieglik
Wydział Zarządzania i Ekonomii*

ROZSTANIE ZAUWAŻALNE

Adam Pawlak już nie napisze...

Dawna Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Gdańsku, ta, która poprzedziła istnienie Uniwersytetu Gdańskiego, odeszła w niepamięć. Niewiele osób dziś wie, skąd się wzięli wykładowcy średniego i starszego pokolenia na wydziałach humanistycznych i ścisłych UG. Adam Pawlak powracał jakby mimo woli do swej studenckiej przeszłości. "Żak", którego był częścią w latach 60., rada okręgowa ZSP, spotkania i dyskusje w akademiku w Brzeźnie... Świat tamtych lat. Nieodległy, a daleki, dzisiaj nie na topie, przegrany, wyciszony, wyszarżały. Bo i czym się tu chwalić. Prawością, rzetelnie skończonymi studiami bez odsiadki "po kilka lat w tej samej klasie", działalnością ideową nie dającą profitów ani "rządu dusz", naiwną młodzieńczą wiarą, że świat można zmienić... Udział w pokoleniu straconych złudzeń pewnie skłonił Adama do miłości ku... filozofii.

Adam Pawlak studiował i skończył fizykę w WSP w Gdańsku. Udzielał się w życiu studenckim aktywnie, namawiając do "bycia" w środowisku. Kręcił się od początku przy Klubie Studentów Wybrzeża "Żak". Bardzo szybko poznał żakowców owianych już wtedy mitem i legendą, ale również dał się wciągnąć Andrzejowi Cybulskiemu, temu od "Pokolenia Katarzyniarzy", w świat mitów i Czerwonej Róży. Do "Żaka"

wtedy chodzili niepokorni, pyskaci i pryszczaci. Adam potrafił wyciszać nastroje, z precyzją ścisłego umysłu przewidywał różne szalone "przygody".

Z fizyką pożegnał się dość szybko, by wniknąć w filozofię, estetykę, historię sztuki. Uczeń prof. Adama Synowieckiego, w myśli filozoficznej przystosował się do siły argumentu i intelektualnej otwartości, tolerancji, choć sam raczej był naturą skrytą, wyciszoną, zamkniętą. Dla przyjaciół jednak i najbliższych otwierał serce.

Artystami Wybrzeża - plastykami - zajął się nieomal naturalnie. Zaglądał do ich pracowni, oglądał wystawy, przygotowywał referaty na sympozja, spotkania, wydawał serię pocztówek z dziełami sztuki i komentarzami. Pisał o rzeźbiarzach, grafikach, malarzach. Znał właściwie każdy trop... Przyglądał się życzliwie mistrzom i ich uczniom. Bywał w Akademii Sztuk Pięknych (dawnej PWSSP) na co dzień, podobnie jak w galeriach. Sam też tworzył galerie, choćby tę na Politechnice Gdańskiej w Klubie, a i tę, która mieściła się w dawnym hotelu "Monopol" na pierwszym piętrze. Na wernisaże chodziło się wśród obskurnych korytarzy, ale w wielkiej sali pre-

zentacji Adam "wystawiał" na światło dzienne dzieła, które wpadały w pamięć. Mówił o działaniach artystycznych kolegów, przyjaciół zawsze z pewną nieśmiałością. Starał się w każdym artystycznym działaniu dojrzeć "iskrę Bożą". Raczej chwalił niż ganił. Stoicyzm natury i myślenia pozwalał mu analizować wnikliwie, syntetycznie. Nie czynił przykrości nikomu. Studentom, których

jako dr filozofii mobilizował do zgłębiania tajemnic estetyki, tłumaczył, że piękno niejedno ma imię i lepiej to wiedzieć niż tylko "podejrzewać". Przyjaciele mówili do Adama - Jurku. To był "znak" zażyłości.

W Stowarzyszeniu Czerwonej Róży podsuwał ciągle nowe pomysły, podobnie jak w Fundacji Rewaloryzacji Zabytków Gdańska. Inicjował wznowienie jednotomowej "Historii Gdańska" Biernata i Cieślaka, pisał w "Autografie" redagowanym przez Andrzeja K. Waśkiewicza o ludziach i ideach, np. zastanawiał się jeszcze tak niedawno, czy sztuka przyjaźnie odnosi się do natury. Planował zjazd "stowarzyszonych" w Czerwonej Róży na jesień tego roku. Obiecywał, że Jesienne Spotkania, które tego roku po raz ostatni odbędą się w siedzibie dawnego klubu "Żak", będą miały specjalny charakter.

Przed rokiem, kiedy "Żak" święcił swe 40-lecie w atmosferze obojętności tzw. współczesnego "kulturalnego" Gdańska, Jurek na

stoliku ustawił kilkanaście zapalonych świec, którymi składał hołd nieobecny przyjacielom. Składał hołd "Pokoleniu Katarzyniarzy"...

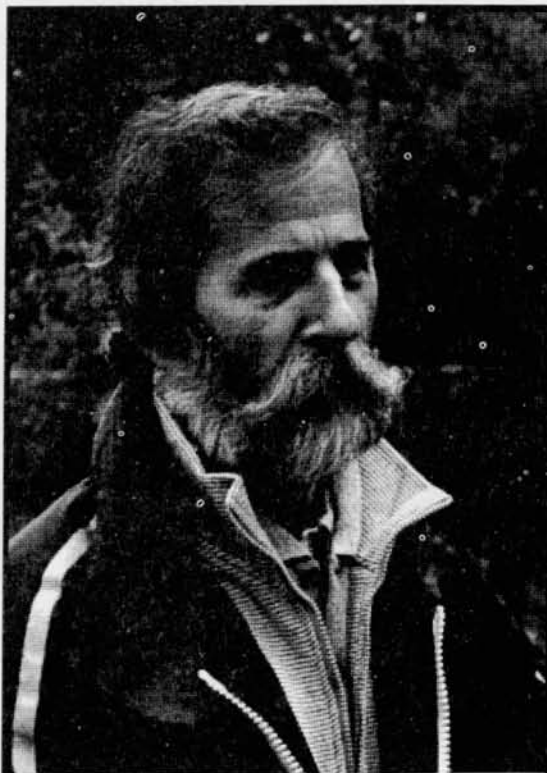
Wymyślił konkurs na najlepszych na uczelniach Trójmiasta, których nagrodził statuetką Czerwonej Róży. Odbędzie się tylko jedna edycja tego konkursu mistrzów nauki. Żegnający Adama Pawlaka żakowcy obiecali, że tej inicjatywy nie zarzucą. Tłum żegnał Jurka na Cmentarzu Łostowickim.

Tłum, który otarł się o jego uczciwość, delikatność, skromność, wrażliwość, pracowitość... Cechy dzisiaj nie w modzie. Ale na szczęście nie dla wszystkich...

Alina Kietrys

Przedruk tekstu z "Głosu Wybrzeża", 15 października 1998 r.

Fot. T. Chmielowiec



Adam Pawlak, organizator spotkania "Stowarzyszenia Czerwonej Róży" 24 czerwca 1998 r. *

* Adam Pawlak zmarł po długiej i ciężkiej chorobie 7 października 1998 r.

Ocena finansowa oferenta

Przez zamówienia publiczne rozumie się zamówienia na roboty budowlane, dostawy oraz wykonywanie usług, opłacane ze środków publicznych w całości lub w części. W takich sytuacjach mamy obowiązek uzyskania od każdego dostawcy lub wykonawcy m.in. oświadczenia, że znajduje się on w sytuacji finansowej zapewniającej wykonanie zamówienia oraz posiada m.in. potencjał ekonomiczny do wykonania zamówienia. Przy wartości zamówienia poniżej 30 000 ECU możemy żądać potwierdzenia takiego oświadczenia, natomiast przy zamówieniu o wartości powyżej tej kwoty **mamy obowiązek** uzyskania potwierdzenia spełnienia tych warunków.

Ocena sytuacji ekonomicznej oferenta ograniczona jest przepisami mówiącymi o możliwości żądania od dostawców i wykonawców ograniczonej ilości i rodzaju danych. W krańcowym przypadku żądanie dokumentów zbędnych dla danego postępowania może być poczytane za podyktowane chęcią np. przeprowadzenia niczym nie uzasadnionego wywiadu gospodarczego w sposób sprzeczny z zasadami uczciwej konkurencji.

Niejednokrotnie w specyfikacji istotnych warunków zamówienia można zauważyć, że zgodnie z wymogiem art. 22 ust. 3 i 4 Ustawy wzywa się oferentów do złożenia oświadczenia, że dysponują oni niezbędnym potencjałem ekonomicznym i że znajdują się w sytuacji finansowej zapewniającej wykonanie zamówienia. Złożenie przez oferentów takiego oświadczenia może spowodować chęć sprawdzenia wiarygodności tego oświadczenia przez zamawiającego. (Na dobrą sprawę powinien być to obowiązek zamawiającego, aby nie naraził własnej firmy na przykre konsekwencje zawarcia umowy z niewygodnym partnerem).

Można symulacyjnie zaaranżować w związku z tym dwie sytuacje:

1. Zamawiający sprawdza oświadczenie i stwierdza, że **oferent znajduje się w złej sytuacji finansowej**, co bez zaliczki nie pozwoli na realizację umowy. W związku z tym zamierza odrzucić ofertę, ale nie ma w zasadzie podstaw, gdyż poza żądaniem oświadczenia nie określił w specyfikacji, że w takiej sytuacji odrzuci ofertę, a warunków zamówienia po otwarciu ofert w przetargu nieograniczonym nie może zmienić.
2. Zamawiający sprawdza oświadczenie i stwierdza, że **sytuacja finansowa oferenta jest prawidłowa** i chciałby (w odróżnieniu od innych oferentów o gorszej kondycji) preferować korzystną dla siebie sytuację. Nie może tego jednak uczynić, bo nie ujął w specyfikacji stosownego kryterium oceny sytuacji finansowej oferentów. Niejednokrotnie z tego powodu wybierze ofertę firmy o słabszej kondycji finansowej, proponującej niską cenę (ale o dużym ryzyku gospodarczym).

W większości specyfikacji spotkać się można z żądaniem złożenia oświadczeń wymaganych przepisem art. 22 ust. 3 i 4 ustawy (z żądaniem złożenia sprawozdań F-01, bilansów z roku ubiegłego itp.) bez określenia kryteriów oceny sytuacji finansowej oraz potencjału ekonomicznego oferenta na podstawie tych dokumentów.

Takie zachowanie zamawiającego wynika przede wszystkim ze złożoności sposobu dokonywania oceny kondycji finansowej firmy. Niejednokrotnie nie zysk lub strata na końcu pewnego umownego okresu są ilustracją kondycji finansowej. Również poziom aktywów małej firmy będzie zdecydowanie niższy od poziomu zgłoszonego przez konsorcjum firm, czy

przez firmę reprezentującą koncern; nic z tego jednak nie wynika. Nie oznacza to bowiem wcale, że firma o niskim poziomie aktywów (w konfrontacji z potentatem) będzie obciążona większym ryzykiem gospodarczym przy zawieraniu kontraktu.

Skoro wartości bezwzględne z dokumentacji zawierającej informacje finansowe uniemożliwiają ocenę relacji między oferentami, to jaki jest na to sposób?

Jedyny ratunek jest w obliczaniu wskaźników, gdzie wartości podawane są we wzajemnej do siebie relacji, a relacje te dają wartości porównywalne. Potrzeba od tego umiejętności interpretacji uzyskanego wyniku. Nie tylko ważne jest, o ile wartość np. kształtuje się poniżej 1, ale co to oznacza, że wartość ta jest niższa np. o 20 %, a nie o 10 %.

Procedurę oceny zdolności finansowej dostawców (wykonawców) zamawiający winien wypracować we własnym zakresie.

Ocena zdolności finansowej ma na celu nie tylko stwierdzenie czy oferenci dysponują własnymi środkami finansowymi (zdolnościami kredytowymi) pozwalającymi na sprawne i terminowe wykonanie zamówienia publicznego. Analiza finansowa powinna pozwolić ocenić możliwości zapewnienia ciągłości realizacji zamówienia. **Szczególnie jest to istotne przy dostawach sukcesywnych.**

Dla wykonania analizy finansowej trzeba wiedzieć, że bilans wyodrębnia aktywa, kapitał własny oraz zobowiązania (kapitał obcy). W ramach aktywów wyodrębnia się aktywa trwałe i aktywa bieżące. Aktywa trwałe obejmują elementy majątku użytkowane w okresie dłuższym niż okres sprawozdawczy. Decydują one o możliwościach wytwórczych firmy oraz o potencjalnej strategii działań. Aktywa trwałe obejmują: wartości niematerialne i prawne, rzeczowy majątek trwały, finansowy majątek trwały oraz należności długoterminowe.

Aktywa bieżące obejmują zapasy, należności i roszczenia, papiery wartościowe przeznaczone do obrotu i środki pieniężne. Źródłami finansowania aktywów są pasywa. Pasywa obejmują kapitały własne i kapitały obce; te pojęcia też wymagają ścisłego zdefiniowania i właściwego operowania nimi podczas prowadzonej analizy. Do niej służą właściwe informacje zawarte w bilansie i rachunku wyników. Dokumenty jakich zamawiający może żądać od dostawcy lub wykonawcy w celu spełnienia warunków, o których mowa w art. 22 ust. 2 Ustawy o zamówieniach publicznych wymienione są w rozporządzeniu Rady Ministrów z dnia 6 stycznia 1998 r. (Dz.U. Nr 19/98 poz. 87).

Analiza wskaźnikowa jest popularnym narzędziem analizy finansowej. Obszary tej analizy obejmują:

- płynność finansową,
- sprawność działania,
- zadłużenia,
- zyskowność,
- rynek kapitałowy.

Do podstawowych wskaźników płynności finansowej zaliczamy wskaźnik bieżącej płynności finansowej, który stanowi stosunek aktywów bieżących do pasywów bieżących. Aktywa bieżące, to suma: zapasów, należności, środków pieniężnych, wartości krótkoterminowych papierów wartościowych. Pasywa bieżące, to suma zobowiązań krótkoterminowych oraz funduszy specjalnych.

Wskaźnik płynności bieżącej informuje, ile razy bieżące aktywa pokrywają bieżące pasywa, czyli zobowiązania, których okres wymagalności jest krótszy niż jeden rok.

Zadawalający poziom tego wskaźnika kształtuje się w granicach 1,5-2,0. Wiedząc o tym, ustalamy w specyfikacji istotnych warunków zamówienia punktację o wadze np. 10 pkt. za ten wskaźnik i otrzymują taką liczbę punktów ofert, których wskaźnik płynności bieżącej mieści się w przedziale 1,5-2,0, natomiast za każde 0,1 wartości powyżej i poniżej tego przedziału przyznaje się o 1 pkt. mniej, przy czym przy wartości 0,5 poniżej tego przedziału przyznaje się 0 pkt. albo wręcz odrzuca się ofertę. Odrzucenie oferty jest drastyczną decyzją, ale może być ona podyktowana niedopuszczalnością zawierania umowy z kontrahentem o niekorzystnej sytuacji finansowej. Wówczas ten **brzegowy warunek winien być podany w ogłoszeniu, aby oferenci mieli możliwość rezygnacji z podejmowania wysiłku budowania oferty**, przy niespełnieniu warunku brzegowego.

W taki sam sposób należy podejść do szeregu innych wskaźników. Ramy niniejszej publikacji uniemożliwiają zaprezentowanie całej złożoności problematyki analizy wskaźnikowej. Jednak bez opanowania tej wiedzy trudno będzie zamawiającemu wyeliminować zaskakujące sytuacje, których przykładem może być sytuacja związana np. z adaptacją kotłowni.

Warto zatem skorzystać z formuły ustalania ryzyka związanego z ocenianą firmą. Praktycy prowadzący obliczenie **wskaźnika ryzyka** zalecają następującą formułę matematyczną:

Ws=3,5	Wskaźnik pokrycia odsetek	+10	Wskaźnik płynności szybkiej	-25,0	Dług aktywa ogółem	+1,3	Liczba lat funkcjonow- ania firmy
--------	---------------------------------	-----	-----------------------------------	-------	--------------------------	------	---

Można przyjąć, że wskaźnik poniżej 30 pkt. świadczy o wysokim ryzyku, 30-40 pkt. - przeciętny poziom ryzyka, a powyżej 40 punktów - niski poziom ryzyka.

Wskaźnik pokrycia odsetek liczymy wg wzoru:

$$\frac{\text{zysk} + \text{odsetki naliczone i zapłacone}}{\text{odsetki naliczone i zapłacone}}$$

Wskaźnik płynności szybkiej liczymy wg. wzoru:

$$\frac{\text{aktywa szybkie (aktywa bieżące - zapasy)}}{\text{pasywa bieżące}}$$

Udział długu w aktywach jest syntezą podstaw finansowych firmy.

Poza oceną finansową, miarą zdolności do realizacji zamówienia jest **wiarygodność firmy**. Często chcemy ją mierzyć subiektywnie, za pomocą referencji firm zaprzyjaźnionych z oferentem. Wiarygodność jednak prawidłowo ocenia się możliwościami techniczno-technologicznymi i kadrowymi, jakością i terminowością oraz stopniem integracji z rynkiem i stanem zorganizowania wewnętrznego. Ocena ta stanowi odrębny problem z tej racji, że obejmuje wiele nowych zagadnień, którym trzeba byłoby poświęcić kolejną publikację.

Ryszard Burchard

Główny specjalista ds. zamówień publicznych PG

Zieleń w Gdańsku

Poniższy temat był referowany w imieniu Ligi Ochrony Przyrody - Zarządu Wojewódzkiego. Organizacja ta prowadzi działania związane z ochroną przyrody (w tym także obszarów zieleni w miastach). Przedstawione poniżej wystąpienie powstało po konsultacjach z innymi organizacjami proekologicznymi zaangażowanymi w ochronę gdańskich terenów zielonych: PTTK, "Stowarzyszeniem Ochrony Dziedzictwa Starej Oliwy", "Stowarzyszeniem Przyjaciół Parku Oruńskiego", "Wrzeszczańskimi Komitetami Obywatelskimi" oraz "Obywatelską Ligą Ekologiczną" i "Polskim Klubem Ekologicznym". Spotkanie tych organizacji z przedstawicielami komitetów wyborczych odbyło się 1 października br. w Białej Sali Ratusza Głównomiejskiego.

Dane statystyczne wskazują, że na jednego mieszkańca naszego miasta przypada około 5-7 m² terenów zielonych: trawników, zieleni parkowej oraz terenów leśnych (lasy komunalne będące w gestii Zarządu Zieleni Miejskiej). Dla dzielnicy Dolny Wrzeszcz wskaźnik ten wynosi tylko 3 m². Zieleni brakuje także na nowo powstałych osiedlach, np. na Chełmie. Tymczasem średnia krajowa wynosi prawie 12 m² takich terenów przypadających na jednego mieszkańca.

Uważamy, że zieleń nie jest dodatkiem do miasta, lecz jego integracyjną częścią, która pełni niezwykle ważną rolę. Jest źródłem tlenu, pochłania opady szkodliwych pyłów i gazów, obniża poziom hałasu komunikacyjnego, wpływa na estetykę otoczenia. Dlatego w miarę zwiększania się natężenia ruchu drogowego konieczny jest wzrost powierzchni terenów zielonych. Niestety, obserwujemy zjawisko wręcz odwrotne. Wiele trawników zamieniono nielegalnie na parkingi, a w trakcie imprez okolicznościowych, jak np. Jarmarku Dominikańskiego, świadomej dewastacji ulegają zieleńce oraz trawniki, i to na oczach straży miejskiej.

Niewykorzystany jest kompleks Lasów Oliwskich, które należą do Trójmiejskiego Parku Krajobrazowego i położone są w granicach Gdańska. Jest to wspaniałe, dotąd niewykorzystane miejsce do rekreacji oraz teren dla uprawiania sportu i turystyki. Liga proponowała utworzenie w Parku, konkretnie w Dolinie Radości, stacji edukacji przyrodniczo-leśnej. Brak akceptacji ze strony Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Gdańsku spowodował, że nie powstała placówka tak bardzo potrzebna społeczeństwu Gdańska.

Niepokoї nas zabudowa otuliny Trójmiejskiego Parku Krajobrazowego: na samej jego granicy zlokalizowano sieć hipermarketów, których obecność będzie miała niewątpliwie negatywny wpływ na przyrodę tego cennego, chronionego obszaru.

Do tej pory nie rozwiązano sprawy działek w Dolinie Radości, choć problem zaistniał już w 1975 r. W roku ubiegłym część Doliny sprywatyzowano z naruszeniem szeregu ustaw w dziedzinie ochrony przyrody, prawa wodnego itp. W następstwie niefortunnej prywatyzacji nowo nabyty teren został zdewastowany, zamknięto fragment szlaku turystycznego. W maju, w trakcie obrad "okrągłego stołu", zwołanego przez wicemarszałka Sejmu, pana Donalda Tuska, z udziałem lokalnych władz: wojewody oraz prezydenta miasta, padła propozycja przekazania Doliny Radości całemu społeczeństwu Trójmiasta; warto w tym miejscu zadać pytanie - co do tej pory zrobiono?

Inny problem ujawnił się w Dolinie Potoku Oruńskiego; w otulinie przepięknego parku powstała zabudowa. Został przy tym bezpowrotnie zniszczony niepowtarzalny krajobraz Doliny, a także stanowisko niezwykle rzadkich na Pomorzu roślin. Sprawa ta ciągnie się od wielu lat i nie została dotąd rozwiązana we właściwy sposób - z korzyścią dla mieszkańców Gdańska.

Kolejną bulwersującą sprawą jest konflikt wokół tzw. "Wyspy Piecewskiej". Mimo protestów mieszkańców wydane zostały decyzje, które nie są zgodne z planem zagospodarowania przestrzennego. Plan ten nie dopuszcza w tym rejonie budowy tak wielkiego obiektu - hipermarketu. Konieczna jest jak najszybsza zmiana tego planu, tak aby "Wyspa" w jak największej części mogła stać się ostoją zadbanej zieleni w centrum betonowego blokowiska Piecek. Do tego jednak potrzebna będzie wola nowej Rady Miasta i dostrzeżenie przez nią wartości ochrony terenów zielonych, często wbrew interesom grup nacisku.

Pytania do przedstawicieli komitetów wyborczych:

1. Czy opowiadają się Państwo za podjęciem zdecydowanych kroków dla zabezpieczenia istniejących zieleńców, skwerów i trawników przed inwazją motoryzacji i imprez masowych, a jeśli tak, to przy użyciu jakich metod?

2. Dlaczego nie została zrealizowana uchwała nr 27/301/95, dotycząca Parku Oruńskiego?

3. Czy problem Doliny Radości i Doliny Potoku Oruńskiego można rozwiązać w kategoriach społecznych, zgodnie z istniejącym prawem?

Przebieg spotkania, wnioski, refleksje

Na zadawane pytania odpowiadali kolejno przedstawiciele komitetów wyborczych reprezentujących poszczególne ugrupowania polityczne, m.in. Rodzinę Polską, Chrześcijańską Demokrację III RP, AWS, UW i SLD. Wszyscy zgodzili się ze stwierdzeniem, że zagadnienia ochrony środowiska nie mogą być pomijane w planach rozwoju Gdańska.

Dyskutowanym problemem była sprawa nieszczęsnej, zdevastowanej Doliny Radości - przyrodniczej perły na mapie Gdańska. Obecni na sali przedstawiciele byli zgodni, że w trakcie prywatyzacji dawnego terenu Instytutu Rybactwa Śródlądowego w Olsztynie działano z naruszeniem prawa. Uznano, że celowe jest udostępnienie tego fragmentu Trójmiejskiego Parku Krajobrazowego ogółowi mieszkańców, jako terenu rekreacyjno-turystycznego; w tym celu miasto powinno wykupić cały teren Doliny. Odpowiadające osoby nie próbowały jednak poszczególnych zagadnień omawiać w ujęciu systemowym (nie mogą być one oderwane od całości i mają wzajemne uwarunkowania). Wynikało to z odpowiedzi na powyższe pytania oraz inne, postawione przez kolejnych referentów. W wypowiedziach nikt nie określił np. "pojemności" Gdańska, czyli jak poważnych zmian przestrzennych można dokonać na obecnym obszarze (zabudowa) i jak wielki obszar można przyłączyć do miasta, aby w nowych granicach aglomeracja ta mogła "prawidłowo" funkcjonować (znośne warunki egzystencji dla mieszkańców, m.in. właściwe rozbudowanie infrastruktury usług,



Porzucone zużyte opony - rejon Jeziora Wysockiego ("Czarne Błota")



Nadleśnictwo Kolbudy. Las w rejonie Jeziora Wysockiego. Na statystycznego mieszkańca Gdańska przypada ok. 6 m² zieleni, a ile terenów zaśmieconych?

także w dziedzinie kultury, zapewnienie odpowiedniej przestrzeni na miejsca wypoczynkowe, obecność obiektów sportowych itd.). Taki charakter ma tzw. rozwój zrównoważony, pozwalający na prowadzenie działalności gospodarczej przy uwzględnieniu potrzeb ochrony środowiska. Zwrócono uwagę, że problemy wynikające z funkcjonowania miasta narastają lawinowo, a nie w stosunku proporcjonalnym np. do wzrostu liczby mieszkańców lub powierzchni*. Warto więc postawić pytanie, czy Gdańsk musi ewoluować w kierunku wielkiego, bezwładnego molocha, obciążonego bagażem problemów bardzo trudnych do rozwiązania - tak będzie wyglądał on m.in. wg koncepcji opracowania "Gdańsk 2000" i innych, podobnych. Przed laty grupa specjalistów projektowania przestrzennego zaproponowała rozwiązanie alternatywne - inwestowanie w rozwój innych miast regionu gdańskiego. W trakcie dyskusji wskazywano, że Gdańsk powinien wykorzystać przede wszystkim swoje trzy atuty: morze (rozwój portów i stoczni), obecność wyższych uczelni (**inwestycje w naukę są obecnie najefektywniejsze!**) oraz walory krajobrazowe - Pojezierze Kaszubskie, pobrzeże Bałtyku itp. (rozwój turystyki).

Problem komunikacyjny naszego miasta próbuje się rozwiązać poprzez budowę nowych i modernizację starych dróg. Według przedstawiciela Obywatelskiej Ligi Ekologicznej to utopia: bez ograniczenia wzrostu liczby samochodów w Gdańsku, problemu tego nie uda się rozwiązać, bo zmodernizowane drogi za kilka lat będą równie zatłoczone jak obecnie, a na budowę nowych nie będzie już po prostu miejsca (ostatnio napotkałem informację, że w Japonii każdy mieszkaniec miasta musi mieć swoje miejsce parkingowe - inaczej nie sprzedadzą mu samochodu). Główny nacisk powinien być położony na rozwój komunikacji zbiorowej, jako bardziej efektywnej - pod każdym względem - w przypadku dużego miasta, jakim staje się Gdańsk. Zmniejszenie natężenia ruchu mogłoby nastąpić m.in. poprzez właściwą politykę mieszkaniową - miejsca pracy i zamieszkania powinna dzielić jak najmniejsza odległość (w obecnych warunkach jest to utopia). Pewnym rozwiązaniem, wpływającym na polepszenie komunikacji i sprawdzającym się w warunkach zachodnioeuropejskich (Dania, Holandia), jest rozbudowa sieci ścieżek rowerowych.

Prelegenci wskazywali na szkodliwość lokalizacji hipermarketów, powstałych wzdłuż obwodnicy trójmiejskiej. Właściwe zaopatrzenie w niezbędne produkty powinna zapewnić sieć usług handlowych w samym mieście, na każdym osiedlu (osiedla to nie tylko "wielkie sypialnie"). Budowa handlowych gigantów sprzeczna jest z programem rządowym, popierającym

rozwój małego i średniego biznesu. Badania ankietowe prowadzone rok temu dla TVG, z którymi przypadkowo zetknąłem się, wykazały, że tylko nieco ponad 5 % respondentów zgodziło się, aby miejski fundusz przeznaczyć na rozwój sieci handlowych; ponad 50 % wolałoby, aby przeznaczono go na walkę z przestępczością (na podniesienie bezpieczeństwa społecznego). W tym wypadku opinia mieszkańców nie została wzięta pod uwagę przy sporządzaniu planu budżetowego, następstwem którego jest kierowanie zasobów kasy miejskiej do realizacji najważniejszych zadań, oczekiwanych przez gdańszczan. Prelegenci podkreślili swoistą uległość władz miasta w stosunku do biznesu zagranicznego. Jako przykład wskazano na monopolistę - spółkę Saur Neptun Gdańsk, której produkt - woda - jest ponoć najdroższa na naszym kontynencie, a jednostkowa jej cena nie zależy od ilości zużytej przez ludność (spółka musi "wyjść na swoje"). Podobny zarzut padł w stosunku do budowy wspomnianych hipermarketów; koszty ich budowy to problem zagranicznego inwestora, zaś rozwiązanie reszty problemów związanych z infrastrukturą tych obiektów, to prawie wyłącznie zadanie dla miasta (skąd na to wziąć środki, a jeżeli znajdują się, to jaka inna dziedzina ucierpi na tym?). Nikt ze zgromadzonych nie poparł planu lokalizacji w Gdańsku największej w Europie fabryki polistyrenu. Obecna na spotkaniu przedstawicielka parlamentu p. Ewa Sikorska-Trela zapewniała, że będzie dążyć do unieważnienia ewentualnej transakcji, związanej z tą budową. Negatywnie zaopiniowano także pomysły lokalizacji w starym Gdańsku ogromnego garażowiska, które ma być budowane przez Amerykanów. Problem bezkrytycznego naśladowania Zachodu przez gdańskich decydentów najdosadniej określono w rozmowie prywatnej po zakończeniu oficjalnego zebrania: *chcemy, aby w naszym obejściu zachowano starą zabytkową zabudowę, konserwowano ją, a nie wpuszczano tu kaczoza Donalda (chodzi o bary Mac Donaldsa) i wycinano drzewa, likwidowano zieleńce....*

W podobnym, rzeczowym duchu były utrzymane dyskusje o ochronie zasobów wodnych i powietrza, m.in. rozważano metody i sposoby realizacji oczyszczania Motławy (i Raduni) ze związków ropopochodnych. Ich obecność w wodach to m.in. kolejne następstwo masowej, żywiłowej motoryzacji. Pewna poprawa stanu czystości powietrza nastąpiła dzięki likwidacji małych kotłowni, stosujących zły jakości paliwo (zasiarczony węgiel), oraz zainstalowaniu nowoczesnych pieców, np. na olej opałowy. Obecnie zanieczyszczenia powietrza w Gdańsku pochodzą głównie od ruchu drogowego i "palenisk domowych".



Oaza zieleni - Park Oliwski



Teren prywatny. Wstęp wzbroniony. Rekultywacja stawu. Takie tablice witają turystę poruszającego się czarnym szlakiem Wzgórz Szymbarskich w Dolinie Radości. Brama, o dziwo, jest otwarta?!

W trakcie dyskusji wskazywano też na zjawisko łamania prawa ochrony przyrody przez decydentów, przy realizacji niektórych zadań. Np. przedstawiciel Stowarzyszenia Przyjaciół Parku Oruńskiego opisał dokładnie mechanizm pomijania przez urzędników uchwały Rady Miasta (patrz pytanie 2), dotyczącej zagospodarowania Doliny Potoku Oruńskiego, korzystnej dla ogółu mieszkańców dzielnicy. Określił mianem barbarzyństwa niszczenie zabytkowego parku oraz jego otuliny, kolejnej przyrodniczej perły i zarazem unikatowego obiektu architektonicznego.

Podsumowując, pragnę podkreślić, że wielogodzinna dyskusja przebiegała w przyjaznej atmosferze, nie były widoczne zasadnicze różnice w wypowiedziach przedstawicieli prawie wszystkich ugrupowań (skąd ta jednomyślność?). Do dyskusji o problemach utrzymania i rozbudowy zielonych terenów bardzo dobrze przygotowany był przedstawiciel UW (znał nawet nazwy projektowanych rezerwatów przyrody w Trójmiejskim Parku Krajobrazowym), natomiast bardzo rzeczowe, **krótkie** odpowiedzi oparte na przepisach prawnych z zakresu ochrony przyrody charakteryzowały reprezentantkę polskiej lewicy. Swoistym smaczkiem były wypowiedzi przedstawiciela Ruchu Patriotycznego "Ojczyzna" (prezentującego odmienne poglądy niż inne osoby), piętnujące poprzednie władze, oskarżające je, mówiąc bardzo delikatnie i oględnie, o sprzeniewierzenie się swojemu posłannictwu. W podobnym tonie utrzymana była wypowiedź byłego radnego z Oruni, wytykającego swoim kolegom - ponownie kandydującym, dwulicowość (co innego mówili poprzednio, a co innego dzisiaj). Czy wypowiedź ta podyktowana została zwykłą ludzką zawiścią, czy też były radny chciał ostrzec obecnych na sali przed nieuczciwością niektórych kandydatów, a być może w przyszłości radnych?

Na koniec jeszcze jedna refleksja. Przeglądając otrzymane materiały, znalazłem apel o ratowanie Parku Oruńskiego. Jego autor, pan prof. Jerzy Samp, skrytykował w nim osoby odpowiedzialne, przytaczając biblijną opowieść o rzucaniu perły pomiędzy "nie cieszące się najlepszą reputacją zwierzęta". Identyczne odczucie mam odnośnie do Doliny Radości.

* Zależności te, np. wzrost przestępczości, można opisać raczej funkcjami wykładniczymi lub wielomianami n-tego stopnia - przyp. M.W.

Marcin S. Wilga
Wydział Mechaniczny
(Wszystkie zdjęcia autora)

Przedstawiam Państwu kolejną publikację studenta naszej uczelni napisaną na zajęciach z filozofii - z filozofii współczesnej lub z etyki biznesu. Wydała mi się na tyle interesująca, że warto, aby zapoznało się z nią szersze grono czytelników.

Studentom-czytelnikom - proponuję lekturę tej pracy w ramach utwierdzenia się w przekonaniu, że studia na uczelni technicznej wcale nie muszą "produkować" technokratów dostrzegających w świecie wyłącznie to, co da się zmierzyć, obliczyć, dotknąć. Natomiast czytelnikom - nauczycielom akademickim - lektura artykułu być może podda pomysł takiego doboru materiału wykładowego, konstruowania programów studiów i formy prowadzenia zajęć, aby studenci naszej uczelni naprawdę byli przekonani, że studiują na uniwersytecie technicznym, a humanizacja studiów politechnicznych nie polega tylko na dodawaniu do programu zajęć przedmiotów z filozofii, socjologii czy psychologii.

Ewa Hope Wydział Zarządzania i Ekonomii

Rozwój jako współczesny wyraz zasadniczego wymiaru powołania człowieka w świetle encykliki Jana Pawła II "Sollicitudo rei socialis"

Pismo św. ukazuje w różnych aspektach Boży plan zbawienia, który obejmuje wszystkich ludzi i świat, w którym żyją.

Obecnie ten zamysł Boży dotyczący ludzi określa się coraz powszechniej jako „powołanie Boże”. Powołanie to jest rozumiane bardzo szeroko, obejmuje cały Kościół, a w nim różne formy życia. Bóg stawiając człowiekowi wezwanie zbawcze, apeluje o rozwijanie tego, co dobre w człowieku i w świecie, a więc o autentyczne humanizowanie życia ludzkiego. Człowiek w swoich wysiłkach rozwojowych powinien współdziałać z Bogiem, który ukazuje mu drogi prowadzące do doskonałości oraz wspomaga go w tej drodze.

Świat końca drugiego tysiąclecia naszej ery znajduje się w stanie przyspieszonego rozwoju. Ludzie dążą do zdobycia coraz to nowych wartości i w coraz to szerszym ich zakresie. Niewątpliwie przed ludzkością i każdym człowiekiem roztacza się perspektywa dalszego i coraz doskonalszego rozwoju. Ale istnieją również liczne przeszkody, które rozwój hamują, a niekiedy całkiem go niweczą. Ludzie zafascynowani postępem nie dostrzegają niebezpieczeństwa, jakie on ze sobą niesie. Samo słowo "rozwój" znaczeniowo zbliżone jest do wyrazu "postęp". W ciągu historii człowiek poprzez swoją aktywność dokonywał ciągłego postępu. Ten postęp ujawnia się w różnych dziedzinach życia, a najbardziej na polu nauki i techniki, tam, gdzie osiąga się stan lepszy od stanu poprzedniego, coś co służy poprawie bytowania człowieka.

Papież Jan Paweł II w encyklice "Sollicitudo rei socialis" określa rozwój jako współczesny wyraz zasadniczego wymiaru powołania człowieka. Do rozwoju powołani są wszyscy: kobiety i mężczyźni. Papież mówi o osobistej odpowiedzialności każdego człowieka w ramach życia osobistego i rodzinnego, gospodarczego i politycznego. Angażowanie się w rozwój jest obowiązkiem wszystkich ludzi jako jednostek, społeczeństw i narodów, w tym również Kościołów i wspólnot religijnych. Wszystkie narody mają prawo do własnego pełnego rozwoju na płaszczyźnie ekonomicznej, społecznej, kulturowej z otwarciem się na "rzeczywistość transcendentną". Prawo to jednocześnie jest również obowiązkiem. Autentyczny rozwój zakłada respektowanie wymagań wypływających z porządku prawdy i dobra. Opiera się na właściwej hierarchii wartości, którą Papież Jan Paweł II wyraża w ogólnym sformułowaniu jako "pierwszeństwo etyki przed techniką, osoby przed rzeczą oraz ducha przed materią" (RH 16). Prawdziwy rozwój ma służyć polepszeniu stosunków między poszczególnymi ludźmi i społeczeństwami. Chrześcijanin, który w bliźnim widzi obraz Boga, musi prawdziwy rozwój opierać na miłości Boga i bliźniego (SRS 33). Paweł VI nazywa to "cywilizacją miłości".

Autentyczny rozwój ma również ujawnić się w przyjaznym stosunku człowieka do natury stworzonej przez Boga. Chodzi tu o problem ekologiczny (SRS 34). Człowiek w dążeniu do rozwoju musi pamiętać o tym, że przyroda, której jest częścią, tworzy uporządkowany system, którego nie można bezkarnie

naruszać. Prawdziwy rozwój powinien brać pod uwagę prawa ludzkie osobiste i społeczne, ekonomiczne i polityczne. Każdy człowiek ma prawo do życia, do założenia rodziny, do pracy i sprawiedliwej zapłaty, prawo do wolności religijnej, prawo do udziału w budowaniu społeczeństwa, swobody zrzeszania się, także prawo podejmowania inicjatywy w sprawach ekonomicznych i szereg innych (SRS 15). Rozwój ma być na miarę człowieka. Trzeba zatroszczyć się, aby system wartości szedł w parze z rozwojem (SRS 14). Ten prawdziwy rozwój ma obejmować wszystkie narody świata, ma mieć więc charakter powszechny (SRS 17) i powinien prowadzić ku życiu bardziej ludzkiemu (SRS 24).

"Rozwój jest nowym imieniem pokoju" tak o rozwoju mówi papież Paweł VI w encyklice "Popularum progressio". Jan Paweł II stwierdza, że jeśli "rozwój jest nowym imieniem pokoju", to wojna i wszystko co się z tym słowem łączy jest wrogiem integralnego rozwoju (SRS 10). Czyż zatem nie należy całego nakładu sił i pieniędzy przeznaczonego na przygotowania militarne skierować na cele humanitarne?

Hasło "rozwój nowym imieniem pokoju" jest nakazem chwili, a zarazem wezwaniem do takiego rozwoju, gdzie działalność gospodarcza jest warunkiem trwałego pokoju. Rozwój na płaszczyźnie międzynarodowej nie może jednak przebiegać bez poszanowania tożsamości każdego człowieka i narodu wraz z jego historią i kulturą (SRS 33). Muszą o tym pamiętać zwłaszcza państwa wysoko rozwinięte ekonomicznie i technicznie, zobowiązane do urzeczywistnienia rozwoju w rejonach dotkniętych szczególną nędzą (SRS 32). Rozwój w ścisłym tego słowa znaczeniu oznacza przede wszystkim rozwój osobowy człowieka, a dopiero wtórnie rozwój konkretnej rzeczywistości, w której człowiek żyje. Encyklika "Sollicitudo rei socialis" mówi: "Prawdziwy rozwój człowieka nie może polegać na zwykłym gromadzeniu bogactw i możliwości korzystania w większym stopniu z dóbr i usług, jeśli osiąga się to kosztem niedorozwoju wielkich rzesz." (SRS 9). Będąc obrazem Boga człowiek jest powołany do urzeczywistniania planu Bożego. Jego zadaniem jest najpierw "być", a potem "mieć". Chęć posiadania nie jest złem, staje się nim dopiero przez odwrócenie obiektywnej hierarchii dóbr, co prowadzi do niesprawiedliwych podziałów na świecie (SRS 28).

Nieodzowną częścią rozwoju indywidualnego i społecznego jest praca ludzka. Jan Paweł II w encyklice "Laborem excersens" podkreśla znaczenie pracy, dzięki której człowiek może rozwijać swoją osobowość, służyć bliźniemu i łączyć się ze zbawczym dziełem Chrystusa. Zamiarem Boga jest bowiem, aby każdy człowiek na kuli ziemskiej poprzez budowanie lepszego ludzkiego świata, jednocześnie świadomie przygotował świat do uczestnictwa w tej chwale, w jakiej ma on uczestniczyć. Jak widzimy, prawdziwa natura rozwoju jest bardzo złożona i wielopłaszczyznowa. Dążenie ludzi do takiego rozwoju, który prowadzi do wyzwolenia człowieka i społeczeństw, jest czymś szlachetnym i wartościowym. Rozwój ma służyć czło-

wiekowi odrodzonemu w Chrystusie i prowadzić do pełni życia z Bogiem. Uznając i akceptując postęp należy zastanowić się nad osiągnięciami i porażkami dotychczasowych dążeń do rozwoju.

Według nauki chrześcijańskiej postęp jest realizacją planu Bożego, jest wypełnieniem powołania, jakie człowiek otrzymał od Boga. Życie religijne realizuje się także w zaangażowaniu się w imię Chrystusa w budowę lepszego świata, w tworzenie lepszych warunków życia dla wszystkich ludzi. Jesteśmy pełni podziwu i uznania dla wspaniałych rozwiązań. Niektóre tak weszły w naszą codzienność, że nie wyobrażamy sobie życia bez nich. "Umiejętności techniczne tak dalece postępują, że zmieniają oblicze ziemi i już próbują dokonać podboju przestrzeni pozaziemskiej" (KDK 5). Rozwój techniki przynosi ze sobą wiele korzyści, choć także i zagrożeń. "Rozpowszechnia się powoli typ społeczeństwa przemysłowego, doprowadzając niektóre narody do bogactwa gospodarczego i zmieniając do głębi ustalone od wieków pojęcia i warunki życia społecznego. Nic, co człowiek współczesny osiąga na drodze nauki i techniki, nie może osłabić ducha religijnego. "Chrześcijanie nie sądzą, jakoby dzieła zrodzone przez pomysłowość i sprawność ludzi sprzeciwiały się potędze Boga, a stworzenie rozumne stało się jak gdyby współzawodnikiem stwórcy; przeciwnie, są oni przekonani, że zwycięstwa rodzaju ludzkiego są oznaką wielkości Boga i owocem niewypowiedzianego jego planu" (KDK 34).

Pomimo licznych braków i niedociągnięć można dostrzec wiele pozytywnych zmian we współczesnym świecie. Jedne z nich dotyczą świadomości i przekonań, inne natomiast rzeczywistych zachowań ludzi. Powszechnym zjawiskiem jest docenianie kultury, cywilizacji technicznej, która służy wyzwoleniu człowieka. Każdy naród pragnie zachować swoją tożsamość w drodze do rozwoju. Ludzie uświadamiają sobie wzajemną współzależność i wspólne przeznaczenie (SRS 12). Powoli zaczynają sobie zdawać sprawę, że troska o pokój jest sprawą podstawową i zasadniczą. Rośnie świadomość, że istotnym czynnikiem rozwoju jest tworzenie i poszanowanie dobra wspólnego. Coraz bardziej zdajemy sobie sprawę z tego, że poddani jesteśmy prawom biologicznym, ale i moralnym, których nie możemy bezkarnie przekraczać (SRS 34). Innym znakiem świadczącym pozytywnie o rozwoju jest to, że ludzie zaczynają zdawać sobie sprawę z tego, iż poszczególne elementy natury są ze sobą powiązane w uporządkowany system i nie wolno tego systemu bezmyślnie burzyć. Papież mówi tu o tzw. "trosce ekologicznej" (SRS 26). Ludzie coraz bardziej uświadamiają sobie, że są sprawcami i twórcami kultury. Rośnie w nich poczucie autonomii i równocześnie odpowiedzialności za kulturę. W ten oto sposób wzrasta duchowa i moralna dojrzałość rodzaju ludzkiego. To z kolei jest przyczyną narodzin nowego humanizmu. Człowiek dzisiejszy ma świadomość odpowiedzialności wobec współbraci i historii (KDK 55).

Niestety, poza pozytywnymi, kryją się również negatywne aspekty rozwoju. Dziś bardziej niż kiedykolwiek dostrzegamy, że postęp może przynieść także zagrożenie człowiekowi, całej ludzkości. Rodzą się w związku z tym pytania: dlaczego postęp, który w zasadzie jest dobry, zagraża człowiekowi? Co jest źródłem i przyczyną zagrożenia? Odpowiedzi na te pytania będziemy szukać w encyklice papieskiej "Sollicitudo rei socialis". Papież Jan Paweł II po odbyciu licznych podróży-pielgrzymek do wielu krajów zetknął się tam w szczególny sposób z istniejącą krzywdą i nędzą, które trapią setki miliony ludzi. Wstrząśnięty tym, co zobaczył, zabiera głos w tej sprawie. Kieruje go przede wszystkim do ludzi dobrej woli. Encyklika jest zastosowaniem społecznego nauczania soborowego, zawartego w "Gaudium et spes", do problemu rozwoju (SRS 9). Patrząc na sprawę całościowo, w encyklice stwierdza nierówność podziału dóbr. Następuje bogacenie się jednostek i grup

społecznych, co świadczy o niesprawiedliwości ekonomicznej (SRS 10). W wielu krajach na każdym kroku widzimy opóźnienie w rozwoju, zacofanie i nędzę (SRS 14). Mamy do czynienia z podziałem na Pierwszy, Drugi, Trzeci, a nawet Czwarty Świat. Możemy mówić o bogatej Północy i biednym Południu. Dlatego jedność rodzaju ludzkiego jest zagrożona. Dziś sytuacja świata uległa pod tym względem dalszemu pogorszeniu. Miliony ludzi ogarnia beznadzieja.

Bardziej groźne od niedostatków ekonomicznych są niedostatki kulturowe, społeczne i polityczne. Papież nazywa je plagami i wymienia tu analfabetyzm, trudności w osiągnięciu wyższego wykształcenia, niemożność uczestniczenia w tworzeniu kultury własnego narodu, ucisk ekonomiczny, społeczny, religijny, wszelkie dyskryminacje w tym najbardziej odrażająca - rasową. Następuje uprzedmiotowienie człowieka. Często zdarza się, że całe narody zostają pozbawione swojej podmiotowości, mimo wszelkich deklaracji i zapewnień werbalnych. Następuje ograniczenie inicjatywy gospodarczej u jednostek, a wszystko to w imię rzekomej "równości", co Papież nazywa równaniem w dół. Rodzi się bierność, zależność i podporządkowanie, poczucie beznadziejności, frustracji, skłonność do emigracji, choćby emigracji wewnętrznej (SRS 15). Nieuwzględnienie wymogów etycznych prowadzi do totalitaryzmu, którego skutki ponoszą zawsze najsłabsi.

Istotnym problemem jest istnienie dwóch bloków, które określają się jako Wschód i Zachód. Chociaż dziś ten problem wydaje się odległy, to jednak przeciwstawność bloków pozostaje faktem. Przeciwstawność ideologiczna prowadzi do przeciwstawności militarnej. Chociaż podpisuje się porozumienia dotyczące redukcji i niszczenia broni nuklearnej, to groźba wojny totalnej nie jest w pełni zażegnana. Papież Jan Paweł II mówił z okazji 30. rocznicy Konstytucji "Gaudium et spes", że powinno już być inaczej, kiedy upadł komunizm i zakończyła się zimna wojna. Niestety, musimy i dziś "ubolewać nad absurdalnymi nierównościami w podziale zasobów, pogłębianymi przez wojny między ubogimi, którym świat bogatych dostarcza często śmiercionośnej i niszczycielskiej broni zamiast skutecznej i solidarnej pomocy. Równie ujemne skutki ma tzw. "cywilizacja spożycia", radykalne nienasycenie, rażący materializm, sztuczne potrzeby, konsumizm. Ludzie, ulegając konsumpcyjnym dążeniom, nie potrafią sobie niczego odmówić na rzecz drugiej osoby, nie potrafią ponieść żadnej ofiary i podjąć bezinteresownego wysiłku. To z kolei prowadzi do nudy życiowej i szukania mocnych wrażeń, np. w formie seksualizmu, narkomanii, chuligaństwa. I tak jedni nie posiadają nic i jest ich wielu, a nieliczni natomiast posiadają bardzo wiele. Im więcej ktoś posiada, tym więcej pragnie mieć. W związku z nieprzemysłowym i nieodpowiedzialnym dążeniem społeczeństw do pomnażania dóbr materialnych narodził się problem ekologiczny (SRS 34). Tempo niszczenia środowiska naturalnego jest przerażające. Wody gruntowe są zatrute, giną zwierzęta, umierają drzewa. Wielką, do końca jeszcze nieodgadniętą groźbą dla człowieka są próby atomowe i sieć elektrowni jądrowych. Niemalby problem stanowi też intensywna eksploatacja zasobów naturalnych, które w zaskakującym tempie maleją. Okazuje się więc, że postęp nie tylko przynosi korzyści, ale może także zagrażać człowiekowi. Dzieje się tak zawsze, gdy godność ludzka nie znajduje poszanowania. Źródłem większości zagrożeń jest egoizm, zamykający człowiekowi drogę do współdziałania z innymi dla powszechnego dobra. Papież Jan Paweł II głosi, że rozwój powinien być urzeczywistniany w ramach porządku moralnego i dopóki tak się nie stanie, nie będzie można mówić, że podążamy drogą prawdziwego rozwoju. Idzie tu o humanizację świata i realizację ideałów wynikających z zasad życia chrześcijańskiego.

Krzysztof Mikiciuk

Student Wydziału Oceanotechniki i Okrętownictwa

LISTY DO REDAKCJI

Na prośbę p. doc. dr. inż. Wacława Dziewulskiego publikujemy *in extenso*, przekazaną przez Niego Zespołowi Redakcyjnemu PISMA PG, wypowiedź p. Henryka Gliszewskiego, absolwenta PG, wraz z notą o autorze.

Z kol. H. Gliszewskim studiowaliśmy od 1946 r. w ramach pierwszego rocznika powojennych rozbitków, rozpoczynających normalną naukę od pierwszego roku; wielokrotnie uczestniczyliśmy we wspólnych przygotowaniach do egzaminów w grupie zdeterminowanych technologów. W latach 60. przypadkowo spotkaliśmy się, jako potrąceni przez ówczesną rzeczywistość - w przedsiębiorstwie przemysłu okrętowego i ściśle współpracowaliśmy w nieformalnych strukturach, szukając odpowiedzi na nurtujące nas pytania dotyczące organizacji zespołów ludzkich i wartości etycznych pracy inżynierskiej, za co zostaliśmy zmuszeni do zmiany pracy. Po latach - jako emeryci- znów spotkaliśmy się w grupie inżynierów moralnego niepokoju, by kończyć to, co przez lata naszej aktywności zawodowej było źle widziane.

Wacław Dziewulski
Wydział Mechaniczny

BIZNES I EWANGELIA

Z dużym zainteresowaniem śledzimy publikacje, pojawiające się na łamach "Pisma PG", a zainicjowane artykułem p. Ewy Hope - z Jej tytułowym pytaniem: "Czy tam, gdzie jest biznes, nie może być etyki?" ("Pismo PG" 2/95). Znaczącą przy tym wartość poznawczą znajdujemy w publikacji p. Małgorzaty Józefak pt.: "Etyka w życiu Polaków - polski wymiar etyki" ("Pismo PG" 9/97). Autorka koncentruje swoją uwagę na problemach z pogranicza prawa i moralności. Wprawdzie na pytanie przez siebie postawione: "Czy w ogóle w biznesie można mówić o zasadach etycznych...?" nie odpowiada, to jednak z treści artykułu jasno wynika, że mówić o tym należy. I dobrze się dzieje, że takie stanowisko zajmują nasi przyszli inżynierowie.

Doświadczenie, uświadomione w świetle Ewangelii, uczy, że moralność w warunkach liberalnej demokracji powinna bezwzględnie znajdować się pod ochroną prawa, jeżeli chcemy zachować swą suwerenność. Niestety, niepowodzeniem zakończyły się nasze starania zmierzające do podniesienia, znanej nam z praktyki organizatorskiej, "odpowiedzialności przed Bogiem i ludźmi", do rangi naczelnej zasady konstytucyjnej. Naród polski w referendum konstytucyjnym dnia 25.05.1997 roku ustanowił jednak Konstytucję Rzeczypospolitej Polskiej, opowiadając się za zasadą "odpowiedzialności przed Bogiem lub własnym sumieniem". Jest to zapis budzący zastrzeżenia. W dalszej perspektywie może okazać się niebezpieczny, jeśli w porę nie uwolnimy się od sił wewnętrznie nas zniewalających - uniemożliwiających przywrócenie utraconej, w wyniku II wojny światowej, ciągłości rozwojowej w samoorganizacji społecznej.

Oto czego uczy nas doświadczenie, którym nie mogliśmy podzielić się we właściwym czasie z naszymi Następcami:

1. Istnieje odwieczne prawo naturalne, które w odniesieniu do człowieka brzmi: czyn dobrze, zła unikaj.
2. Istnieje również prawo objawione w Ewangelii, które nakazuje: miłuj bliźniego swego jak siebie samego, co w języku organizacji¹⁾ znaczy: poznawaj i zaspokajaj swoje potrzeby (miłuj siebie samego) na poziomie nieodzownym do poznawania i zaspokajania potrzeb drugiego człowieka (miłuj bliźniego swego) w organizacji wspólnie tworzonej.
3. Istnieje także prawo stanowione, które nie powinno być oderwane ani od prawa naturalnego, ani od prawa objawionego, by w ten sposób mogło skutecznie chronić wartości etyczne warunkujące rozwój.

Nasza kondycja moralna jest niewystarczająca do samoorganizacji społecznej. Pochodzi ona z nieświadomości ścisłych związków zachodzących pomiędzy zasadami Ewangelii i zasadami organizacji w warunkach liberalnej demokracji. Ta niewiedza z kolei to rezultat "miernego zainteresowania Biblią", do czego przyczynił się "Kościół katolicki, od Soboru Trydenckiego (1545-63) - w antyprotestanckim odruchu obronnym - zniechęcający wiernych do samodzielnego czytania Pisma". (Z wywiadu udzielonego Dziennikowi Bałtyckiemu z dnia 24-26.XII.1997 r. przez prof. Annę Świderkową, badaczkę świata hellenistycznego i biblijnego).

Z tej trudnej sytuacji wyjście wydaje się jedno: Koniecznym jest oczyszczenie się z niezawinionego przez nas grzechu zaniedbania. Dokonać tego możemy tylko w Kościele jako wspólnocie wiary, nadziei i miłości - jak uczy Sobór Watykański II: wiary w jednego "Boga z nami" (Mat. 1,23), który jest miłością (z Kor. 4,4 i Kol 1,15) i nadziei na korzyści stąd płynące nie tylko w życiu wiecznym, ale przede wszystkim w organizacji życia doczesnego przez nas tworzonej.

Nasze doświadczenie wspólnotowego przeżywania wiary Chrystusowej w organizacji pochodzi z okresu odbudowy kraju ze zniszczeń II wojny światowej. Nie mogło ono - w warunkach "zniechęcających do czytania Pisma" - zostać przekazane we właściwym czasie naszym Następcom. Powstała w ten sposób luka pokoleniowa da się jednak z powodzeniem usunąć.

Odwrotienia niekorzystnego dla nas biegu spraw możemy dokonać w zespołowym działaniu celowo zaprogramowanym. Inicjatywa należy do studentów zainteresowanych poznaniem ścisłych związków zachodzących pomiędzy zasadami Ewangelii i zasadami organizacji sprzyjającej rozwojowi - jak i zasadami moralnymi obowiązującymi w wykonywaniu zawodu inżyniera europejskiego²⁾.

Celem nadrzędnym, jaki powinien przyświecać naszemu zespołowemu działaniu, byłoby przekonanie się, że:

1. Biznes i Ewangelia w warunkach cywilizacji przemysłowej nie wykluczają się, a wzajemnie wzmacniają się, gdyż "miłość bez pieniędzy to wrota do nędzy" 3) - doświadczenie uczy, że odwrotnie również ta zasada się sprawdza.
2. Tam, gdzie jest biznes, "tam musi być etyka".
3. W biznesie nie tylko trzeba "mówić o zasadach etycznych", ale głównie trzeba je stosować.

A to warto poznać!

1) Organizacja, to taki, "szczególny rodzaj stosunków, przy których części współprzyczyniają się do powodzenia całości, a całości do powodzenia części" - Jan Zieleniewski, "O problemach organizacji", Wiedza Powszechna, Warszawa 1970.

2) Terminarz Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Mechaników Polskich, ISSN 1427-7816, 1998 r.

3) Zespół Redakcyjny pod kierunkiem Juliana Krzyżanowskiego, "Nowa Księga Przysłów i wyrażań przysłowiowych Polskich" - tom II, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1970 r. - hasło: Miłość, poz.29.

P.S. Grupa absolwentów Wydziału Mechanicznego i Budowy Okrętów Politechniki Gdańskiej, zrzeszona w Zespole Ochrony Wartości Etycznych Koła Seniorów SIMP w Gdańsku, zajmuje się problemami moralności w organizacji. Na tle dyskusji powstała niniejsza wypowiedź.

Henryk Gliszewski

Obrazki z zawodowego życia absolwenta (cd.)

Wkrótce po powrocie z Lizbony, bo w maju 1977 roku, wysłano mnie służbowo do ówczesnego Leningradu, a właściwie do Kronsztadu. Stał tam w wojennym porcie Radzieckiej Floty Bałtyckiej okręt częściowo szkolny, a częściowo chyba i przeznaczony do innych zadań. Zbudowany został w Stoczni w Szczecinie i miał dwa duże napędowe silniki "ZGODA-SULZER", na których trzeba było zrobić pewne drobne, ale pracochłonne ulepszenia. Pojechałem tam z jednym monterem z naszej gdańskiej delegatury. Delegacja miała trwać dwa do trzech tygodni. Z jakichś formalnych przyczyn wyjazd nasz się sporo opóźnił, co zaważyło na naszym późniejszym stylu pracy. Wyjeżdżaliśmy pociągiem z Warszawy. Pociąg składał się wyłącznie z wagonów sypialnych z sowiecką obsługą, a do Białegostoku prowadził kilka polskich wagonów i wagon bufetowy. Liczył się ten pociąg jako międzynarodowy, więc bufet był zaopatrzony też międzynarodowo. Oznaczało to, że była w sprzedaży Coca Cola i zachodnie papierosy. W każdym sypialnym wagonie był jeden przedział służbowy, gdzie siedziała konduktorka i miała dla podróżnych wrzątek (kipiatok), aby sobie można było zrobić herbatę. Szklanki też miała.

Po wyjeździe z Warszawy postanowiliśmy pójść do bufetu, aby zaopatrzyć się na długą drogę w kanapki i jakiś napój. Nasze wyjście z przedziału i skierowanie się w kierunku następnych wagonów wywołało gwałtowną reakcję konduktorki, która wybiegła za nami i krzyczała pół po polsku, pół po rosyjsku: "*Gdzie idziecie! Nie łazicie! W kupa siadacie! Idziecie nazad!*" Myśmy się jej odgryzali, że na razie jesteśmy w Polsce i robimy to, co w Polsce wolno, a jej nic do tego. Gnała za nami przez dwa wagony, wrzeszcząc bez przerwy, aż natknęliśmy się na rosyjskiego kierownika pociągu, który babę przyhamował i kazał jej iść na swoje miejsce. Usłuchała i zawróciła, ale bez przekonania, a idąc do swojego wagonu mruczała jeszcze jakieś bluźnierstwa. Kupiliśmy wielką butlę Coca Coli i kanapki, a następnie wróciliśmy na swoje miejsce. Konduktorka odprowadzała nas złym wzrokiem. Często biegała wzdłuż wagonu i liczyła podróżnych w przedziałach, nawet wyjście do toalety było przez nią obserwowane podejrzliwie. Widać przeszkolono ją, że wszędzie trzeba spodziewać się szpiega i sabotażystów.

Minęliśmy tereny polskie i szeroki pas ziemi niczyjej obstawiony zasiekami i zaporami przeciwczołgowymi. W Kuźnicy Białostockiej, a właściwie obok w szczerym polu, pociąg został szczelnie obstawiony wojskiem, a druga ekipa pograniczników ruskich przetrząsnęła wagony, zaglądając we wszystkie możliwe zakamarki i pod wagony. Na granicy zebrano wszystkim paszporty i czekaliśmy na nie z pół godziny, albo i dłużej. Obszar Litwy i Łotwy (ówczesnych republik radzieckich) przejechaliśmy, nie widząc za oknami nic szczególnego. Jeszcze za dnia wjechaliśmy na teren Rosyjskiej Republiki, co rzuciło się w oczy gwałtowną zmianą krajobrazu, wyglądu ludzi i gospodarki. Patrzyliśmy zszokowani. Najpierw był szeroki pas dość młodego lasu, dochodzącego niemal do torów kolejowych. Przez drzewa było widać co jakiś czas duże, ogrodzone polany, na których stały dziesiątki zamaskowanych pojazdów opance-

rzonych, czołgów, armat i wojskowych samochodów. Przy torach pojawiły się rampy tak ustawione, aby każdy z tych pojazdów mógł szybko i łatwo wjechać na kolejowe platformy. Były przy tym odpowiednie rozjazdy torów i wielkie ilości parowozów, też zakonserwowanych i osłoniętych wiatami drewnianymi. Oczywiście przygotowane były do transportów wojennych, gdy trakcja elektryczna uległa zniszczeniu. Liczby tych obiektów były przerażająco duże. Również po opuszczeniu terytoriów przedwojennej Litwy i Łotwy rzuciła się w oczy nędza ludzi, zniszczenie budynków, wymizerowane dzieci i zwierzęta domowe, bród i zaniedbanie na każdym kroku. Ogromne połacie nie uprawianej ziemi i duże, puste odległości między osiedlami ludzkimi. Niesamowite, tragiczne, ale i symboliczne wrażenie zrobiły na mnie słupy linii telefonicznej, czy elektrycznej, biegnącej wzdłuż torów kolejowych. Słupy były nowe, betonowe. Obok każdego nowego słupa leżał powalony i nie uprzętnięty stary słup drewniany. Również obok leżał też drugi słup, wymieniony chyba wiele lat temu, bo zupełnie zbutwiały i rozlatujący się. Nikt tych słupów przez lata nie sprzątnął i nikt też z okolicznych chałup nie wziął ich sobie choćby na opał. Przypuszczam, że gdyby ktoś zabrał taki nikomu niepotrzebny słup, to pojechałby na Kołymę za rabunek państwowego mienia. Z ponurymi myślami zastała nas noc i zasnęliśmy. W powrotnej drodze przemierzaliśmy rosyjskie tereny w dzień, a łotewskie i litewskie w nocy. Mieliśmy więc przegląd całości. Przegląd tragiczny i dający szerszy pogląd na naszego wschodniego sąsiada, który miał być dla nas



Katedra św. Izaaka

wzorem, opiekunem i gwarantem bezpieczeństwa.

W Leningradzie czekał na nas mikrobus marynarki wojennej z kilkoma oficerami. Zajechaliśmy do przystani i stateczkiem do Kronsztadu, który jest miastem na wyspie, a jednocześnie portem wojennym ze stoczną i warsztatami remontowymi. Od razu wprowadzono nas na okręt, gdzie przyjął nas "*kapitan tretiewo ranga*", czyli po naszymu komandor, jak się okazało zastępca dowódcy bazy, a może nawet floty do spraw technicznych. Omówiliśmy czas i warunki pracy. Potrzebny był wielki pośpiech, gdyż z uwagi na nasz opóźniony przyjazd zostało do dyspozycji bodaj tylko 10 dni, gdyż okręt miał już od dawna zaplanowaną wizytę kurtuazyjną w jakimś francuskim porcie wojennym. Dla przyspieszenia prac zaoferowano nam pomoc dwóch trzyosobowych brygad monterskich, aby robić równocześnie oba silniki, i zaproponowano pracę po 12 godzin dziennie, również w soboty i niedziele. Tu zagrała moja żyłka turystyczna i powołując się na międzynarodowe przepisy RWPG, zalecające delegatom 8-godzinny dzień pracy i wolny dzień w tygodniu, przystałem na wzmnożony wysiłek, proponując w zamian wystąpienie do władz polskich ze strony Rosjan, o przedłużenie naszej delegacji o 3 dni, abyśmy mogli po zakończeniu prac zwiedzić sławne miasto Leningrad. Pan komandor przystał na to z uśmiechem i obiecał, że wyśle telex w tej sprawie do Polski, a prócz tego zapewni nam darmowe zakwaterowanie w Leningradzie na te trzy dni. Na czas remontu dano nam dwie kabiny na statku i zapewniono darmowe wyżywienie z okrętowej kuchni. Żyć nie umierać. Monterzy rosyjscy

okazali się szybcy i sprawni w robocie, toteż robota posuwała się ostro do przodu i już po trzech dniach widać było, że okręt będzie gotów z wyprzedzeniem i zdąży do Francji. Od monterów dowiedzieliśmy się, że zarabiają 300-400 rubli miesięcznie, co było prawie dwa razy więcej niż w przemyśle cywilnym. Będąc w mieście, słyszałem rozmowę dwóch Rosjanek, które skarżyły się, że życie jest tak drogie, że 5 rubli dziennie nie starcza. Po zakończeniu prac odbyliśmy kilkunastogodzinną próbę w morzu, podczas której usunąłem jeszcze drobną, ale dającą się załodzi we znaki usterkę automatycznego sterowania jednego z silników. Na do widzenia ofiarowano nam dyplomy uznania i albumiki z widoczkami Leningradu. Śmiałem się potem, że ten dyplom, podkreślający zasługi w usprawnieniu wojennego okrętu ZSRR, może być powodem do pozytywnej, lub zgoła politycznie nagannej opinii o mnie, zależnie od światopoglądu oceniającej władzy.

Podczas pobytu na tym okręcie słuchaliśmy codziennie po kolacji dziennika telewizyjnego w mesie oficerskiej, przy obowiązkowej obecności całej kadry. Z okazji zbliżającego się dnia zwycięstwa nad faszyzmem (9 V), pokazano w jednym z dzienników dekorację grupy bohaterów wojny ojczyźnianej. Były już 32 lata po wojnie, toteż jeden z młodszych oficerów wstał nagle i zakrzyknął na całą mesę: "*Job ich mat! Czem dalsze wajny, tym bolsze gerojów*". Nie wiem, czy później odcierpiał ten zupełnie logiczny wybryk. Jeden ze stewardów, gdy zwróciłem się do niego po rosyjsku, poprosił o język polski: "*Ja że Polak z Wilna*".

Dzień zwycięstwa - 9 maja - był absolutnie obowiązkowo wolny od pracy. Dostaliśmy przepustki na wyjazd z Kronsztadu do Leningradu. Kronsztad, jako teren ściśle wojskowy, jest strefą zamkniętą i tylko mieszkańcy mogli go opuszczać swobodnie, chyba jednak meldując o tym w odpowiednim urzędzie. Do Leningradu kursowały wodoloty. Nie pamiętam, jak spędziliśmy ten dzień. Utkwiły mi w pamięci wizerunki ludzi, a szczególnie starszych, paradujących po ulicach, a obwieszonych medalami tak gęsto, że brakowało na torsach miejsca. Byli to ci, co przeżyli blokadę i obronę miasta z czasów ostatniej wojny. Zauważyłem, nie po raz pierwszy zresztą, że Rosjanie lubują się w odznaczeniach i wartościują według nich ludzi.

Po zakończeniu prac odwieziono nas kutrem do miasta i zakwaterowano w wojskowym hotelu, którym był zaadaptowany do nowej funkcji, stojący przy nabrzeżu Newy, duży statek wycieczkowy, rzeczny. Dostaliśmy dwie oddzielne kabiny, ale już bez wyżywienia. W hotelu był bufet z alkoholem i sauna. W saunie dwa razy zażyliśmy parówki. Komandor porucznik, czyli "*kapitan wtarogo ranga*", który podczas naszego pobytu był nam opiekunem, uznał, że powinien pożegnać nas przy gorzałce. Zasiadliśmy przy półlitrowce "*Starki*", która szybko została opróżniona. Następna na nasz koszt również. Przy tej drugiej komandor się rozrzewnił i pożałował nas Polaków, "że po pierwszej wojnie światowej straciliśmy sposobność i po drugiej Stalin poputał sprawę, a przecież dawno Polska mogła się stać radziecką republiką i jak Polacy mieliby dobrze. A teraz Polska to ani zachód, ani wschód - rzucona w środek Europy bez oparcia". Trzecia butelka "*Starki*" też znalazła się na stole, ale ja nie wytrzymałem i pożegnałem obu pozostałych, ku pogardliwemu ich niezadowoleniu. Następne trzy dni biegałem

po Leningradzie, w większości bez mojego towarzysza, który nie wykazywał żyłki turystycznej. Sprzedaliśmy trochę polskich ciuchów w bramach budynków. Wystarczyło wyjść z kolorową torbą plastikową, żeby być zaczepionym - co mamy na zbyciu. Kupiliśmy trochę drobiazgów i udało nam się wystać w kolejce po dwa złote pierścionki, które były relatywnie tanie. Zwiedziłem Piotroworec, Ostrów Piotropawłowski, Ruskie Muzeum, kawałek Ermitażu, oraz byłem w niedzielę na mszy św. w polskim katolickim kościele. O tym kościele dowiedziałem się w Biurze Rady Handlowej, ale gdzie się on znajduje, tego polskie urzędniczki nie wiedziały. Wiedziała natomiast rosyjska sprzątaczką. Był ten kościół kilkaset metrów od owego biura. Niedzielną msza, to było coś bardzo smutnego. Ludzi było dużo, przeważnie starzy o siwych włosach, na ogół w ruskich ciuchach. Trafiły się jednak akcenty elegancji sprzed kilkadziesiąt lat z polskim wydźwiękiem. Widziałem kilku dziarskich staruszków, z wysoko podstrzyżonymi włosami, przy wąsach, w bryczesach (spodnie do siodła) i w długich butach z cholewami. Do ołtarza podeszło trzech bardzo wiekowych księży. Dwóch z nich podtrzymywało najstarszego, który ledwo powłóczył nogami. Z całego tego wymierającego towarzysztwa jeszcze najczterściej prezentował się sam kościół. Wyszedłem z wrażeniem, że za kilka lat będzie on pusty, bo nie będzie miał tu kto przychodzić. Może teraz się coś odrodziło?

W "*Inturisie*" zamówiliśmy bilety na powrót. Musieliśmy oddać paszporty za pokwitowaniem na jakimś świstku. Czuliśmy się nieswojo, ale po dwóch dniach oddano nam bilety i paszporty.

Piotroworec i Piotropawłowski Ostrów zwiedziłem, przyłączając się do jakiejś rosyjskiej wycieczki. Zwiedzający dowiadywali się od przewodników, że przed 1917 rokiem na tych terenach był

tylko nieludzki terror i nic więcej. Żadnej historii, żadnej kultury. Ciemna mogiła, wyzysk i terror. W Piotropawłowskiej Twierdzy więziono tylko gnębionych przez carów rewolucjonistów komunistycznych i nikogo więcej. Chciałem zapytać przewodniczkę o dakabrystów, nie mówiąc już o polskich powstańcach z Łukasińskim na czele. Musiałem się jednak powstrzymać. W Peterhofie, czyli w Piotroworcu, gdzie była sala francuska, holenderska, turecka, chińska i mnóstwo innych, słyszałem tylko tyrady o radzieckich specjalistach i artystach oraz o bohaterach pracy, którzy zrobili jakiś obrazek czy serwis do kawy. Prawdę rzekłszy, pałac był bardzo zniszczony podczas wojny i odbudowany według starych wzorów, ale wzory te były światowe i rosyjskie przedrewolucyjne. O nich się nie mówiło. Nie pytałem o prawdziwą historię, tylko patrzyłem i słuchałem.

Spotkałem w Leningradzie znajomego inżyniera, który pracował tam w polskiej placówce handlowej. Rozmawialiśmy, ale tylko na ulicy. Jego mieszkanie, apartament gościnnie-konferencyjny, i służbowy samochód były naszpikowane podsłuchowymi pluskami. Był bez przerwy pod obserwacją. Powiedział mi ciekawą rzecz. Otóż z racji swojej funkcji bywał na naradach polsko-radzieckich o tematyce przemysłowo-handlowej swojej branży w Leningradzie i również w Moskwie. Wyraził się w ten sposób, że dopiero na terenie ZSRR dostrzegł, w jakim wielkim stresie żyli prominenci polskich władz ludowych i do jakich uników musieli się uciekać w rozmowach z Rosjanami. Każde niemal z takich międzypaństwowych spotkań, w których obowiązkowo uczestniczył wysoki funkcjonariusz partyjny, było



Zespół parków i pałaców Peterhof

okazją do agresywnego wręcz domagania się od strony polskiej odpowiedzi, kiedy polski parlament uchwali przyłączenie Polski do ZSRR, jako radzieckiej republiki. Twierdził, że nigdy nie spodziewał się, że naciski te są tak silne i natarczywe. Od tej chwili inaczej zaczął patrzeć na ówczesne polskie władze. Znając go z pracy w Polsce, przed oddelegowaniem go do ZSRR, nie mam powodu mu nie wierzyć. Od niego dostaliśmy dwa zaproszenia na wystawę polskich towarów, która akurat się otwierała, a nazywała się "Zdieleń w Polsce". Był to spory teren targowy z pawilonami i stoiskami na wolnym powietrzu. Milicja ustawiała chętnych do zwiedzania w kolumnę, po 10 osób w szeregu, i wpuszczała 100 osób co minutę. Kolumna stała kamie i nikt nie próbował wkręcić się bez kolejki. My, mając zaproszenia, weszliśmy bez kolejki. Rosjanie na polskie wyroby patrzyli tak, jak my w owym czasie na zachodnioeuropejskie. Została mi w pamięci rozmowa dwóch Rosjan przy stoisku polskiego Fiata: "- Assss! Palaki wypuskajut Fiata. Od Wołgi i Pabiedy odkazali's". Wołgi i Pabiedy to ruskie ówczesne samochody, na ich warunki - nowoczesne, a wiadomo, że skopiowane z zachodnich modeli sprzed 40 lat. Powiedziano to było z nutką wskazującą na zdradę Polaków słowiańsko-socjalistycznej solidarności. Powstrzymałem się od uwagi, że ZSRR też "wypuskiwał" Fiata 124, który nazywał się u nich "Žiguli", a na eksport "Łada", bo przeciętny Rosjanin o tym propagandowo nie wiedział. Polskie kosmetyki "Polleny" widziałem w sklepach leningradzkich, ale bez napisu "Made in Poland",

za to że zruszczoną nazwą *Pollena*. Na wystawie kosmetyki te miały napis "Made in Poland", ale jak sądzę przez partyjne przeoczenie. Także płynąc kutrem przez leningradzki port dostrzegłem kilka handlowych statków polskiej produkcji. Znałem dobrze ich sylwetki i nie mogłem się mylić. Ze wszystkich były zdjęte tablice firmowe polskich stoczni, informujące gdzie i kiedy daną jednostkę zbudowano. A tablice te polskie stocznie umieszczały na widocznych miejscach z przodu głównej nadbudówki, czyli na tak zwanym z marynarska forszocie. Byłem świadkiem w Gdańsku, gdy taki statek wpłynął do stoczni na remont gwarancyjny i na żądania stoczniowców załoga wyciągnęła tablicę z magazynku i na powrót zamontowała. Inne na ogół wpływały z tablicami, a tu zapomniano założyć przed wplynięciem do Polski. Przypuszczalnie po opuszczeniu Polski zdjęto je na powrót. Wiadomo, o co chodziło. Statki pływają po wielu morzach i zawijają do wielu portów.

Leningrad, a obecnie St. Petersburg, jest pięknym miastem. Niestety, tylko od fasady. Wszedłszy przez bramę eleganckiego budynku na podwórko, zwiedzający zaskakiwany był przez niemal dziewiętnastowieczny, rynsztokowy, przygnębiający, zrujnowany stan.

Wracaliśmy do kraju pociągiem z polskimi wagonami i polską załogą. Poczuliśmy ulgę.

Krzysztof Targowski
Wydział Oceanotechniki i Okrętownictwa

JESIENNE NASTROJE

"Mimozami jesień się zaczyna..."

U słyszana w radiu piosenka pt. "Wspomnienie", skomponowana przez Marka Sarta do słów Juliana Tuwima, uzmysłowiła mi, że nastąpiła ta najbardziej kolorowa z pór roku. Mimoza, wymieniona na samym wstępie, to w rzeczywistości nawłóć późna *Solidago serotina* lub nawłóć kanadyjska, *S. canadensis*, gatunki hodowane w ogrodach i zarazem pospolite chwasty, sprowadzone do Europy z kontynentu północnoamerykańskiego; nie są one spokrewnione ze znaną z reakcji na dotyk egzotyczną mimozą, czyli czułkiem wstydliwym (*Mimosa pudica*)*. Wymienione nawłócie zakwitają w końcu sierpnia, kiedy to możemy odczuć pierwszy symptom zbliżającej się jesieni - coraz krótsze dni. Soczysta zieleń, którą podziwialiśmy w maju, jest już tylko dalekim wspomnieniem, gdyż zmęczona letnimi upałami flora szykuje się powoli do jesiennego karnawału - widać pierwsze, delikatne przebarwienia liści.

Prawdziwa orgia jesiennych barw, ten zapowiadany karnawał, pojawia się dopiero z nastaniem chłódów. Szykujące się do snu zimowego drzewa chronią swój cenny składnik - zielony chlorofil, który od wiosny dominował w barwie liści. W ten sposób odsłaniają dotychczas zamaskowane zielenią inne kolory: brązy, żółcienie, czerwienie - i wówczas cały świat zaczyna "płonać". Ale są wyjątki. Należą do nich m.in. olchy - czarna *Alnus glutinosa* i szara *A. incana* - zrzucające po październikowo-listopadowych przymrozkach zupełnie zielone liście. I jeszcze jeden egzotyczny akcent: dąb czerwony *Quercus rubra*, pochodzący z Ameryki Północnej, nazwę gatunkową zawdzięcza intensywnie czerwonej barwie swych jesiennych liści. Co roku podziwiam jesienny wystrój tego dębu, gdyż rośnie on pod



Zasmute pajęczynami torfowisko
- rejon Jeziora Wysockiego



Nasiona - skrzydłaki klonu
- *Acer platanoides*

moimi oknami. Jednak wokół dominuje kolor żółty, przyjmujący różne odcienie. Zgodzicie się zatem Państwo ze mną, że: "jesień - to największy kantor wymiany <zielonych> na <żółte>".

Jesień - spowita mgłą, wysyłająca rozkrzyczane ptactwo na "przymusowy urlop" do ciepłych krajów, oferująca cudownie barwne krajobrazy - stanowi bardzo częsty powód zadumy. Wielu twórców-artystów, wrażliwych na te cuda przyrody, oddało się właśnie jesiennej nostalgii, czego dowodem są m.in. ich dzieła malarskie lub poetyckie doznania zawarte w tomikach wierszy. "W żółtych płomieniach liści" tworzyła zmarła tak niedawno Agnieszka Osiecka. "Poszedłem w lasy ogromne szukać buków czerwieni" - wyznaje poeta, ks. Jan Twardowski. "Światem zaczęła rządzić jesień..." - ponownie Osiecka. "Jesienią, jesienią, sady się rumienia" - tak pisała Maria Konopnicka.

W tym samym czasie, kiedy pojawiają się pierwsze żółte koszyczki egzotycznych nawłoci, zaczyna czarować swoimi kwiatami pospolita krzewinka - wrzos zwyczajny *Calluna vulgaris*. Występuje zwykle w rozległych łąkach, tworząc wspaniałe, niezapomniane liliowe pejzaże. Wabi swym pożytkiem pracowite pszczoły, a wytworzony przez te owady miód - wrzosowy - dzięki wybornemu smakowi (słodycz "złamana" lekką goryczą) znajduje wielu amatorów.

Jesień bywa także źródłem doznań nie tylko wzrokowych. Jakże specyficzny, niepowtarzalny aromat wydzielają opadłe liście buków, dębów, topól, klonów; nie da się on porównać z żadną wonią kwiatów lub ziół. Równie wspaniały jest zapach,



Orzech laskowy (leszczyna) - *Corylus avellana*



Owoce jarząbu pospolitego
- *Sorbus aucuparia*

a także smak, dojrzałych owoców: jabłek, gruszek i śliwek. A szelest liści pod nogami w trakcie spaceru po leśnych duktach i parkowych alejkach? A chwile, kiedy to pod wpływem wiatru żółknące listowie dębów lub kasztanowców przesywa grad żółodzi i rudobrazowych, lśniących kasztanów? Wielokrotnie uciekałem przed takim "bombardowaniem". Czyż nie są to typowo jesienne sceny? Tak więc uroki jesieni powinniśmy chłonąć wszystkimi naszymi zmysłami.

Zapraszam Państwa na spacer po tym bajkowym świecie. Wczesnym rankiem ujrzymy w nim pajęczę sieci, usiane licznymi kroplami rosy niczym perełkami. Załamują one promienie budzącego się słońca, tworząc wspaniałe tęczowe refleksy. Możemy podziwiać też pracowite rude wiewiórki, okupujące okoliczne leszczyny. Panująca wokół cisza, przerywana skrzeczeniem kolorowych sójek - amateerek żółodzi - oraz delikatny szum tańczących na wietrze liści ukoją nasze zszarpane cywilizacją nerwy. Zaczniemy wówczas na pewno "myśleć kolorowo" na wzór jesiennych barw.

Dowodem, który ostatecznie przekonuje mnie, że nastąpiła tak długo oczekiwana jesień, jest przylot gawronów, mający miejsce około połowy października. Jesień to także właściwy czas na grzyby...

* Gatunek ten, rzadko hodowany w Polsce w cieplarniach, pochodzi z Brazylii.

Marcin S. Wilga
Wydział Mechaniczny
(Wszystkie zdjęcia autora)

Kredyty studenckie! Kredyty studenckie! Kredyty studenckie! Kredyty studenckie! *Kredyty studenckie!* **KREDYTY STUDENCKIE!** *Kredyty studenckie!* **Kredyty studenckie!** *Kredyty studenckie!*

Pani dr Anna Rzeczycka z Wydziału Zarządzania i Ekonomii jest uczelnianym pełnomocnikiem ds. pożyczek i kredytów studenckich. Wszyscy potrzebujący dowiedzą się więcej w pok. 216, Gmach Główny B, tel. 27 91.

KREDYTY STUDENCKIE! *Kredyty studenckie!*

WYDARZENIA

Czerwiec 1998 r. Politechnika Gdańska. Publiczna obrona pracy doktorskiej mgr. inż. Grzegorza Bukala, z Zakładu Historii Architektury i Konserwacji Zabytków Wydziału Architektury PG, pt. "Forty gwiaździste w pruskich twierdzach XVIII wieku"; promotorem pracy był prof. Jadwiga Habela.

18-20.06.1998 r. Politechnika Gdańska. Kurs "Zagrożenia elektromagnetyczne w szpitalach" zorganizowany przez Katedrę Elektroniki Medycznej i Ekologicznej Wydziału Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki Politechniki Gdańskiej pod kierunkiem prof. Antoniego Nowakowskiego.

25-27.06.1998 r. Politechnika Gdańska. Kurs "Kompatybilność elektromagnetyczna sprzętu medycznego" zorganizowany przez Katedrę Elektroniki Medycznej i Ekologicznej Wydziału Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki PG pod kierunkiem prof. Antoniego Nowakowskiego.

Lipiec 1998 r. Politechnika Gdańska. Kolokwium habilitacyjne dr. Bernarda Quanta z Wydziału Inżynierii Środowiska; tytuł pracy: "Sylikatyżacja popiołów lotnych i fosfogipsów - bezpieczna dla środowiska metoda utylizacji odpadów".

Lipiec 1998 r. Politechnika Gdańska. Publiczna obrona pracy doktorskiej mgr. inż. Janusza Czarneckiego, z Wydziału Inżynierii Środowiska Politechniki Gdańskiej, pt. "Geodynamika brzegów klifowych w Jastrzębiej Górze i Dębnie k. Ustki"; promotorem pracy był prof. Wiesław Subotowicz.

6-9.07.1998 r. Berlin (Niemcy). Trzecia Światowa Konferencja "Zintegrowane projektowanie i technologia produkcji" obejmująca: ASME Engineering Systems Design and Analysis Conference (ESDA), IEEE International Conference on Systems Integration.; prof. Edmund Wittbrodt, z Wydziału Mechanicznego PG, był członkiem komitetu programowego.

25.09 1998 r. Politechnika Gdańska. Polsko-węgiersko-niemieckie seminarium w zakresie technologii obróbki wykańczającej zorganizowane przez Katedrę Technologii Maszyn i Automatyki Produkcji Wydziału Mechanicznego PG; seminarium przewodniczył prof. Włodzimierz Przybylski - prorektor ds. rozwoju PG i kierownik Katedry oraz prof. Mieczysław Feld; seminarium zorganizowano w trzech sesjach, a referaty wygłosili zaproszeni goście z Uniwersytetu w Miskolcu, Uniwersytetu Technicznego w Berlinie oraz pracownicy Katedry; zainteresowanych tematyką Seminarium odsyłamy do wydanych z tej okazji materiałów seminaryjnych pod redakcją prof. Adama Barylskiego.

9-12.09.1998 r. Gdańsk-Jelitkowo. XI Ogólnopolska Konferencja "Kryształ molekularne '98" zorganizowana przez Wydział Fizyki Technicznej i Matematyki Stosowanej PG; przewodniczącym komitetu organizacyjnego był prof. Jan Kalinowski.

13-16.09.1998 r. Jurata. Coroczna międzynarodowa konferencja "Combustion Engines - KONES '98" dotycząca zagadnień rozwoju i eksploatacji silników spalinowych; współorganizatorami konferencji byli: Akademia Marynarki Wojennej w Gdyni, BIMET, Instytut Lotnictwa w Warszawie oraz Wydział Mechaniczny PG.

15-18.09.1998 r. Politechnika Gdańska. Krajowy Kongres Metrologii KKM '98 zorganizowany przez Katedrę Aparatury Pomiarowej Wydziału Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki oraz Katedrę Miernictwa Elektrycznego Wydziału Elektrotechniki i Automatyki PG; przewodniczącym komitetu organizacyjnego był prof. Ryszard Roskosz, kierownik Katedry Miernictwa Elektrycznego.

25-27.09.1998 r. Jastrzębia Góra. Seminarium naukowe pt. "Gospodarka Polski w okresie transformacji" zorganizowana przez Katedrę Ekonomii i Zarządzania Przedsiębiorstwem Wydziału Zarządzania i Ekonomii PG.

25-27.09.1998 r. Jastrzębia Góra. Seminarium naukowe pt. "Edukacja menedżerska a społeczne i prawne otoczenie biznesu" zorganizowana przez Katedrę Politologii i Socjologii Wydziału Zarządzania i Ekonomii PG.

Październik 1998 r. Politechnika Gdańska. Seminarium nt. portu we Władysławowie organizowane przez Katedrę Budownictwa Morskiego Wydziału Inżynierii Środowiska; przewodniczącym komitetu organizacyjnego był prof. dr hab. inż. Bolesław Mazurkiewicz.

Październik 1998 r. Politechnika Gdańska. Publiczna obrona pracy doktorskiej mgr. inż. Barbary Wikiel, z Wydziału Inżynierii Środowiska Politechniki Gdańskiej, pt. "Analiza procesów samoorganizacji przepływu materiałów rozdrobnionych"; promotorem pracy był prof. Zbigniew Sikora.

12.10.1998 r. Politechnika Gdańska. Symposium pt. "Oczyszczanie wody i ścieków oraz unieszkodliwianie odpadów" organizowane przez Katedrę Technologii Wody i Ścieków Wydziału Inżynierii Środowiska; przewodniczącą komitetu organizacyjnego była dr hab. inż. Krystyna Olańczuk-Neyman.

12-14.10.1998 r. Gdańsk - Jurata. VI konferencja "Konstrukcje powłokowe - teoria i zastosowania SSTA '98" organizowana przez Katedrę Mechaniki Budowli Wydziału Budownictwa Lądowego PG; komitetowi organizacyjnemu przewodniczyli: dr inż. Czesław Braniccki oraz dr hab. inż. Jacek Chróścielewski.

21-24.10.1998 r. Stralsund (Niemcy). IV Międzynarodowe Symposium "Nauka dla praktyki" *Forshung, Didaktik und Praxis im modern Maschinenbau* organizowane naprzemiennie przez wydziały mechaniczne Politechniki Gdańskiej, Hochschule Bremen i Fachhochschule Stralsund; Symposium (ósme z kolei) stanowi kontynuację seminariów *Wissenschaft für die Praxis* organizowanych przez wyżej wymienione uczelnie; bliższe informacje: dr hab. inż. J. Cieśliński, tel. (48 58) 347 16 22.

26-28.10.1998 r. Politechnika Gdańska. Duńsko-polska konferencja "Biopaliwa" organizowana przez Katedrę Inżynierii Sanitarnej Wydziału Inżynierii Środowiska PG; przewodniczącym komitetu organizacyjnego był prof. dr hab. inż. Piotr Kowalik.

ZAPOWIEDZI

Listopad 1998 r. Politechnika Gdańska. Kolokwium habilitacyjne dr. Ryszarda Orłowskiego z Wydziału Inżynierii Środowiska; tytuł pracy: "Modelowanie matematyczne przepływów ustalonych w systemach wodociagowych".

5-6.11.1998 r. Gdańsk. III Krajowa Konferencja Użytkowników Oprogramowania MSC, organizowana przez: CTO Gdańsk oraz FAA Warszawa; członkiem komitetu programowego jest prof. Edmund Wittbrodt z Wydziału Mechanicznego PG.

26-27.11.1998 r. Politechnika Gdańska. II Ogólnopolskie Seminarium Naukowe Studentów i Młodych Inżynierów Mechaników organizowane przez Koło Naukowe MECHANIK Wydziału Mechanicznego Politechniki Gdańskiej; tematem przewodnim seminarium będzie rynkowe zorientowanie inżyniera produkcji "od rynku do produktu i procesów".

Grudzień 1998 r. Politechnika Gdańska. Kolokwium habilitacyjne dr. Adama Bolta z Wydziału Inżynierii Środowiska; tytuł pracy: "Modelowanie posadowień fundamentów konstrukcji wsporczych".

Grudzień 1998 r. Politechnika Gdańska. Kolokwium habilitacyjne dr. Romana Wichowskiego z Wydziału Inżynierii Środowiska; tytuł pracy: "Analiza przepływów nieustalonych w sieciach wodociagowych pierścieniowych".

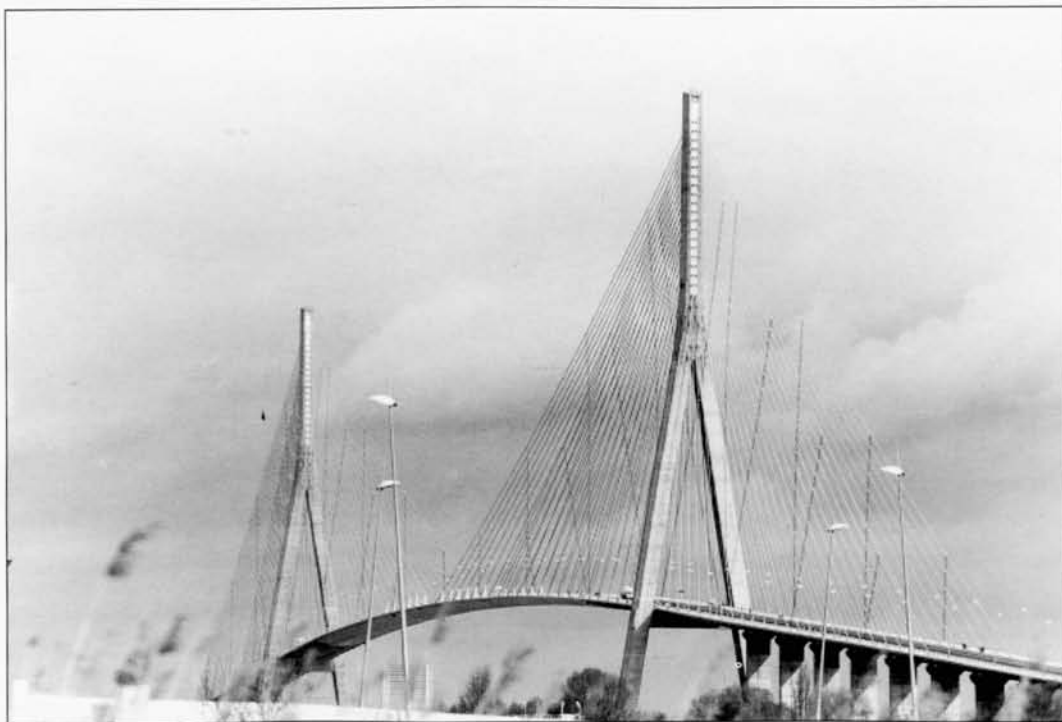
Grudzień 1998 r. Politechnika Gdańska. Publiczna obrona pracy doktorskiej mgr. inż. Adama Krasińskiego, z Wydziału Inżynierii Środowiska Politechniki Gdańskiej, pt. "Analiza nośności fundamentów głębokich obciążonych siłami poziomymi w sprężysto-plastycznym ośrodku gruntowym"; promotorem pracy jest prof. Andrzej Tejchman.

9-11.12.1998 r. Rynia. II Konferencja Naukowo-Techniczna "Odporność udarowa konstrukcji" organizowana przez Polską Akademię Nauk, Wojskową Akademię Techniczną oraz Akademię Marynarki Wojennej; wiceprzewodniczącym komitetu naukowego jest prof. Edmund Wittbrodt z Wydziału Mechanicznego PG.

7-10.09.1999 r. Politechnika Gdańska. Międzynarodowa konferencja na temat zachowania dziedzictwa inżynierii pod nazwą "Preservation of the Engineering Heritage - Gdańsk Outlook 2000" organizowana przez Wydział Budownictwa Lądowego PG; Komitetowi Konferencji przewodniczą: prof. Zbigniew Cywiński (WBL) i prof. Edmund Wittbrodt (WM).

Opracowanie: Janina Poćwiardowska
Zespół ds. Informacji i Promocji

Piękno dzieł myśli inżynierskiej
("Budować i filozofować", str. 13)



Most Normandii w ujściu Sekwany łączący Le Havre i Honfleur



Projekt mostu w ciągu Trasy Sucharskiego w Gdańsku
według projektu K. Wąchalskiego, Biuro PBK SA



W Gdańsku



W Toruniu

Lato IAESTE '98 w PG



W gościnnym domu

Podczas ostatnich wakacji w Gdańsku przebywała 13-osobowa grupa zagranicznych studentów z Hiszpanii, Niemiec, Grecji, Słowenii, Finlandii, Jugosławii, Węgier i Austrii. Odbywali oni praktyki zawodowe w firmach z Trójmiasta oraz na Wydziale BL Politechniki Gdańskiej. Dzięki temu podobna liczba studentów naszej uczelni mogła wyjechać na podobne praktyki za granicę. Wymiana, jak corocznie, została zorganizowana przez działającą przy Politechnice studencką organizację IAESTE (tj. Międzynarodowe Stowarzyszenie dla Wymiany Studentów na Praktyki Techniczne). Pobyt zagranicznych gości urozmaicony był licznymi wycieczkami, podczas których poznać oni mogli piękno naszego kraju. Odwiedzili między innymi Kraków, Warszawę, Toruń, Malbork, Hel i Pojezierze Kaszubskie.

Marek Kiejdo
student Wydziału Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki
prezydent LC IAESTE przy PG



Na Kaszubach



W Warszawie